

OSTRY PROTEST WOJSKOWYCH

**Amerykańscy i francuscy generałowie
przeciw lewackiej rewolucji**

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 20/425 17-23 MAJA 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**Dziwny powrót
Bronisława Komorowskiego**



**KINGA RUSIN
BRONI DEMOKRACJI
W POLSCE...
Z MALEDIWÓW**

**Zagadka skazania
kardynała Gulbinowicza**



Czy Polska przetrzyma WIELKI RESET



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

Dbam o swój portfel i środowisko!

Wybieram panele
fotowoltaiczne
od Energi

Obniż swoje rachunki już dziś! Pomożemy Ci ze wszystkim – od doradztwa, poprzez projekt, po wykonanie.

Postaw na pewnego partnera, ciesz się własną zieloną energią i pomagaj chronić środowisko!

Zyskaj 25 lat gwarancji producenta na panele fotowoltaiczne.

➤ **Dowiedz się więcej:**
wejdź na energia.pl
lub zadzwoń: 555 555 505

(koszt wg taryfy Twojego operatora)



Energa

Obrót

GRUPA **ORLEN**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wojskowe siły oporu

Kiedy pod koniec zeszłego roku napisałem, że prezydentura Joe Bidena będzie oznaczała zwycięstwo w USA neomarksistowskiej rewolucji i globalny rozkwit ideologicznego szaleństwa, wielu pukało się w głowę. Ba, byli i tacy, którzy – jak może być u nas inaczej? – dopatrywali się w podobnych opiniach przejawu działalności „określonych” sił, czyli – najkrócej mówiąc – ruskich trolli. Tymczasem ponad trzy miesiące od chwili objęcia urzędu przez Bidena wszystkie czarne przepowiednie się sprawdzają. Prezydent Biden razem z Kamalą Harris solidnie pracują na opinię najbardziej radykalnych przywódców w dziejach Ameryki.

RYŚUNEK TYGODNIA



Joe Biden od początku okazał się skrajnym aborcjonistą. Jego administracja stała się również głównym oparciem dla ruchu gender, dlatego od razu po przejęciu władzy prezydent wydał nakaz dopuszczenia chłopców czujących się dziewczynkami do szkolnych dziewczęcych szatni. Niezły odlot, nieprawdaż? Nowy przywódca USA nie ograniczył się niestety do budowania transseksualnej utopii we własnym państwie i zmienił, a właściwie zmienia z każdym dniem, główne cele i zadania amerykańskiej dyplomacji na świecie. Efektem jest osobliwa sytuacja, w której to ambasadorzy USA zaczynają występować w roli nauczycieli powszechnej moralności. Występują coraz częściej w dwuczynnej funkcji – ni to rzecznika

LGBTQIA+, ni to pastora wolnej miłości, ni to wreszcie żandarma politycznej poprawności. Doskonale widać to w Polsce, gdzie reprezentujący ambasadę amerykańską dyplomata, chargé d'affaires a.i. USA w Polsce Bix Aliu, uczy Polaków etyki i opowiada się, cokolwiek by to znaczyło, za „prawami środowisk LGBTI” (a co z innymi literkami?). Pan Aliu mówi: „Osobiście uważam, że każdy z was powinien móc kochać, kogo chce, i nie bać się prześladować. Więc ponownie z dumą wywiesimy tęczową flagę”. Nie określił wszakże, czy jego przekonanie „każdy z was powinien móc kochać, kogo chce, i nie bać się prześladować” ma jednak jakieś granice, choćby dotyczące kazirodztwa czy pedofilii. Podobnie nie wiem, czy USA zaangażują się w promocję poliamorii i poligamii. Amerykański dyplomata nie powiedział też, jak się mają te jego nauki do obowiązujących wciąż w Polsce prawa i konstytucji.

Choroba ideologiczna dotyka nie tylko dyplomacji. Joe Biden poszedł dalej niż wcześniej Barack Obama i postanowił zreformować (czyli utęczyć) armię. Radosna wieść jest taka, że w USA pojawił się pierwszy bojowy helikopter z załogą złożoną wyłącznie z homoseksualistów. „Tworzymy historię w piątek wraz z pierwszą w historii gejowską załogą helikoptera marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych” – napisał na Twitterze, jak donoszą media, weteran wywiadu marynarki wojennej, a obecnie lewicowy aktywista Travis Akers. Homoseksualny helikopter to nie wszystko. Siły powietrzne Stanów Zjednoczonych ogłosiły powstanie Grupy Inicjatywnej Lesbijek, Gejów, Biseksualistów, Transpłciowych i Queerowych. Jedną z założycielek grupy, lesbijka i generał dywizji Leah Lauderback, triumfuje: „Spodziewam się, że nasza grupa będzie się rozwijać – nasza społeczność i sojusznicy chcą pomóc!”. Wspaniale – cieka-

we, czy i polscy żołnierze staną na wysokości zadania i stworzą odpowiednio wyszkolone homoseksualne, lesbijskie i transwestytowe oddziały.

Nic dziwnego, że sytuacja ta budzi coraz większe przerażenie wśród obrońców tradycyjnej Ameryki. W zeszłym tygodniu ponad 120 emerytowanych generałów i admirałów opublikowało list otwarty, w którym wezwali Amerykanów do „ocalenia Republiki Konstytucyjnej i pociągnięcia do odpowiedzialności tych, którzy obecnie zajmują urząd”. Tekst jest napisany w prawdziwie dramatycznym tonie. Emerytowani żołnierze piszą, że USA staje się marksistowską dyktaturą i socjalistyczną tyranią. Wskazują na szalejącą cenzurę, wykluczanie konserwatywnych poglądów z przestrzeni publicznej, rozpanoszenie się aktywistów ruchów antyrasistowskich (w istocie często są to kolorowi rasiści atakujący białych) czy antyfaszystowskich, wreszcie na dominację tzw. cancel culture (zamordyzmu). Grupy te, takiej jak BLM, do złudzenia przypominają bandy chińskich hunwejbínów, którzy w latach 60. i 70. rozprawiali się z dziedzictwem kulturalnym Chin.

Czy ten list to wyraz rozpaczy? Czy może znak rodzącego się oporu? Trudno powiedzieć. Faktycznie, USA, podobnie jak inne państwa Zachodu, stały się od lat ofiarą rewolucji neomarksistowskiej. Zapleczem rewolucji jest swoisty konglomerat – uniwersytety, media, Big Tech. Ze względu na swój charakter armia skupia w swych szeregach największą liczbę ludzi o patriotycznym nastawieniu, gotowych do ofiary dla ojczyzny, w armii panują dyscyplina i hierarchia, armia przechowuje tradycje narodowe – wojsko to często ostatni jeszcze przyczółek normalności. To, czy amerykańskim wojskowym uda się go ocalić, zależeć będzie od stopnia ich determinacji i odwagi. Nigdy wcześniej rewolucyjne zagrożenie nie było tak wielkie. ©©

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z TOMASZEM WRÓBLEWSKIM
**EUROKRACI PRZEJMUJĄ WŁADZĘ
NAD UNIĄ EUROPEJSKĄ**
Wielki reset w UE

18 WOJCIECH GOŁONKA
ZA JAKĄ CENĘ?

20 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
LEPIJ BYŁO WZIĄĆ PIENIĄDZE



KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**SCHETYNA VS. BUDKA:
WOJNA PRZEGRYWÓW**
Spektakularna kompromitacja

24 JAN FIEDORCZUK
OPOZYCJA WOBEC PAŃSTWA

26 KAMILA BARANOWSKA
POWRÓT BRONISŁAWA

28 TOMASZ ROWIŃSKI
ZA CO SKAZANO KARDYNAŁA?

30 ROZMOWA Z HANNĄ RADZIEJOWSKĄ
**PROBLEMEM JEST NIEWIEDZA
NIEMCÓW NA TEMAT POLSKI**

32 FRAGMENT KSIĄŻKI
„PIĄTKA U SEMKI”
DRAMATYCZNY CZAS

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
CYBERŻEBRACY

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DORADCZYNI W BIKINI

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**POETA SPRAWY
POLSKIEJ**
Biografia Jarosława Marka Rymkiewicza

42 PIOTR GOCIEK
MISIE Z OKIENKA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 MAREK JUREK
FRANCJA – ALERT GENERAŁÓW
Imigranci coraz większym problemem

HISTORIA

54 PIOTR LITKA
KAPUŚ SPOD CELI
Agenci w więzieniach chronieni do dziś?



ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
**NETANJAHU ZYSKUJE
NA WIDMIE NOWEJ INTIFADY**
Krwawe starcia na Bliskim Wschodzie

62 OLIVIER BAULT
JAK PRAWICA PRZESTAŁA BYĆ PRAWICĄ

66 TERESA STYLIŃSKA
JAK URATOWAĆ WIELKĄ BRYTANIĘ

EKONOMIA

68 ŁUKASZ WARZECHA
WIELCY REGULUJĄ, MALI PŁACĄ
Chodzi o dobro. Tylko czyje?

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
KUCHENNE SCHODY
Służące do wszystkiego

O ZDROWIU

76 ROZMOWA Z PROF. EWĄ LECH-MARAŃDĄ
**HEMATOONKOLOGIA
TO LOKOMOTYWA POSTĘPU**
Nowoczesne terapie przeciwnowotworowe



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Colonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański,
Szwach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wołski, Małgorzata Wokczyk,
Jakub Wozniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL, redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata**
Puzyr, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Trzycyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agnieszka Wasilewska**

Rysowniki: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**

Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 575 tys. egzemplarzy

DRIUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drody Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną do
redakcji prosimy kierować na
adres: listy@dorzeczy.pl.

„Tsunami bzdur” Leszek Żebrowski, „DRz” 17/2021

Z dużym zainteresowaniem czytałem różne
teksty zamieszczone w numerze 17/2021
Waszego Tygodnika. Choćby artykuł
o potrzebie poważnej polityki Polski wobec
Rosji, analizę możliwych przyznań Oscarów,
uwagi o Gustawie Holoubku, o „Folwarku
zwierzęcym” Orwella, czy o Konstytucji
3 maja 1791 r.

Odrębne miejsce pozostawiłem
tekstowi „Tsunami bzdur” o kolejnych
przeinaczeniach w sprawie prześladowań
Żydów w Polsce. Jestem na tę tematykę
szczególnie wyczulony z uwagi na fakt, że
cztery osoby z rodziny mego ojca zostały
rozstrzelane przez Niemców za ukiwanie
Żydów w Wierzbicy k. Miechowa. Jak piszą
autorzy Władysław Bartoszewski i Zofia
Lewinówna w książce „Ten jest z ojczyzny
mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–
1945”: „Prześadowani kryli się w lasach,
w zagrodach chłopskich. W listopadzie
1942 roku, gdy zaczęły się chłody, rodzice
Bronisława postanowili przyjąć do siebie na
przechowanie rodzinę Wandersmanów.
Pochodzili oni z tej samej wsi. W styczniu
1943 r. zięć Wandersmanów, Naftul, nie
wytrzymał nerwowo i wyszedł na wieś.
Nieszczęśliwie natknął się na obławę
zrobioną przez niemieckich żandarmów.
Został schwytany. Bronisław dowiedział
się o tym następnego dnia rano.

Powiadomił rodziców. Uradzono więc,
że przechowywani ulotnią się następnej
nocy. Tak się też stało. Nie udało im się
jednak przejść przez pierścienie obław.
Żona Naftula została zastrzelona, reszta
rodziny zamordowana kilka dni później
w Miechowie. W rodzinie Kucharskich
trwał stan pogotowia. Byli gotowi do
ucieczki, czuwali na zmianę. Spokojnie
minął tydzień. Starzy Kucharscy trochę się
uspokoili. 29 stycznia był dniem tragedii
wsi Wierzbica i rodziny Kucharskich. Było
to w piątek rano. Żandarmi przyjechali
dużą grupą ze schwytanym Naftulem.
Ten poprowadził ich najpierw do zagrody
Książków. Znalezione tam ukrytych
w słomie dwóch Żydów. Rozstrzelano ich
na miejscu wraz z całą rodziną Książków.
Następną ofiarą był Nowak. Rozstrzelano
go wraz z 5-letnią córeczką i wyciągniętym

z kryjówki w stajni Żydem. Później
żandarmi z gromadą spędzonych siłą
mieszkańców Wierzbicy otoczyli chałupkę
Kucharskich. Naftul zeznał, że tu się
ukrywał z rodziną, pokazał przepierzenie
w szopie”.

O takich sytuacjach niewiele się mówiło
i mówi, prawdopodobnie dlatego, że wydał
jeden z ukrywających się. Nie oceniam,
przytaczam fakty. I proszę Redakcję, aby
starać się takie dłuższe teksty dzielić
na krótsze, a podejmować ten problem
częściej. Aby polski odbiorca potrafił
znajdować swój punkt widzenia, oddzielić
prawdę od prób pomówień.

Polska w odbiorze tych, którzy przeżyli
Holokaust i ich krewnych na Zachodzie,
to taki zbiorowy grób. To musimy uznać
i uszanować. Ale nie możemy godzić się na
przekłamywanie wysiłku Polski podziemnej.
To nie Polska, a Niemcy wywołały drugą
wojnę światową. To w Polsce za podanie
kromki chleba żydowskiemu dziecku
groziła śmierć, często na miejscu, dużo
bardziej restrykcyjnie niż na zachodzie
Europy.

Warto też mieć na uwadze jeszcze
jedną konsekwencję takich fałszywych
narracji. Te akcje przeinaczeń rodzą
kontrreakcję, postawy nazywane skrajnym
nacionalizmem. One często wynikają
z bezradności, która rodzi bunt. Chyba
że jest to kolejny cel takich językowych
provokacji. To sytuacje nie do przyjęcia.

**Z poważaniem
Wojciech Książek**

Wyjaśnienie

W artykule „Są symptomy oczyszczania
się Kościoła” („Do Rzeczy” nr 19/424
10–16 maja 2021 r., s. 34–35) napisałem,
że karną kwotę na rzecz Fundacji
św. Józefa za kard. Henryka Gulbinowicza
„przekazała diecezja wrocławska, która
jest spadkobiercą kardynała”. Zwrócono
mi uwagę, że to nieścisła informacja, warto
zatem zauważyć takie doprecyzowanie.
Dodam jednak, że nie jest to sprawa
istotna dla opublikowanego tekstu,
w którym wskazuję na symptomy
zwiększonej odpowiedzialności moralnej
w Kościele wobec nadużyć seksualnych.
Przykładem tego był tajemniczy – jak
się okazuje – przelew „za kardynała
Gulbinowicza”, do którego, jak się zdaje,
nie przyznaje się też rodzina kardynała.
Ktoś w Kościele uznał, że jednak wyroki
papieża należy wypełniać.

Tomasz Rowiński



NA PIERWSZY OGIEŃ

Droga Stanisława Mikołajczyka

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Pamięć zbiorowa dosyć chłodno potraktowała lidera PSL. Nikt specjalnie nie atakował jego wyboru, ale też wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Stanisław Mikołajczyk nie zaznał specjalnie żywego kultu. To pewnie efekt przejścia Mikołajczykowski tradycji przez obecnie istniejący PSL – partię bezideową, niekojarzącą się z antykomunizmem.

A jak ocenić decyzję Mikołajczyka o grze w pozorowaną demokrację? Na pewno te dwa lata między rokiem 1945 a 1947 były okresem przedłużonego, choć cząstkowego pluralizmu. Ale za eksperyment z demokracją w wykonaniu Mikołajczyka płacił życiem i zdrowiem działacz na

dole. Stefan Korboński w 1956 r. sporządził listę 118 członków PSL zamordowanych przez bezpiekę. To ci ludzie powinni zająć ważniejsze miejsce w zbiorowej pamięci Polaków. Ich morderców nikt nigdy nie ukarał.

A jak wyglądał koniec pobytu lidera PSL w Polsce?

Piotr Zaremba mówi: „Najbardziej kontrowersyjny jest okres jesieni 1947 r., gdy Mikołajczyk sam już szykował ucieczkę na Zachód, ale jeszcze zachęcał terenowych działaczy, aby wytrwać. Kolejne pytanie, to czy nie powinien zostać w kraju. I tu dochodzimy do zagadnienia, czy od lidera można wymagać męczeństwa?”.

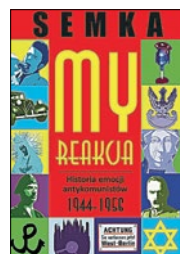
Alianci zachodni, którzy nie potrafili zagwarantować swemu pupilowi tego, co ustalili w Jałcie, potraktowali Mikołajczyka czysto instrumentalnie.

Jan Nowak-Jeziorański pisał: „Ani podstępne aresztowanie

przywódców podziemia, ani żadne inne wypadki nie zdołały zachwiać koncepcji Mikołajczyka. Z chwilą, gdy raz w nią uwierzył i uznał ją za swoją, trzymał się jej kurczowo do końca. (Mikołajczyk) Ratując życie, powrócił z Polski schowany w bagażniku limuzyny ambasadora Stanów Zjednoczonych. Ambasador zobowiązał go nie tylko do dyskrekcji, lecz także do wymyślenia i ogłoszenia bajeczki osłaniającej prawdziwe okoliczności tej ucieczki. Kilka lat później tenże sam ambasador bezceremonialnie, bez żadnych skrupułów etycznych w swoich własnych pamiętnikach ujawnił prawdę, wystawiając na śmiesznosc byłego premiera”.

Ucieczka

Mikołajczyka i koniec iluzji związanych z PSL były pretekstem dla wielu ludzi chwiejnych i słabych do zakończenia oporu i kompromisów z nową władzą. © ©



ZA TYDZIEŃ Z „DO RZECZY” FILM „DACHAU”

Pierwszy obóz koncentracyjny na terenie Rzeszy Niemieckiej, „prototyp” wszystkich innych obozów zagłady. Dachau. Działająca 12 lat fabryka śmierci i pogardy. Brama piekła. Ci, którzy ją przekroczyli – byli więźniowie obozu i żołnierze ich wyzwalający – dzielą się swoimi wstrząsającymi wspomnieniami w filmie Kamila Kulczyckiego „Dachau. Cywilizacja śmierci”. Dokument koprodukcji

polsko-amerykańskiej opisuje historię powstania i funkcjonowania obozu. Oparto go na archiwalnym materiale filmowym ze źródeł niemieckich, amerykańskich, brytyjskich oraz polskich. Narrację świadków wzbogacają relacje historyków. Poruszający film będzie można kupić z tygodnikiem „Do Rzeczy”. Wydanie z DVD trafi do sprzedaży 24 maja w cenie 24,99 zł. © ©

oprac. raw



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Oczekuję propozycji

Mówiąc językiem „Alicji w Krainie Czarów”, sprawa niedoszłych „kopertowych” wyborów wygląda „zdziwnie i dziwnie”. Najpierw były przecieki, że w NIK przygotowywany jest raport, który zmiażdży najwyżej postawionych urzędników rządu PiS. Gdy tylko pojawiły się te przecieki, w domu syna prezesa Banasia pojawili się agenci ABW i dokonali przeszukania. Jak oficjalnie poinformowano, rutynowego i niemającego nic wspólnego z działalnością jego ojca. Ale w ubiegłym tygodniu, kiedy Banaś senior publicznie ów raport prezentował, służby pojawiły się w domu juniora ponownie, tym razem ponoć wskutek e-maila, w którym Banaś junior zapowiadał, że popełni

samobójstwo (e-mail okazał się fałszywy). Prezes NIK ani za pierwszym, ani za drugim razem nie uwierzył w wersję oficjalną i publicznie dał temu wyraz.

Przecieki się potwierdziły, ale nie do końca. Raport NIK rzeczywiście stwierdza, że decyzja rządu, by rozpocząć przygotowania do korespondencyjnych wyborów prezydenckich i powierzyć ich organizację Poczcie Polskiej, podjęta została „bez podstawy prawnej”. Żadna sensacja: prawie wszystko, co rząd PiS robi w walce z epidemią COVID-19, nie ma żadnej podstawy prawnej, czego dowodem jest fala wyroków sądowych, uznających za bezprawne mandaty, zamykanie przez policję lokali i tego rodzaju działania. Rząd zresztą sam to pośrednio przyznaje, bo upierając się,

że wszystko było zgodne z prawem, dodaje jednocześnie, iż działał „w stanie wyższej konieczności”.

Jeśli jednak było bezprawie, to ktoś musi za nie odpowiadać. I tu NIK zatrzymała się przed wyciągnięciem konkluzji, doniesienia do prokuratury składając tylko na zarządy Poczty Polskiej i PWPW, które – przecież wiadomo – decyzje dostały „do wykonu”. Ale zarazem prezes NIK nie wykluczył, że może będą i zawiadomienia kolejne, wyżej sięgające. A może ich nie będzie.

Tak, jak trudno oprzeć się wrażeniu, że częste wizyty służb u Banasia juniora mają inne niż oficjalnie podawane przyczyny, tak i trudno nie dopatrzeć się w postępowaniu szefa NIK oferty: „Mam na was haka, ale zanim go użyję, słucham, co proponujecie”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Stary wiarus Tradycji

Z historii chrześcijaństwa wiemy, że niejednokrotnie na podziały w Kościele rzutowały różnice kulturowe. I tak było również w naszych czasach, na przykład w sporze o dziedzictwo i skutki ostatniego Soboru Powszechnego między św. Janem Pawłem II a abp. Marcelem Lefebvre’em. Na nadzieje papieża ogromny wpływ miał polski romantyzm, w tym jego millenarystyczne wątki, na opór abp. Lefebvre’a – francuska kontrewolucja, z jej przekonaniem o głęboko antychrześcijańskim charakterze współczesnego liberalizmu. Dla Polski insurekcyjnej wojny Rewolucji i Napoleona były krucjatą wolności, dla białej Francji – zaczątkiem totalitary-

zmu i zniewalaniem chrześcijaństwa. Co ciekawe, w Polsce bonapartystyczne sympatie żywili najwięksi ludzie Kościoła (Woronicz, Feliński, Teodorowicz), co przecież nie umniejszało ich ortodoksji.

Zmarły właśnie ks. Paul Aulagnier (1943–2021), pierwszy kapłan wyświęcony przez abp. Lefebvre’a w Bractwie św. Piusa X, tej właśnie sprawie poświęcił swą „La politique de Jean-Paul II”. Książka ta, będąca napisanym już po śmierci św. Jana Pawła II długim komentarzem do „Pamięci i tożsamości”, jest w istocie apologią wojtyliańskiej wizji chrześcijańskich korzeni Europy, a także papieskiej analizy współczesnego kryzysu Europy. Autor

wyznawał, że napisał tę rzecz, aby jego bracia z Bractwa św. Piusa X dostrzegli, jak bardzo ich analizy społeczne są zbieżne z ocenami, które formułował Jan Paweł II. I gdyby ideę dialogu (w końcu od czasów sokratejskich jednego z fundamentów naszej kultury) traktowano dziś serio, jako sposób przekazywania prawdy, a nie jej obchodzenia – „La politique de Jean-Paul II” byłaby jej pomnikiem. Gdy dowiedziałem się o śmierci ks. Aulagniera, położyłem sobie tę książkę na stole. Prawdziwy dialog to nie medialny spektakl. Można go prowadzić w ciszy, a dzięki książkom, najpiękniejszym relikwiom naszych zmarłych, nawet śmierć nie może mu przeszkodzić. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O towarzyszach, którzy pobłądzili

Po długich zakulisowych rozmowach włosko-francuskich prezydent Macron zgodził się wydać Włochom 12 lewackich terrorystów z krwią na rękach, którzy znaleźli luksusowy azyl nad Sekwaną. Natychmiast – za sprawą głównie francuskich lewicowych elit, ale też wielu włoskich superpostępców – po raz kolejny wprowadzono w ruch propagandową machinę relatywizacji zbrodni lewackiego terroryzmu.

Teoretycznie oferująca włoskim terrorystom azyl tzw. doktryna socjalistycznego prezydenta Francji Mitteranda z 1985 r. miała nie dotyczyć morderców. Francuzi uznali jednak, że skazani za swoje zbrodnie we Włoszech terroryści Czerwonych Brygad i innych podobnych organizacji zbrojnych padli ofiarą zmanipulowanych procesów sądowych w opresyjnym, autorytarnym, jeśli nie faszystującym państwie włoskim. Chodziło o ludzi, którzy z zimną krwią, w zaplanowanych akcjach położyli trupem kilkaset osób w imię ideologicznego szaleństwa.

Nad Sekwaną w kręgach kawiorowej lewicy nadal uważani są za bohaterów szlachetnej, choć niestety przegranej wojny o lepszy świat. Francuscy studenci pisali o nich hagiograficzne prace magisterskie. We Włoszech, gdzie popełnili swoje zbrodnie, lewicowcy uznali ich za „towarzyszy, którzy pobłądzili”. Gdy lała się krew, czołowi włoscy intelektualści zhańbili się deklarowaną „neutralnością”: „Nie jestem ani z państwem, ani z Czerwonymi Brygadami”.

We włoskiej telewizji ten koncept odgrzał niedawno znany superpostępowy dziennikarz Michele Santoro. Powiedział, że dziś błędnie patrzymy na „lata ołowiu”, jak nazywają ten ponury okres w swojej historii Włosi, jak na walkę dobrą ze złem. Przekonywał, że rzeczywistość nie była czarno-biała, a szara.

Jako przykład podał, że wówczas, gdy miał 12 lat, policja przeprowadziła rewizję w jego domu, podejrzewając tatę, kolejarza, o związki z lewackim terrorem. Inni argumentują, że byli włoscy terroryści we Francji (ok. 200 osób) to teraz „dobrzy, grzeczni ludzie”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Pomagajmy staruchom!

Za dużo. Za dużo i niepotrzebnie. Za dużo jest zawiści, zazdrości na świecie tym i na, na przykład, Twitterze. W ludziach niektórych jest potrzeba silna, aby rzeczy wzniosłe, szlachetne poniżyć, w pieniądzu utylać. I po co? Taka akcja szlachetna „Smart Senior” ofiarą padła ciemnej strony TT. Ludziom bardzo starym, powyżej lat 50 (autor tego tekstu ma 53 lata) Wojewódzki Urząd Pracy w Opolu chce zorganizować kurs korzystania ze smartfona. Trudne, ale nie niemożliwe. Są ludzie śmiali, którzy podjęli się zadania. Więc się rzuciło na nich twitterowe Polactwo (copyright – Ziemięwicz). Podstawowe zarzuty były dwa: że za drogo i że będzie w projekcie znana dziennikarka Dorota Wellman (od pewnego czasu już nie nastolatka). Projekt wart 700 tys. zł miał przesmarfować 60 seniorów. I policzyli twitterowcy, że to grubo ponad 11 tys. za osobę. Ja wiem, czy drogo? Przecież ktoś na tym zarobi i jak znam Polskę, zarobią właściwi ludzie. Ja wiem, czy się nie oplaca? Przecież ci ludzie po przeszkoleniu będą mogli na przykład ubogacić polską kulturę filmikami na Tik-Toku lub też robić sobie zdjęcia zawstydzające twórczość choćby Luciana Freuda, wnuka Zygmunta, zwanego malarzem ludzkiego ciała, którego to obraz „Benefits Supervisor Sleeping” został sprzedany za 33,6 mln dol. Proponuję, żeby nie sprawdzali Państwo, jak wygląda ten obraz i co przedstawia. Dobrze radzę. My już wkrótce, dzięki programowi „Smart Senior”, możemy mieć wysyp nie gorszych selfiacków.

I jeszcze taka rzecz dość dziwna, bo rozśmieszająca. Dziwna, bo Twitter został rozśmieszony przez sędziów Sądu Najwyższego. Czy sędziowie Sądu Najwyższego, którzy powinni być jednak jakimiś autorytetami i którym my płacimy straszne pieniądze na pensje, powinni zajmować się rozśmieszaniem gawiedzi na Twitterze? Dobre pytanie. W skrócie: Sąd Najwyższy miał się zająć kwestią kredytów frankowych ważną dla setek tysięcy rodzin i banków. Gospodarka duża i gospodarka domowa czekały z napięciem. Sędziowie jednak nie odpowiedzieli na ważne pytania, które miały regulować orzecznictwo. To jeszcze nie rozśmieszyło Twittera, rozśmieszył wybieg, który zastosowali, żeby nic nie zrobić. Postanowili zapytać o zdanie Rzecznika Praw Dziecka, ponieważ w rodzinach, które brały kredyty, są też dzieci. Sędziom nadmieniam, że w wielu rodzinach są też psy, koty i chomiki. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jest oferta. Konkretna. Dobić PeŁo w Senacie i odwołać marszałkissimusa Grodzkiego za to, że opóźnia ratyfikację Funduszu Odbudowy. I wybrać Jana Filipa Libickiego. Niestety, Lewica nie chce takiej konserwy, a PiS nie chce nikogo z Lewicy. W dodatku przeciw zamachowi gardłuje Misio Kamiński, który niby jest u zielonych, ale w duchu z niego zatwardziały platformers. Neofici są jednak najgorsi.

Inna sprawa, że negocjacje w Sejmie z czerwonymi braćmi w sprawie Funduszu Odbudowy przebiegły tak dobrze, że PiS chciałby z Wielkim Przewodniczącym Czaa ponegocjować i inne kwestie. Tu na przeszkodzie stoi Rzeszów. Są bowiem obawy, że wygra tam kandydat zjednoczonej Eine Totalopposition, co znów zbliży PeŁo do czerwonych.

Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński zażądał wycofania jeszcze przed pierwszą turą w Rzeszowie kandydata przystawek koalicyjnych startującego przeciw kandydatce PiS. Znaczy Warchoła. No i jest kłopot. SolPol Zizou Ziobry jest po funduszowych bojach poobijany, ale chyba jeszcze nie aż tak, żeby się poddać.

À propos Solidarnej Polski – sceptyk Janusz Kowalski oświadczył, że się zaszczepi przeciw koronie, bo przekonał go spot z Cezarym Pazurą vel Jurkiem Kilerem. Gdybyśmy wiedzieli, jakie to proste, to podpowiedzielibyśmy PiS miesiąc temu produkcję spotu z Kilerem rekomendującym Fundusz Odbudowy. Łatwizna. Cały SolPol głosowałby „za”.

Wracając do Senatu. Bartek Wróblewski padł. Więc na razie nie zostanie premierem. Nie, nie pomyliliśmy się. Bartłomiej Niedoszy RPO Wróblewski skrycie marzy o wielkiej karierze. Zdarzało mu się wyznać, że najpierw Sejm, potem jakieś ważne stanowisko, a w przyszłości premier kraju. Na wiec chwilowo ten plan został wstrzymany.

W Poznaniu niektórzy są zadowoleni z tego obrotu rzeczy. Na przykład znany wydawca Zysk Tadeusz, który w przypadku wyboru Bartka na RPO musiałby zostać posłem,

bo był następny na liście. Teraz odechnął z ulgą, gdyż nie musi zamieniać życia posiadacza dworu na żywot chudopachołka z Wiejskiej.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Zamieszanie w PeŁo po ujawnieniu Listu 51, którego sygnatariusze domagają się reform, odnowy, lepszej komunikacji z partyjnymi dołami i tego, żeby partia była ta sama, ale nie taka sama. Mamy déjà vu, bo pamiętamy schyłek PZPR. Bywało podobnie. Zaś na pytanie: „Skąd właściwie wziął się List 51?” odpowiadamy dowcipnie: „Ze Strefy 51”.

Z kolei Rafcio Trzaskowski ogłosił, że zakłada nowy ruch. Campus Polska Przyszłości. No i jest problem. Jak to się ma do licznych wcześniejszych ruchów Rafcia? Jak to połączyć? Na razie wychodzi nam coś w rodzaju: Ruch Wspólna Polska Campus Przyszłości Nowa Solidarność. W skrócie RWPCPNS. Proste.

Z życia sondażowni. Po dwóch drugoczących dla PeŁo sondażach pracowni United Surveys „GazWyb” nagle „dotarł” do sondażu Kantaru, który był nieco lepszy. To znaczy też spada, ale

nie do 12 proc., tylko do 19 proc. Jednak przy sondażu zabrakło informacji, kto go zamówił.

No to może wytłumaczymy, do czego dotarli Panowie G. Otóż wyniki sondażu United Surveys, dające PeŁo najniższe wyniki w historii, wyciekły jeszcze przed publikacją do obecnego kierownictwa partii. Zwrócono się więc w trybie pilnym do zaprzyjaźnionego Kantaru o inny, lepszy, nowy wewnętrzny sondaż. I to właśnie do niego „dotarł” „GazWyb”.

Mimo to poszukiwania Brutusa w szeregach Platformy się nasiliły. Pierwszy możliwy termin egzekucji Borysława to zgodnie ze statutem partii styczeń przyszłego roku. Gdy upłyną dwa lata od wyboru Borysława Budki. Ale wszystko wskazuje, że akt budkobójstwa odbędzie się najpóźniej we wrześniu, kiedy są wybory w innych gremiach partyjnych.

Dementujemy. Anne Applebaum nie będzie nowym ambasadorem USA w Polsce. Choćby dlatego, że Amerykanie nie wysyłają w tym charakterze obywateli państw innych niż USA. Żona Radka Sikorskiego ma natomiast dwa paszporty: amerykański i polski. Ten ostatni Radek jej załatwił, żeby bidusia nie musiała kwitnąć na bramkach lotniskowych z gospółstwem.

Kibicujemy premierowi Mateuszowi. Na wieść, że sprzedają dom Marii Curie-Skłodowskiej we Francji, postanowił sprawdzić, czy nie dałoby się go kupić i przerobić na muzeum. Jesteśmy „za”. Ale mamy i inne pomysły. Sugerujemy, żeby kupić także dom Szczepana Twardocha. I zrobić tam Muzeum Literatury. Literatury Polskiej.

Skoro o książkach – nadchodzi jubileuszowy, trzeci wywiad rzeka z Ludwikiem Dornem. Trudno powiedzieć, jaki będzie, ale jedno jest pewne – nie za bardzo oryginalny. Nosi bowiem tytuł „Rzeczpospolita Trzecia i Pół”. Głupia sprawa. Zrobiliśmy taką okładkę w „Ozonie” 15 lat temu, kiedy Lutek jeszcze był w rządzie. No i Sylwia Milan zatytułowała tak swój tom wywiadów o polskiej polityce w 2009 r. Może więc nie jest zbyt późno, by zmienić tytuł chociaż na „Rzeczpospolita Trzecia i Trzy Czwarte”? ©



FOT. PAMEL CROMBIE

DO ROBOTY

Jeśli się chce, to można nie narzekać, tylko wziąć się do roboty. Dał wszystkim gwiazdom i celebrytom przykład Andrzej Krzywy, wokalista zespołu De Mono, który przekwalifikował się i teraz dorabia w branży budowlanej. – Znam wielu artystów, którzy się przebranżowili. To nie jest tak, że każdy z nas leży i narzeka, jak ma źle. Zaraz ktoś powie: „Ale grałeś tyle lat i mogłeś odłożyć pieniądze”. Każde oszczędności kiedyś się kończą, a mija rok, odkąd nie możemy normalnie występować i zarabiać – tłumaczył w Radiu Żet. Dodął, że ma na utrzymaniu rodzinę i nie może siedzieć z założonymi rękami, czekając na koniec pandemii.

– Pomagam mojemu szwagrowi, który jest cieślą, i konstruuje drewniane budowle.

Pracuję fizycznie na budowie. [...] Muszę utrzymać rodzinę. Nie chcę jedynie siedzieć w domu i myśleć, że sytuacja pandemiczna jest fatalna. [...] Nie jestem jakąś „obsraną gwiazdą”, która będzie płakać, że ma źle – stwierdził. Ależ nieogarnięty ten Krzywy! Popłakałby trochę, ponarzekał, dał parę smutnych fotek na Instagramie, a potem cyk, na wakacje na Zanzibar czy inne Malediwy. No, żeby takie podstawy trzeba było tłumaczyć!

CIASTO I NA WAKACJE

Andrzej Krzywy powinien iść na lekcje, jak pokazywać smutek w Internecie, do Moniki, jeszcze niedawno Zamachowskiej, a teraz już chyba znów Richardson. Monika ostatnio bardzo narzeka na to, że jej sytuacja finansowa nie jest różowa. Chandrę postanowiła zwalczać wypiekami, czym oczywiście pochwaliła się na Instagramie. Bo jakżeby inaczej! – Tak, to jest ciasto na polepszenie nastroju. Konkretnie szarlotka – oznajmiła Monika pod zdjęciem swojego wypieku. – Zawsze działa, ale dzisiaj zadanie bardzo trudne. Musi sprawić, że przestanę martwić się brakiem kasy. No wiem, problem jest dość powszechny. Dlaczego akurat dzisiaj lęk o jutro podszedł mi pod gardło? Nie mam pojęcia. Naprawdę wiem, że wszyscy mają ciężko, i nie chcę się skarżyć, to zresztą nie leży w mojej naturze. Zrobiłam w swoich sprawach tyle, ile mogłam. Piekę więc szarlotkę i niech się dzieje wola nieba – dodała. A raczej wola reklamodawców, którzy po takim wpisie a nuż się odezwą i zaproponują jakiś promocyjny wyjazd na Zanzibar. Trzymamy kciuki!

WÓDKA Z SASINEM

Aktor Maciej Stuhr poinformował na Facebooku, że zaszczepił się przeciwko koronawirusowi. Przy okazji dał też wyraz temu, co myśli na temat

antyszczepionkowców. – Ja wiem, wolność jest ważna. Mamy ją zapisaną w śp. konstytucji. Ale wolność to jedno, a głupota i brak odpowiedzialności za nasze wspólne dobro, społeczeństwo, jego zdrowie, życie i prosperity to są dla mnie dwie zupełnie różne sprawy. Jeśli przez tę grupę przyjdą kolejne fale epidemii, to będę po prostu wściekły – stwierdził. W myśl zasady „uderz w stół” natychmiast odezwała się Viola Kołakowska, celebrytka słynąca z opowieści o tym, że pandemia to jeden wielki spisek rządzącego światu. – Trzeba być idiotą, żeby wierzyć w to, co jest obecnie propagowane na świecie. Trzeba być głupcem i ślepcem, żeby nie widzieć skali manipulacji planu depopulacji i ludobójstwa [...]. Powodzenia dla wszystkich królików doświadczalnych

– zakończyła swój wywód. Stuhr pożyczył Violi zdrowia, a jej poglądy określił jako „niezwykle szkodliwe, mylne i mogące wyrządzić wiele złu”.

– Osobiście wolalbym iść na wódkę z Sasinem (choć na myśl o jednym i drugim jest mi niedobrze), niż zaufać Twoim poglądom – zakończył. Racja. Bez wódki mądrości Violi nie da się zdzierżyć. Z wódką też nie, ale widać Stuhr ma jakąś sprawę do Sasina i nie wie, jak zagadać.

SPOŁECZNOŚĆ EUROPEJSKA

Rafał Brzozowski zapewnia, że jego piosenka, z którą zamierza wystąpić na Eurowizji, podoba się wszystkim poza Polską. I tylko w Polsce jest krytykowana. – W Polsce, wiadomo, niektórzy hejtują, niektórzy mówią dobre rzeczy – stwierdził w rozmowie z „Super Expressem”. Hejt jest zawsze. Dostałem go sporo w tym roku, ale to zawsze motywuje do pracy, żeby się pokazać z jak najlepszej strony, i cieszę się, że mam taką szansę – dodał. – Jestem po rozmowach ze społecznością europejską, z zagranicznymi dziennikarzami, i tam jest naprawdę dobry odzew. Cieszę się, że im się ta piosenka podoba – oświadczył. To może niech Rafał zostanie reprezentantem „społeczności europejskiej”, a my poszukamy sobie innego kandydata na Eurowizję? No co, zły pomysł? ☹️



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zaczynamy ten nowy tydzień z lekkim bólem głowy, iż przez weekend intensywnie korzystaliśmy z otwartej właśnie gastronomii, a konkretnie z ogródków przy modnych lokalach z nie mniej modnymi kracikami.

Oj, nie jedna DDH TRIPLE HAZY IPA ze sprajtem przełała się przez nasze gardła, nie doświadczył tego tylko Nowy z Tarnowa, który się obraził, iż nie może w lokalu kupić harnasia, i cały wieczór sącył wodę niegazowaną xD

W każdym razie miło było wieczorem usiąść sobie w ogródku, zamówić piwko i przegadać wiele ważnych tematów w miłym towarzystwie, jednocześnie ciesząc się tłumami w knajpach i na ulicach jako oznaką powrotu do normalności.

Zmartwił nas tylko widok ludzi idących na mszę w niedzielny poranek, jakby w ogóle nie rozumieli, iż mamy pandemię, a kościoły powinny być zamknięte.

Wszyscy wiemy, iż Holandia to postępowy kraj, ale teraz to normalnie jesteśmy pod wrażeniem. Otóż w tamtejszych amatorskich drużynach piłkarskich waginoosoby będą mogły grać razem z mężczyznami.

Iż drużyna piłkarska liczy 11 osób, nie ma na razie mowy o równości, chyba że każdy zespół zaangażuje do gry przynajmniej jedną osobę

niebinarną. Za to z punktu widzenia przepisów pozostaje o wiele więcej do zrobienia. Co na przykład zrobić z grą bark w bark? Naszym zdaniem piłka powinna zostać sportem maksymalnie bezkontaktowym, tak aby biologiczni mężczyźni nie czerpali korzyści ze swojej masy mięśniowej. Idąc dalej tym tropem, nie powinni także móc biegać ani kopać piłki. W konsekwencji w takich rozgrywkach sens będzie miał jedynie

studentów dramatycznie pyta, czy chodzi tylko o nadmierną kontrolę studentów i ich wiedzy.

Odpowiadamy: tak, chodzi o nadmierną kontrolę osobostudentów i ich wiedzy. Zamiast pozwolić młodemu ludziom spokojnie korzystać z otwieranej właśnie gastronomii, wścieci profesorowie z Podkarpacia chcą narazić ich na dodatkowy stres związany z egzaminem.

Zamiast pozwolić młodym ludziom spokojnie korzystać z otwieranej właśnie gastronomii, wścieci profesorowie z Podkarpacia chcą narazić osobostudentów na dodatkowy stres związany z egzaminem

udział kobiet i tak oto amatorskie rozgrywki piłkarskie w Holandii zostaną uwolnione spod jarzma maskulinizmu i patriarchy.

Jak wiecie, bardzo kochamy studentów i na sercu leży nam ich ogólny dobrostan i bezpieczeństwo. Tym razem solidaryzujemy się ze studentami z Uniwersytetu Rzeszowskiego, którzy być może będą zmuszeni do zdawania egzaminów w trybie stacjonarnym.

W liście do redakcji lokalnego dziennika „Nowiny” jeden ze

Idąc dalej, możemy zapytać, czy te egzaminy w ogóle są potrzebne, bo przecież można każdemu dać zaliczenie z automatu. Albo pozwolić ściągać w domu przed Teamsami, przecież nie można kogoś dyskryminować z uwagi na słabszą pamięć albo że czegoś nie rozumie.

Myślimi jesteśmy dziś ze studentami z Rzeszowa. Trzymajcie się tam na tym Podkarpaciu. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Konto mejlowe

Mariusz, Marian nas zatopi. Zrób coś!

Jacek, ale co mam niby zrobić? Przeszukiwaliśmy mu już dom tyle razy, że wyjdziemy na durniów kompletnych, jak tam przyjdziemy jeszcze raz. W to już nawet ciemny lud nie uwierzy.

No to nie wiem. Nie możecie go za jazdę po pijaku przyskrzytnić?

Ale jak? Przecież on sam nie prowadzi. Woźą go.

A przez syna? Jakoś tak... inaczej? Że niby nie atakujemy, ale tak jakoś... z troski? Że się martwimy?

Ale jak to? O Mariana?! Zwariowałaś? Kto w to uwierzy? Pół rządu się modli, żeby mu cegła na łeb spadła.

Już wiem! Ten jego syn, to on się przecież mógł załamać. No mógł czy nie?

No... każdy niby może.

No właśnie. Daj no laptopa.

Wyślemy mejla na policję, że niby jesteśmy tym synem i się zabijemy. Jako syn, znaczy się. I wtedy ty pošlesz ludzi, że się martwimy, czy wszystko okej. A sygnał pójdzie. Masz tutaj laptopa.

No ale przecież nie wyślę ze swojego służbowego. Ty umiesz konto mejlowe zakładać?

Nie. A ty?

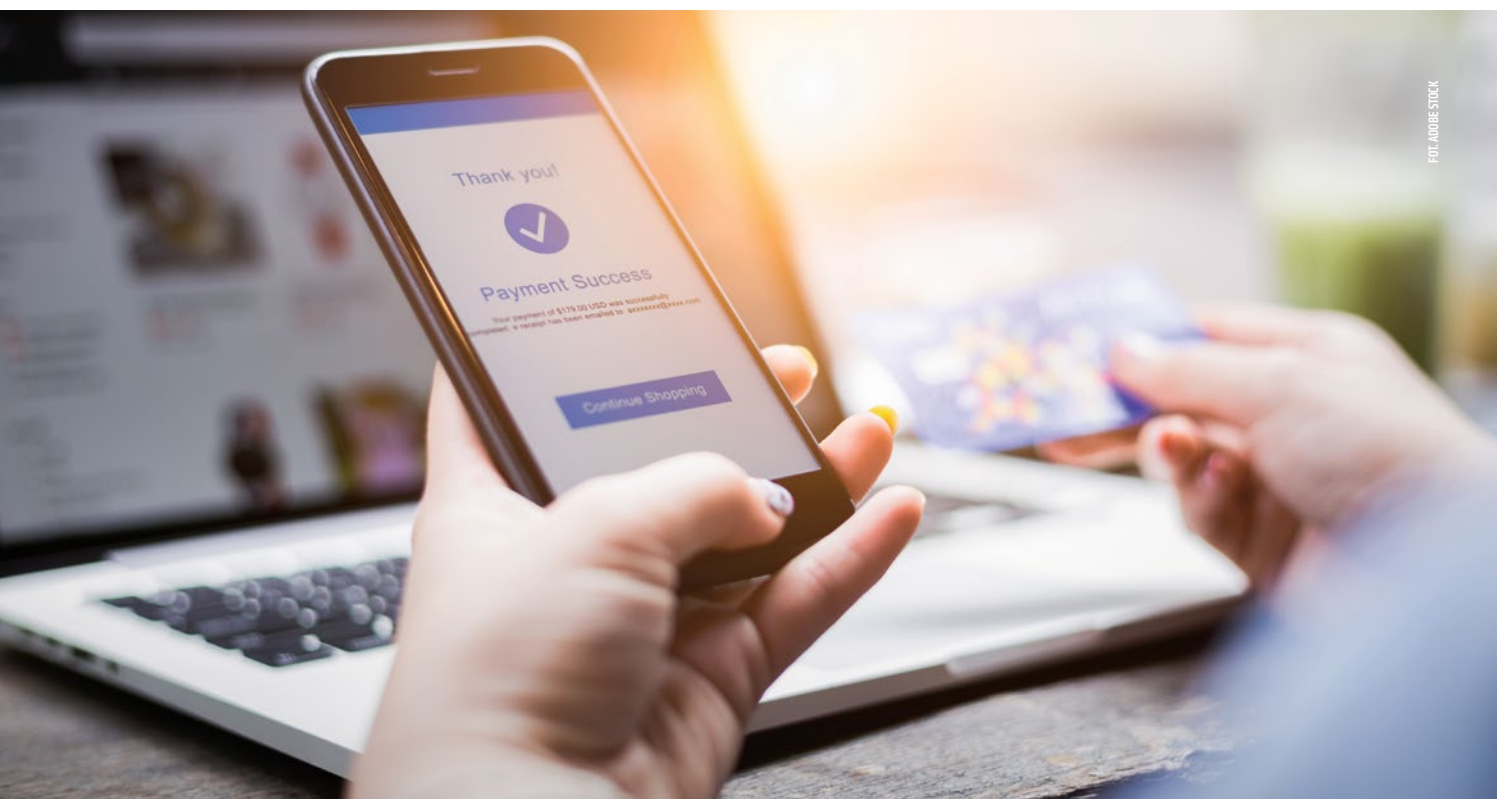
Też nie. Szlag by to, trzeba będzie kogoś trzeciego wtajemniczyć. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Trybunał Stanu to w przypadku Kaczyńskiego minimum”.

LESZEK BALCEROWICZ, były wicepremier, w wywiadzie dla „Newsweeka”



FOT. ADRIAN STOK

Bezpieczna bankowość podczas pandemii

Pandemia COVID-19 zmieniła nie tylko sposób pracy bankowców, lecz także mentalność wielu klientów, którzy wcześniej byli sceptyczni wobec korzystania z nowych technologii. Tym samym przyspieszyła transformację cyfrową sektora bankowego

Nagły wybuch pandemii koronawirusa wymusił radykalne zmiany również w sektorze bankowym. Początkowo doszło do nagłego zamrożenia aktywności gospodarczej, a następnie pojawiła się niepewność co do rozwoju pandemii i przyszłych zachowań konsumentów.

PRZED WSZYSTKIM BEZPIECZENSTWO

NBP dba o to, aby korzystanie z gotówki było bezpieczne. W związku z ustaleniami Światowej Organizacji Zdrowia, mówiącymi o tym, że koronawirus

może się przenosić za pośrednictwem banknotów oraz bilonu, Narodowy Bank Polski zintensyfikował procedury mające zapewnić bezpieczeństwo sanitarne osobom używającym banknotów oraz monet, które opuszczają NBP. Jak tłumaczyła Barbara Jaroszek, główny skarbnik Narodowego Banku Polskiego, na antenie Programu I Polskiego Radia, pieniądze, które opuszczają NBP, są wcześniej poddawane kwarantannie, a oprócz tego zwyczajowym procesom technologicznym, podczas których są ogrzewane do ponad 150 st. C. Podobne procedury wdrożyły także banki centralne w wielu

innych krajach, m.in. w Chinach czy na Węgrzech.

Z badania „Digital Banking Maturity 2020. How banks are responding to digital (r)evolution?” przeprowadzonego przez Deloitte wynika, że w wyniku pandemii 60 proc. banków na całym świecie skróciło godziny pracy swoich oddziałów lub całkowicie te oddziały zamknęło.

Również banki działające w Polsce skróciły godziny pracy wybranych oddziałów, wprowadziły zasady dystansu społecznego, a także dodatkowe rozwiązania sanitarne (klienci są witani bez podawania ręki przez doradców, pracownicy obsługują klientów w maszczkach/przyłbicach i w rękawiczkach. W oddziałach dostępne są preparaty do dezynfekcji dłoni, a bieżącej dezynfekcji poddawane są również stanowiska do obsługi klientów oraz całe oddziały). Dla bezpieczeństwa pracowników w wielu

bankach wprowadzono także pracę w trybie rotacyjnym oraz ściśły harmonogram obecności w biurze.

WIĘCEJ TRANSAKCYJ ZBLIŻENIOWYCH

Z badania zachowań przeprowadzonego przez firmę Bain & Company wśród ok. 10 tys. klientów banków detalicznych w ośmiu krajach wynika, że wybuch pandemii COVID-19 sprawił, iż Polacy zdecydowanie ograniczyli wizyty w bankach. Aż 49 proc. Polaków albo zupełnie zrezygnowało z wizyt w oddziałach, albo zmniejszyło ich liczbę. Wśród 10 przebadanych nacji średni odsetek osób, które odpowiedziały podobnie, wynosił 41 proc. Najczęściej z bezpośrednich kontaktów z pracownikami banków rezygnowali mieszkańcy Brazylii (65 proc.) oraz Wielkiej Brytanii (55 proc.). Takie zachowania Polaków mogą wynikać z tego, że na swoich stronach internetowych banki w Polsce konsekwentnie przekonują klientów do ograniczenia wizyt w oddziałach i tłumaczą, że większość spraw można załatwić zdalnie, nie wychodząc z domu: przez telefon lub za pośrednictwem komputera i aplikacji mobilnej na smartfonie czy tablecie.

Z przywołanego badania Bain & Company wynika, że ponad jedna czwarta ankietowanych zaczęła częściej korzystać z usług bankowości elektronicznej i mobilnej. Jednocześnie pandemia spowodowała wzrost zainteresowania płatnościami bezdotykowymi, czyli dokonywanymi kartami zbliżeniowymi i aplikacjami mobilnymi – nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie. Według wspomnianego badania Bain & Company wiele banków na świecie wdrożyło nowe funkcjonalności cyfrowe, takie jak: w pełni zdalne otwarcie konta (34 proc.), zdalna identyfikacja i weryfikacja (23 proc.) oraz płatności zbliżeniowe (18 proc.). Jeśli chodzi o rozwój cyfrowych kanałów bankowości, Polska zajęła czwarte miejsce na 39 krajów biorących udział w badaniu (za Turcją, Hiszpanią i Belgią).

Banki w Polsce konsekwentnie zachęcają klientów również do robienia zakupów przez Internet (wówczas nie ma się styczności z innymi klientami, kasjerami itp., a jedynie z zamówioną paczką oraz kurierem). Przy okazji tradycyjnych zakupów pracownicy banków przekonują do dokonywania płatności zbliżeniowych za pomocą kart płatniczych, smartfonów czy zegarków wyposażonych w technologię

NFC (skrót od Near-Field Communication, czyli komunikacja bliskiego zasięgu – jest to radiowy standard komunikacji, który pozwala na bezprzewodową wymianę danych na odległość do 20 cm bez konieczności konfigurowania połączenia). Aby ułatwić dokonywanie transakcji, od tego roku zwiększono kwotę płatności zbliżeniowych bez konieczności wprowadzenia numeru PIN. Płatność kartą trzeba potwierdzić PIN-em dopiero wtedy, gdy jej wartość przekracza 100 zł. Podniesienie limitu niesie ze sobą większe ryzyko, np. w przypadku kradzieży karty złodziej będzie mógł zrobić zakupy na większą kwotę. Zawsze można jednak wyłączyć funkcję zbliżeniową (wówczas będziemy narażeni na kontakt bezpośredni z terminalami) lub ustawić limity dziennych transakcji kartowych na niższym poziomie. Pandemia przyczyniła się też do wzrostu zainteresowania płatnościami zbliżeniowymi wykonywanymi poprzez aplikacje mobilne, kartami wirtualnymi w smartfonach lub zegarkach, dzięki czemu możemy zastąpić kod PIN autoryzacją biometryczną.

Według danych NBP na koniec IV kwartału 2020 r. na rynku polskim było prawie 43,7 mln kart płatniczych (o niemal 400 tys. więcej niż we wrześniu 2020 r.), z czego wciąż najwięcej było kart debetowych, a drugą kategorią kart były karty kredytowe. Jak zauważają eksperci NBP: „W związku z epidemią koronawirusa i zamknięciem części sklepów stacjonarnych wzrosła liczba i wartość transakcji kartami płatniczymi w Internecie”. Według danych agentów rozliczeniowych – ujętych w raporcie „Informacja o kartach płatniczych” ze stycznia 2021 r. – w III kwartale 2020 r. kartami płatniczymi w Internecie zrealizowano 38 mln transakcji, czyli więcej o 4,4 mln w porównaniu z kwartałem poprzednim (wzrost o 13 proc.). Łączna wartość transakcji w Internecie opiewała na kwotę 4,869 mld zł (o 116 mln zł mniej niż w kwartale poprzedzającym, spadek o 2 proc.).

CYBERPRZESTĘPCY SZUKAJĄ OFIAR

Towarzysząca pandemii atmosfera niepewności sprawiła, że wzrosła również aktywność cyberprzestępców. Oszuści wysyłają m.in. SMS-y z fałszywą informacją o zablokowaniu środków na kontach bankowych. Jedną z wysyłanych podczas pandemii wiadomości brzmiała: „Informujemy, iż zgodnie ze specustawą doty-

czącą koronawirusa Państwa środki na rachunku zostają przekazane do rezerwy krajowych NBP. Zaloguj się, aby zatrzymać 1000 PLN”.

W ten sposób próbowano wyłudzić dane do logowania, by następnie bez trudu ukraść nieświadomym niebezpieczeństwa ofiarom zgromadzone na ich kontach pieniądze.

Cyberprzestępcy rozsyłali także informacje o konieczności uiszczenia opłaty za szczepionkę przeciw koronawirusowi, do których dołączany był link do fałszywych stron bankowości internetowej: „Zgodnie ze specustawą dot. koronawirusa wszyscy obywatele RP będą szczepieni. Z refundacją koszt wynosi 70 PLN. Oplac, aby uniknąć kolejek” (pisownia oryginalna) – głosił komunikat wysyłany przez oszustów. Policja ostrzega także przed złodziejami, którzy – aby dokonać kradzieży tożsamości – sugerują, że każdemu obywatelowi przysługuje wsparcie żywieniowe. Wystarczy się zalogować, aby stracić swoje oszczędności...

W normalnych czasach wiele osób od razu wykasowałyby takie wiadomości. W okresie pandemii wiele ludzi działa jednak pod wpływem tak silnych emocji, że łatwiej daje się oszukać kryminalistom. Co zrobić, aby nie paść ich ofiarą? Przede wszystkim zachować zasadę ograniczonego zaufania. Jeśli oszust w wiadomości SMS podszywa się pod bank lub ministerstwo, warto wejść na stronę internetową danej instytucji lub na jej profil w mediach społecznościowych i spróbować zweryfikować daną wiadomość. Można też oczywiście zadzwonić na infolinię i poinformować o próbie oszustwa.

Z kolei przed kliknięciem na otrzymany link warto sprawdzić dokładnie jego adres. Logując się do banku, za każdym razem należy sprawdzić, czy dana strona posiada certyfikat SSL (w tym celu należy kliknąć kłódkę znajdującą się obok paska adresu) oraz przeczytać jego treść (w dolnym oknie wyświetlą się dane właściciela witryny, zabezpieczonej certyfikatem SSL). Zajmie to dosłownie chwilę, a znacząco zmniejszy ryzyko padnięcia ofiarą oszustów. Warto także ostrzec przed hakerami starszych członków rodziny lub znajomych, którzy mogą nie być świadomi, jak łatwo w cyberprzestrzeni można stracić wszystkie swoje pieniądze.

Podobnie jak w przypadku koronawirusa, tak w przypadku cyberzagrożeń dla własnego bezpieczeństwa trzeba więc zachować wzmoczoną czujność.



**Z Tomaszem Wróblewskim,
prezesem Warsaw Enterprise Institute
rozmawia Jakub Wozinski**

FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

Eurokraci przejmują władzę nad Unią Europejską

JAKUB WOZINSKI: Na temat wielkiego resetu krąży, jak wiadomo, wiele teorii spiskowych. Jak to jednak możliwe, że o potrzebie dokonania wielkiej zmiany społecznej, korzystając na dodatek z niemal tej samej nowomowy (jak choćby „build back better” czy też „nowa normalność”), zaczęli jednocześnie mówić m.in. Joe Biden, przywódca europejscy, Klaus Schwab, a nawet papież Franciszek? Nawet osobie mocno sceptycznej mogło się to wydawać mocno podejrzane.

TOMASZ WRÓBLEWSKI: Żyjemy w momencie, gdy wyczuwamy nadchodzące duże przesilenie. Pewne paradygmaty, które towarzyszyły nam co najmniej od 1945 r., na których zostały zbudowane nasza demokracja, system polityczny, relacje międzyludzkie czy też system finansowy, rozsypują się. Wszyscy to czujemy. Jak zresztą pokazuje historia, ludzie zawsze zdawali sobie sprawę, że nadchodzi jakiś ważny moment przesilenia. Zarówno św. Augustyn czy też choćby Justynian czuli, że jakaś epoka się kończy. To samo dotyczyło czasów Herodota. Największą trudnością była zawsze umiejętność przewidywania, jak ten świat będzie wyglądał.

Część polityków i „architektów dusz” próbuje wykorzystać ten moment, żeby przedstawić swoją własną narrację, jak ten świat ma wyglądać w przyszłości, wykorzystując powszechny niepokój. Inni po prostu to analizują i pokazują, co się zmienia i w jakim kierunku wszystko może podążać, ale nie musi. I to jest właśnie chyba różnica między podejściem, w którym staramy się przyglądać temu, co się zmienia, i reagować na to, a tym, w którym staramy się wmawiać ludziom, jak ten świat będzie wyglądał. Jestem bardzo sceptyczny co do tego, że jesteśmy w stanie przewidzieć, jak ten świat będzie poukładany. Klaus Schwab trochę to robi w swojej książce i próbuje nam powiedzieć, od czego ten świat będzie zależał i jak musimy postępować, żeby tu przetrwać.

Yuval Harari twierdzi, że zawsze żyjemy w jakichś opowieściach. Czy jest to feudalizm, niewolnictwo czy kapitalizm – to wszystko są jakieś opowieści opisujące naszą rzeczywistość. Jeżeli ktoś potrafi tę narrację odpowiednio dobrze zbudować i wcelować w nasze poczucie zagrożenia, niepewności, nasze pożądania, to ta narracja staje się dominująca. Kapitalizm wydawał się nam do tej pory naturalnym elementem funkcjonowania ludzkości, ale swego czasu tak samo wydawały się niewolnictwo czy feudalizm. Ta narracja wydawała się spójna z rzeczywistością. Ale w pewnym momencie te paradygmaty za-

Pojawia się kolejny mechanizm uwspólnienia podatków, w którym urzędnicy dostaną własne fundusze pierwszy raz do ręki, sami będą pobierali podatki. **Trwa dyskusja, jak to się będzie odbywało**

czynają się sypać – o czym pisał doskonale Machiavelli, a sto lat później Locke – i trzeba wszystko poukładać na nowo. Część polityków to robi, na swój sposób także Bill Gates. Przekazują nam swoją narrację. Wiele w tych próbach narzucania narracji jest niespójności i nieścisłości, ale wiele elementów jest też poprawnych, np. wskazywanie na niepokoje na rynku pracy.

Jeżeli mówi się o resecie, to co dokładnie będzie jego przedmiotem? Światowe zadłużenie, a może system finansowy?

Odnoszę wrażenie, że za 20 czy 30 lat większość problemów, które nas nurtują, nie będzie miała dla nas znaczenia. Nie będziemy już żyli zmianami klimatycznymi, nierównościami społecznymi. Nie chodzi o to, żeby klimat miał się tak drastycznie poprawić, a nierówności zniknąć, podobnie jak napięcia między mężczyznami a kobietami. Zmieni się jedynie perspektywa. Zaczniemy patrzeć na świat pod innym kątem.

Jedną z takich zmian perspektyw będzie dotyczyła demografii. Największym zwrotem w historii cywilizacji była zmiana demograficzna po XVIII w. Potem nastąpiły rewolucja przemysłowa i konsekwencje tego, czyli liberalizm, kapitalizm, które miały źródło właśnie w przemianach demograficznych. Te zaś nigdy nie następują w ciągu dwóch-trzech pokoleń, ale w ciągu pięciu-sześciu. To są wielkie okresy w historii ludzkości, trwające czasem po 100–200 lat. Ktoś nawet porównał je do lodowca. Lodowiec wypiętrza góry, tworzy rzeki, jeziora i wydają nam się one trwałe. Tak samo demografia: zmienia pewne relacje, zmienia układy między państwami. Jedne państwa wypiętrza, jak Prusy swego czasu, i to powoduje ogromne konsekwencje geopolityczne, polityczne, a nawet filozoficzne.

Jeżeli patrzymy na demografię, która określiła proces przemian społeczno-ekonomicznych od końca XVIII w., gdy nastąpił ogromny wzrost, to obecnie mamy zwrot w drugą stronę, postępującą depopulację. Ona na razie raczkuje i jest stosunkowo ograniczona, m.in. do Japonii, Polski, krajów nadbałtyckich. Ale

w Chinach i większości państw azjatyckich jest już implozja demograficzna. Nawet Stany Zjednoczone mają najniższy wzrost demograficzny od 1930 r. Nasze myślenie o tym, co jest dobre dla gospodarki i rynku, zmieni się nawet w prostych rzeczach: czy chcemy systemu bardziej socjalnego czy bardziej konkurencyjnego. Starsi ludzie będą bardziej zachowawczy, będą budować system zapewniający im jak najwięcej świadczeń, spokoju i nie będą zainteresowani agresywną konkurencją, a w demokracji będą mieli coraz większy wpływ na rzeczywistość. Stąd właśnie ślamazarność gospodarcza Unii Europejskiej.

Przez te wszystkie lata od 1945 r., a tak naprawdę aż od czasów Adama Smitha, myśleliśmy przez pryzmat wolności, indywidualizmu. Teraz możliwe, że znowu zaczniemy myśleć przez pryzmat demografii. Mówię „znowu”, ponieważ tak naprawdę wracamy do epok wcześniejszych, kiedy ilość, a nie jakość się liczyła.

W tym nowym porządku, który nam się powoli klaruje, głównym motywem rządzenia będzie zatem kontrola topniejących zasobów. Wzrost demograficzny zapewni wolność, teraz rządy skupią się na kontroli i ograniczaniu.

To może być pochodna. Jednak czynikiem znacznie bardziej istotnym może być np. strach przed utratą osiągniętego poziomu jakości życia. To trochę tak jak w starożytnym Rzymie: postępująca pauperyzacja klasy średniej, malejący wzrost gospodarczy wynikający z tego, że coraz mniej ludzi pracuje, a coraz więcej ludzi trzeba utrzymywać, sprawią, że walutą, którą politycy będą zdobywali głosy – tak jak zboże w starożytności – będzie zagwarantowanie obecnego status quo. Jeżeli wsłuchamy się w narrację Unii Europejskiej, to jest to cały czas gwarancja dobrobytu. To jest coś, co się cały czas mówi: żeby mieć ten dobrobyt, musimy zgodzić się na nowe regulacje, nowe podatki. Uwagę zwraca to kurczone trzymanie się stanu zastanego, mimo że tak naprawdę poziom życia się kurczy, np. w Grecji czy we Włoszech, które od 2004 r. w zasadzie nie mają wzrostu

gospodarczego. Pomimo dramatycznej sytuacji politycy starają się wciąż ludziom wmówić, że robią wszystko, aby mogli żyć wciąż na tym samym poziomie.

Kontrola, o której pan mówi, to część innej narracji zwolenników wielkiego resetu, czyli żeby żyć i przetrwać spadek dobrobytu, musimy pójść na daleko idące wyrzeczenia. Zgodzić się na kontrolę treści, bo się inaczej pozagryzamy, zgodzić się na gwarantowaną równość między ludźmi, wysokie podatki, określony poziom życia dla wszystkich.

rynek i przemiany społeczne spowodowały, że byliśmy w stanie produkować odpowiednio większą ilość żywności. Zmiany relacji międzyludzkich, konkurencja, rywalizacja – to wszystko, co znamy z historii kapitalizmu, spowodowało, że żywności można było wyprodukować coraz więcej. Można by sobie wyobrazić, że w dzisiejszych czasach Malthus byłby w stanie szybciej zakomunikować swoje troski i decyzje rządzących i przeprowadzić tę rewolucję. Tak samo Klub Rzymski w 1973 r. mógł teoretycznie wpłynąć na

lojalnościowych. Oczywiście jest to jakaś korupcja, ale to naturalne zachowanie człowieka, bo jeśli coś jest wbrew jego dobrobytowi, to w pewnym momencie zaczyna ten system korumpować.

Na to wszystko trzeba spojrzeć jeszcze inaczej: od kiedy przyjęliśmy, że mamy bardzo poważny problem klimatyczny, byliśmy świadkami najszybszego wzrostu gospodarczego w dziejach i najszybszego wzrostu poziomu życia biednych narodów. Rzeczywiście zwiększył się poziom zanieczyszczenia i rozwinął się przemysł, ponieważ bogaciły się społeczeństwa, które jeszcze niedawno doświadczały głodu. Afryka, Indie, wcześniej Chiny, większość Azji to były kraje głodujące. Dziś nigdzie na świecie, gdzie nie toczy się wojna, jakaś bratobójcza walka, nie ma już głodu. Proszę zwrócić uwagę, że ONZ nie mówi już o głodzie, tylko o problemie niedożywienia. Za to jest jednak jakaś cena. Produkujemy więcej żywności, co wymaga też więcej energii do jej wytworzenia, zwiększenie produkcji mięsa podobno szkodzi klimatowi i znajdujemy się znowu w tej samej sytuacji co za czasów Malthusa: biedni ludzie zaczynają żyć normalnie. Przenoszą się z szałasów do domów, ogrzewają swoje mieszkania, piją czystą wodę i w jakiś sposób marnują surowce. Natura broni się, poprzez demografię właśnie. Populacja Ziemi cały czas rośnie, dojdzie do ok. 11 mld i zacznie spadać. Proces depopulacji dotknie także Afrykę. Tylko jeśli nie pozwolimy się tym narodom bogacić, bo powiemy, że zanieczyszczają powietrze, to co my im tak naprawdę proponujemy? Wracajcie do szałasów? Przestańcie produkować i zaczynajcie znów uprawiać ekstensywnie ziemię albo życie z łowiectwa? Nie ma tu żadnych kontrpropozycji.

Jesteśmy ponownie w okresie końcówki XVIII w., w czasach Malthusa, gdy nikt nie wiedział, jak to się skończy. Nie wiedział, że wytworzy się wolny rynek, że będziemy w stanie wyprodukować nadwyżki żywności, skolonizować Australię, Amerykę i nadprodukcja ludzi się rozjedzie po całym świecie. Tego wszystkiego nie wiedzieliśmy wtedy i teraz też nie wiemy, jak człowiek sobie poradzi z problemem klimatycznym. Bardzo możliwe, że sobie poradzi tak, iż będzie nas mniej, bo jeśli będzie mniej nas, ludzi, to pojawi się mniej zanieczyszczeń. Jeśli czegoś dzieje ludzkości nas uczą, to tego, że najgorsze efekty dają radykalne rozwiązania, które mają sprzyjać naszym wyobrażeniom o przyszłości. Zamiast

To jest hamiltonowski moment, w którym dochodzi do skupienia władzy w rękach urzędników. W wypadku Stanów Zjednoczonych byli to jednak zawsze wybieralni politycy, a ci europejscy są mianowani – i to jakimiś dziwnymi kanałami – i to jest ta różnica

A jak do tych starań o utrzymanie dotychczasowego poziomu życia ma się zielona transformacja, która przecież mnoży koszty? W ramach wielkiego resetu zielone cele mają zdecydowany priorytet.

W ostatnim czasie w świecie akademickim coraz częściej wybrzmiewa nowa dyskusja. Mówi się, że możliwe, iż zmiany klimatyczne nie są wcale aż tak tragiczne, jak nam się wydawało, a wyrzeczenia, o których mówimy, są nadmierne wobec celów, które sobie stawiamy.

Mamy tutaj pewien odwieczny problem, bo zapewne ani pan, ani ja nie jesteśmy w stanie zweryfikować wyników pracy naukowców głoszących, że następuje ocieplenie klimatu. Przyjmijmy więc, że ono rzeczywiście w dużym stopniu stanowi efekt działalności człowieka. Nie byłoby to takie dziwne, bo w historii wiele zmian cywilizacyjnych następowało w wyniku działań człowieka. Patrząc na historię, możemy sobie uświadomić ten proces zmian i te niebezpieczeństwa, które nadchodzą, i pozwolić naturze człowieka samej sobie z tym radzić.

Zupełnie inne rozwiązanie proponował Tomasz Malthus, który przekonywał, że za chwilę zabraknie jedzenia dla większości mieszkańców Londynu, że wszystkich czeka katastrofa, ludzie zaczną się mordować nawzajem, i dlatego proponował tak dramatyczne rozwiązania jak ograniczenie liczby ludzi czy też przeznaczenie żywności dla najbardziej wartościowych osób. Dlaczego zalecenia Malthusa nie zostały wprowadzone w życie? Otóż natura sama ten problem rozwiązała. Wolny

naszą rzeczywistość poprzez zmuszenie rządzących do zmiany zachowań, racjonalowania wody, żywności, wydawania certyfikatów i pozwoleń na to, kto ile może mieć dzieci. I to mogło się zdarzyć. Dziś jesteśmy w podobnej sytuacji: mamy zapaść demograficzną, mamy problem z tymi, jak pan to dobrze ujął, zasobami wszelakimi i mamy propozycję, żeby w związku z tym narzucić nam pewną kontrolę, racjonalowanie, zmusić nas do wyrzeczeń, większego posłuszeństwa, większej subordynacji.

Obecnie widzimy, że zielona transformacja idzie pełną parą, a Polska partycypuje w unijnym Funduszu Odbudowy.

Bardzo możliwe, że tym razem uda się narzucić radykalne rozwiązania, nie czekając na to, jak zachowa się natura. Ten kurs, szczególnie w Europie Zachodniej, ale także narzucony w USA przez prezydenta Bidena, jest bardzo daleko idący i zakłada ogromne wyrzeczenia, dla których nie ma kontrpropozycji. Trudno powiedzieć, co się stanie, bo nigdy nie przerabialiśmy takiego eksperymentu i to jest jeden z zarzutów, które stawia się zwolennikom tego resetu – że tak naprawdę podejmują działania, których konsekwencji nie są w stanie przewidzieć. Nie mamy odpowiednika w historii.

Pewne przepisy, które będą wchodziły w życie, będą się rozmywały, a firmy będą je obchodzić. Już dziś część firm tworzy rozmaite rozwiązania paraekologiczne tylko po to, aby to się tak ładnie nazywało, aby dostać tylko ileś tam punktów

je stosować, powinno się reagować na bieżąco i pozwolić naturze działać.

Sejm uchwalił właśnie Krajowy Plan Odbudowy. Czy to sukces, czy właśnie zrzekliśmy się bardzo ważnych atrybutów suwerenności?

Jest to bardzo ciekawy projekt. Jednak, po pierwsze, nazwa – Plan Odbudowy – zakłada, że coś jest zburzone i zaczynamy to budować od nowa. Nasza gospodarka nie została zrujnowana tak jak gospodarki państw europejskich. Zostaliśmy dotknięci pandemią w mniejszym stopniu, choć wzrost gospodarczy po raz pierwszy od 30 lat się skurczył. Nasza przewaga polega na tym, że mamy fantastyczny rozwój gospodarczy wynikający z nadwyżek eksportowych.

Po drugie, pieniądze z Unii Europejskiej nie idą na odbudowę i nie są skierowane tam, gdzie gospodarka została najbardziej dotknięta. Najmocniej poszkodowane zostały branża restauracyjna, hotelowa, drobnych usług, małe i średnie firmy. Pieniądże nie popłyną do restauracji. Uważam, że to dobrze, gdyż ten sektor sobie poradzi, choć pewnie niecały, i to jest tragiczne, że część ludzi straciła swój dobytek, ale o gastronomię jako segment gospodarki jestem spokojny, że się bardzo szybko odbije. Pieniądże przeznaczane są na rozwój nowej ekonomii: na transformację klimatyczną, na transformację cyfrową.

Po trzecie zaś, pieniądze popłyną na zmiany w systemie administracyjnym, zarządzania. Nie wiem, dlaczego tak mało się u nas o tym mówi, a to jest dość istotne z perspektywy samej Unii Europejskiej.

Pieniądzy na rozwój nigdy nie jest dość. Możemy zainwestować w rozwój cyfrowy, w rozwój technologii informatycznych, te pieniądze na pewno bardzo nam się przydadzą. Tylko musimy pamiętać, że to nie jest nasza najsilniejsza strona. Do tej pory nasze przewagi konkurencyjne były w prostej produkcji przemysłowej. W związku z tym, żeby rozwinąć te gałęzie gospodarki, będziemy musieli sięgać po technologie innych państw: Niemiec, Francji, Holandii czy też Danii. Są to kraje, które co prawda mniej pieniędzy dostaną w ramach tego projektu, ale zrekompensują to sobie dzięki temu, że są właścicielami większości technologii. I tak jak w Funduszach Europejskich z każdego euro jakieś 60 eurocentów wracało w postaci inwestycji i nowych projektów, to myślę, że tutaj to będzie nawet więcej.

Z pewnością więc, jeśli przyjmiemy za miarę bezpieczeństwa ekonomicznego kraju rozwój energetyki odnawialnej, to dobrze, że będzie jej więcej. Twierdzę, że to jest bezpieczeństwo finansowe ze względu na to, że wszystkie kary za CO₂ powodują, że niezależnie, co o tym myślimy, destabilizuje to polską gospodarkę i polskie finanse. Rosnące ceny energii na pewno nas destabilizują i ograniczają konkurencyjność naszej gospodarki. Wsparcie ze strony Unii Europejskiej pewnie nam pomoże. Taka jest rzeczywistość, jeśli funkcjonujemy w Unii Europejskiej.

To, co w tym projekcie dla mnie jest najciekawsze, to nie to, jak te pieniądze będą dystrybuowane. Tymczasem debata, która się odbyła w Sejmie, dotyczyła tego, kto będzie te pieniądze rozdawał. Zresztą nie tylko u nas. Podobnie jest w Finlandii, ten sam spór się toczył we Włoszech, to są naturalne reakcje. Nie wiem, czy ktoś to sobie zaplanował w Komisji Europejskiej, ale było pewnie do przewidzenia, że mało kto będzie zwracał uwagę na to, co jest najważniejsze dla niewybieralnych urzędników Unii Europejskiej. A dla nich najważniejsze są: po pierwsze, stworzenie mechanizmów wspólnego zadłużenia i obligacji unijnych, a po drugie – to, jak te pieniądze będą spłacane. I tutaj pojawia się kolejny mechanizm uwspólnienia podatków, w którym urzędnicy dostaną własne fundusze pierwszy raz do ręki, sami będą pobierali podatki. Trwa dyskusja, jak to się będzie odbywało. To zresztą zabawne, bo my podpisujemy jakiś pakiet odbudowy, a nie wiemy jeszcze, jak będziemy to spłacać, gdyż są tam trzy propozycje rozwiązań, z których tylko jedno zdaje się, że przejdzie (jest to podatek od emisji CO₂), a pozostałe są w zawieszeniu.

Podpisaliśmy się więc in blanco.

Właśnie. To tak, jakby pan podpisał umowę o kredyt, nie widząc jej kolejnej strony, czyli tego, na jakich warunkach to będzie spłacane. No i jest plan B Komisji Europejskiej – jeśli się nie porozumiemy, to w 2028 r. w następnej perspektywie finansowej, będziemy się na Unię składali, ale nie będziemy dostawali z powrotem pieniędzy. Czyli na politykę spójności, na politykę rolną te pieniądze w jakimś stopniu nie będą spływały. Wówczas już stworzymy państwo, które ściąga z nas należności, a potem wydaje według własnego uważania.

I kolejna rzecz, która gdzieś nam umknęła: do wszystkich funduszy unijnych, czyli do tych wszystkich projektów, które dopiero będą przekazywane państwom, zostały dołączone pewne warunki sformułowane przez urzędników. We Włoszech to były wymogi dotyczące systemu prawnego, w przypadku Hiszpanii – chodziło o rynek pracy, w Polsce – o warunki klimatyczne. Komisja Europejska określiła brzegowe warunki, po których spełnieniu będziemy mogli ubiegać się o pieniądze. Wiadomo, jakie reformy będziemy musieli przeprowadzić.

I do tego dochodzi cały pakiet, o czym już wspominałem, zmian w systemie administrowania, w zakresie efektywności służby zdrowia, administracji samorządowej itd., do których są dołączane różne zastrzeżenia Komisji Europejskiej. Zwykle w przeszłości były to rzeczy, które ustalała Rada Europy albo państwa członkowskie. A tym razem zrobili to urzędnicy. Trochę ze względu na pośpiech, nerwowość i konieczność podjęcia szybkich działań.

Czyli hamiltonowski moment Europy.

Tak, to jest hamiltonowski moment, w którym dochodzi do skupienia władzy w rękach urzędników. W wypadku Stanów Zjednoczonych byli to jednak zawsze wybieralni politycy, a ci europejscy są mianowani – i to jakimiś dziwnymi kanałami – i to jest ta różnica. Pamiętajmy jednak, że zawsze, gdy akcja tworzenia centralnej władzy i ograniczania samorządności jest zbyt szybka, to wcześniej czy później pojawią się inne siły, które będą próbowały na to zareagować. Jesteśmy na ścieżce bardzo szybko idącej federalizacji. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby ta federalizacja była kwestią umowy społecznej. Gdybyśmy przeszli referendum, jak było w wypadku referendum w sprawie traktatu lizbońskiego. Jednak Komisja Europejska i jej urzędnicy tego nie chcą. Próbuje to zrobić małymi krokami, wykorzystując napięcia, sytuację społeczną, konflikty wewnątrz państw, żeby wywołać konsolidację władzy w swoich rękach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Wróblewski – prezes Warsaw Enterprise Institute, dziennikarz, publicysta współpracujący m.in. z „Do Rzeczy”, były korespondent Radia Wolna Europa i RMF FM z Waszyngtonu, były redaktor naczelny „Newsweek Polska”, „Forbesa”, „Rzeczpospolitej” i „Dziennika Gazety Prawnej”

Za jaką cenę?



Wojciech Golonka

Polskę powinno być stać na odmówienie „chwilówki” w postaci Funduszu Odbudowy. Ryzyko jest zbyt wielkie

Kancelaria premiera prowadzi w ostatnim czasie głośną kampanię społeczną #LiczSięPolska, w której informuje o wynegocjowanych przez rząd pieniądzach i zapowiada bajeczną przyszłość: „770 mld zł z unijnych funduszy to niepowtarzalna szansa na odbudowę gospodarki, wsparcie służby zdrowia i zapewnienie europejskiego poziomu życia każdej rodzinie”. Suma ta, w kontekście pandemicznym, kojarzona jest z Funduszem Odbudowy Unii Europejskiej, co sugeruje także sam komunikat kancelarii. W rzeczywistości podawana przez rząd kwota to łączna suma „standardowych” subwencji dla Polski z Wieloletnich Ram Finansowych Unii na lata 2021–2027 oraz środków z Funduszu Odbudowy w ramach odrębnego budżetu nazwanego „Unia Europejska Nowej Generacji” (NextGenerationEU). A to właśnie ten fundusz (precyzyjnie: „Instrument na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności”) stanowi kość niezgody wśród polskiej prawicy.

NOWY PLAN MARSHALLA?

Media regularnie podają, że Polska w ramach Funduszu Odbudowy uzyskała kwotę 58 mld euro, co jest informacją nieuzasadnioną. Polska, owszem, może na pewnych zasadach ubiegać się w Komisji Europejskiej łącznie o 58 mld euro z funduszu, przy czym na dziś, jak wynika z przesłanego 3 maja do Brukseli przez rząd „Krajowego Planu Odbudowy”,



Polska wnioskuje o 36 mld euro, z czego 23,9 mld w bezzwrotnych dotacjach (możliwe maksimum), a 12,1 mld w pożyczkach. Warunkiem akceptacji tego planu jest m.in. przeznaczenie przynajmniej 37 proc. tych środków na transformację na rzecz zielonego ładu oraz 20 proc. na transformację cyfrową, stąd o wiele bardziej wskazane byłoby nazwanie funduszu „Funduszem Przebudowy” Unii Europejskiej. Przebudowy w zasadzie na koszt Polski, bo pożyczki trzeba spłacić najpóźniej do 2058 r., a rzekome bezzwrotne dotacje spłacimy w tym samym okresie wedle proporcji naszej składki do Unii, z wyliczeń rządu będzie to kwota od 16,8 do 19,5 mld euro. W najlepszym rozrachunku dostaniemy więc bezzwrotnie jedynie 7,1 mld euro, a skoro środki „wolne” od narzucanych nam przez Brukselę transformacji to maksimum 43 proc. całości, to rachunek netto wyniesie co najwyżej 3 mld euro, 0,09 proc. siedmioletniego PKB w Polsce. Co zostanie z tych pieniędzy po odliczeniu kosztów aparatu administracyjnego, o odsetkach za część pożyczoną – ok. 0,5 mld euro – nie wspominając?

Oczywiście można odpowiedzieć, że aby PKB w Polsce wrócił do poziomu sprzed pandemii, potrzebne są pieniądze

na rozruch, stąd Fundusz Odbudowy pozostaje niezbędnym narzędziem do pobudzenia gospodarki europejskiej. Teza zrozumiała, ale jak najbardziej dyskusyjna – zważywszy, że obecnie kraje europejskie (np. Francja) zadłużają się indywidualnie na znacznie wyższe kwoty niż te, które nam przypadną, i robią to w dodatku przy ujemnej stopie procentowej. Pieniądze zresztą będą wypłacane Polsce transzami i jak już wspomnieliśmy, ponad połowa środków pójdzie na specyficzne transformacje, które z pewnością dadzą zarobić poszczególnym producentom technologii energetycznych czy cyfrowych, ale niekoniecznie musi to oznaczać pozytywny bilans finansowy dla ogółu społeczeństwa.

Bo cele funduszu, bardziej niż finansowe, zdają się polityczne. Sam wysłany przez rząd do Brukseli plan odbudowy pozostaje ogólnikowy (o zawartych w nim błędach arytmetycznych nie wspominając). Czy dla kwot tego rządu warto podpisywać cyrograf?

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

Kolejny kontrowersyjny warunek: Polska, wraz z innymi krajami, ma być żyrantem całego Funduszu Odbudowy w wypadku niemożności spłacenia pożycz-



FOT. ANATOLI CHOMIEZ/EPICUM

Za środki z Funduszu Odbudowy nasz rząd udzielił Komisji Europejskiej zgody na nakładanie podatków mających zwiększyć jej zasoby

wstępne: „Rada Europejska obradująca w dniach od 17 do 21 lipca 2020 r. odnotowała, że jako podstawę dodatkowych zasobów własnych Komisja przedstawi w pierwszym półroczu 2021 r. wniosek w sprawie mechanizmu dostosowywania cen na granicach z uwzględnieniem emisji CO₂ oraz wniosek w sprawie opłaty cyfrowej w celu ich wprowadzenia najpóźniej do dnia 1 stycznia 2023 r. Rada Europejska zwróciła się do Komisji o przedstawienie zmienionego wniosku w sprawie unijnego systemu handlu uprawnieniami, z możliwością rozszerzenia go na sektor lotniczy i morski. Stwierdziła, że w czasie trwania wieloletnich ram finansowych na okres 2021–2027 („WRF 2021–2027”) Unia będzie pracować nad wprowadzeniem innych zasobów własnych, które mogą obejmować podatek od transakcji finansowych”.

Tłumacząc język technokratów na język polski: państwa Unii Europejskiej upoważniły Komisję do przygotowania podatków mających zwiększyć środki własne Unii, w tym podatków związanych ze śladem węglowym, ale pod uwagę są brane także „inne zasoby” własne, czyli podatki te mogą być tak naprawdę dowolne. Teoretycznie nowe podatki będą wymagały zgody Rady Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, ale wszyscy – w tym Polska – umówili się już co do zasady, dali Komisji carte blanche do działania. A skoro Unia zaciąga długi na ratowanie europejskiej gospodarki, to kto w tej pełnej dramaturgii sytuacji pozwoli sobie na jętrzenie wobec podatków, którymi lada dzień obdarzy nas Bruksela? Ba, równie dobrze możemy spodziewać się projektów podatków tworzonych w gabinetach lobbystów, będących orężem wojny gospodarczej: wystarczy bowiem odpowiednio dobrać parametry, aby objąć podatkiem produkty konkurencji, np. polskiej, a produkt lobbysty pozostawić nieopodatkowany. Mowa też o rozszerzonym systemie handlu uprawnieniami do emisji węgla – co to oznacza docelowo dla polskich

kopalni, wiadomo – ale nasza potrzebująca rozruchu gospodarka może zostać w ogóle w najbliższym czasie przyduszona kolejnymi kosztami energii z węgla, które pogłębią dodatkowo naszą inflację.

Odbudowa to po części kosztowna przebudowa, o której kształcie nie mamy prawa decydować (obóz władzy obiecywał przecież wyborcom obronę polskiego węgla), a za którą zapłacimy rachunek.

PIENIĄDZE ZA „PRAWORZĄDNOŚĆ”

Wisienką na torcie są unijne dotacje podlegające dwuznacznej zasadzie „praworządności”, którą przedstawiciele Komisji definiują jako prawowierność ich jedynie słusznej ideologii (np. tęczowej). Wciąż nie uznajecie małżeństw gejowskich? Nieładnie – kurek z unijnymi pieniędzmi będzie geschlossen! Bo przecież właśnie takie groźby regularnie padają ze strony unijnych komisarzy, a wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, Katarina Barley, wyznała nawet, że Polskę czy Węgry należy „zagłodzić finansowo”, do czasu, gdy nauczymy się tańczyć, jak nam zagrają.

Mechanizm Funduszu Odbudowy zawiera dla naszego kraju wiele potencjalnych strat i zagrożeń, które w realiach dotychczasowej praxis integracji europejskiej oraz gospodarczej rywalizacji (o obsesjach ideologicznych nie wspominając) budzą uzasadnione obawy. Tym bardziej że – jak widać – urzeczywistnienie funduszu odbywa się pod ciągłą presją, w łańcuchu wzajemnych uzależnień. Niby krajowe parlamenty mają prawo nie ratyfikować zwiększenia zasobów własnych Unii Europejskiej, ale mówi się wówczas posłom, że będą odpowiedzialni za zablokowanie wszystkich przysługujących nam z budżetu Unii standardowych subwencji na lata 2021–2027. Niby nie zgodzono się na żadne konkrety odnośnie do podatków, a tym bardziej nie ratyfikował ich Sejm, ale już dawno zgodzono się na znacznie więcej – na zasadę opodatkowywania nas przez Komisję Europejską. Tymczasem „Liczy się Polska”, na której bezpieczeństwie oszczędzać nie można. Skoro stać nas na zakup samolotów F-35, to stać nas musi być także na odmówienie sobie „chwilówki” w postaci Funduszu Odbudowy. Realne ryzyko, które się z nim wiąże, jest bowiem nieadekwatne do doraźnych korzyści finansowych.

RYSZARD GROMADZKI: W jaki sposób odpowiedziałby pan krytykom ratyfikacji ustawy o unijnym Funduszu Odbudowy, których zdaniem wraz z przyjęciem tej ustawy Polska oddaje Unii istotną część swojej suwerenności?

RYSZARD CZARNECKI: Odpowiedziałbym spokojnie i bez emocji. Na pewno nie odsądzając ich od czci i wiary, bo każdy ma prawo do swoich wątpliwości. Zwłaszcza wobec Unii, która w ostatnich pięciu–sześciu latach często występowała wobec Polski z pozycji niedopuszczalnych. Tym, którzy się obawiają tej ustawy, powiedziałbym, że to ostatni moment, żeby uzyskać tak wielkie środki finansowe z Unii, ponieważ już za siedem–osiem lat, na pewno pod koniec tej dekady, Polska stanie się płatnikiem netto, czyli to polski podatnik będzie sponsorem Unii Europejskiej, będzie utrzymywał Unię, tak jak w tej chwili czynią to jej najbogatsze państwa, poczynając od Niemiec, Holandii, poprzez Francję i Szwecję, a kończąc choćby przykładowo na Austrii. Podkreśliłbym też, że nie jest to gra zero-jedynkowa, bo próby przenoszenia kompetencji państw narodowych do Brukseli mają miejsce już od wielu lat. To nie jest tylko kwestia Funduszu Odbudowy, lecz także wielu mniej spektakularnych działań, które są realizowane poza traktatami europejskimi, obchodzącymi je i nagi-nających, żeby nie powiedzieć: łamiących. Prowadzi to do systematycznego przekazywania kompetencji państw narodowych do Brukseli. Jednak w wymiarze politycznym nie jest to – tak jak wielu uważa, w tym także eurosceptycy – tworzenie jakiejś supereurobiurokracji, która będzie nami rządzić. Jest inaczej: cedowanie kompetencji państw narodowych na poziom UE prowadzi do umocnienia pozycji dwóch największych państw Unii, czyli Niemiec i Francji. Tak bym właśnie odpowiedział na pana pytanie, przekonując moich rodaków, że wybór sprowadza się do dylematu: albo wziąć pieniądze i mieć „kij bejsbolowy praworządności” nad sobą, albo nie wziąć pieniędzy i... dalej mieć „kij bejsbolowy praworządności” nad głową.

Czy wizja wielkich pieniędzy z Unii, którą rząd przedstawia jaką strategiczną korzyść z przyjęcia Funduszu Odbudowy, nie jest iluzoryczna? Zanim Unia da nam te pieniądze, może wcześniej wypróbować działania „bejsbolowego kija praworządności”, np. uzależniając wypłaty od legalizacji tzw. małżeństw homoseksualnych czy prawa do adopcji dzieci przez takie związki.

Formalnie Rada Europejska ucieka od tego typu sformułowań. Promotorami



FOT. ADAM GHEGOSKI/FOTUM



Z Ryszardem Czarneckim,
eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Lepiej było wziąć pieniądze

rewolucji obyczajowej są raczej Parlament Europejski oraz w jakiejś mierze Komisja Europejska. Nie mylmy jednak pewnej presji polityczno-medialnej czy propagandowej, która jest prowadzona przez instytucje unijne, z uzależnieniem wypłaty pieniędzy od spełnienia ich pozatraktatowych oczekiwań. Tego jeszcze nie ma. Jeśli pan mnie zapyta, czy dam sobie uciąć rękę, że tego nie będzie, to ręką mi miła i taka deklaracja absolutnie nie padnie.

Powtórzę – lepiej wziąć pieniądze i nadal mieć problemy na linii Warszawa-Bruksela, niż nie wziąć pieniędzy, bo problemy między Polską a Unią na

pewno nie znikną. W związku z tym należy te gigantyczne pieniądze pozyskać. Byłoby skrajnie niepragmatyczne z nich zrezygnować. Oczywiście nie należy przy tej okazji w sposób bezrefleksyjny oczekiwać, że w naszych relacjach z Unią nastanie teraz era wzajemnej szczęśliwości czy choćby jakaś odwilż.

Z sondaży wynika, że większość Polaków za wygranych w rozgrywce wokół Funduszu Odbudowy uważa PiS i Lewicę. Jaki interes ma PiS we wzmacnianiu Lewicy?

PiS działa na rzecz Polski. Nie jesteśmy św. Franciszkiem z Asyżu i nie chcemy

karmić innych partii politycznych. Co do rozbicia opozycji, to nie będę hipokrytą i nie będę udawał przed panem, że mi z tego powodu płyną krokodyle łzy. Każdy obóz rządzący na świecie cieszyłby się z podziałów na opozycji. To oczywiście nie gwarantuje nam przedłużenia mandatu za dwa i pół roku, ale na pewno w jakiejś mierze zwiększa szansę, że wygramy kolejne wybory.

Ale czy Lewica z takim liderem jak Zandberg nie jest w perspektywie groźniejszym konkurentem dla PiS niż pogubiona i skłócona Platforma?

Problemem Lewicy jest to, że ona też jest podzielona. W inne piszczałki dmie najbardziej ideowy z nich Zandberg, w inne Czarzasty, który sprawia wrażenie sprawnego w grach wewnątrzpartyjnych i międzypartyjnych cynika, a w jeszcze inne Biedroń. Myślę, że nie do nas należy bycie akuszerem partii opozycyjnych. Formuła „opozycji totalnej” znudziła się Polakom i dostrzegły to PSL oraz Lewica. To dobrze, bo to jest lepsze dla PiS, ale najważniejsze, że jest to lepsze dla Polski. Państwo polskie powinno mieć silny rząd, ale też zdroworozsądkową, pragmatyczną opozycję. Czy Lewica ma potencjał wzrostowy w Polsce? No cóż, pamiętam moje rozmowy z różnymi ekspertami, którzy mówili to już przed 15 laty. No i cały czas ma potencjał wzrostowy, a jednocześnie cały czas ma sufit, którego nie potrafi przebić.

Czy polskie państwo zdało egzamin skuteczności w czasie koronakryzysu?

Uważam, że tak. Oczywiście trzeba porównywać reakcje Polski z innymi państwami w Europie. Odnosząc ją do skali europejskiej, na pewno świetnie zareagowaliśmy, wprowadzając jako jedno z trzech pierwszych państw zamknięcie granic – obok Danii i Czech – narażając się wtedy na ostrą krytykę ze strony przewodniczącej Komisji Europejskiej von der Leyen. Porównując to, co działo się we Włoszech, w Hiszpanii, a także w Belgii – kraju, który przez kilkanaście miesięcy z rządu odnotowywał w UE największą procentowo liczbę zgonów na milion mieszkańców – uważam, że na tym tle Polska wypadła bardzo dobrze.

Czy podstawowym kryterium tej oceny nie powinna być ogromna liczba nadmiarowych zgonów, niespowodowanych przez COVID, ale przez zamknięcie służby zdrowia, z którym mamy do czynienia w naszym kraju?

Moja ocena reakcji państw Unii na pandemię odnosi się przede wszystkim do roku 2020. Inaczej sytuacja wygląda po rozpoczęciu akcji szczepieniowej. Mogę tu podawać przykłady różnych państw. Na przykład: o ile Francja radziła sobie jeszcze jako tako w czasie pierwszej fali epidemii, o tyle poniosła klęskę podczas akcji szczepieniowej. Włochy z kolei odwrotnie. Były przykładem na cały świat totalnej katastrofy własnego państwa, kiedy zaraza się zaczęła, ale po roku potrafiły wyciągnąć z tego wnioski i jeśli chodzi o szczepienia, to były w europejskiej czołówce. Jest jedna struktura, która nie dawała sobie rady zarówno rok temu, jak i teraz – to Unia Europejska, która jest zawsze spóźniona, która wiele mówi, co należy robić, a niewiele robi. To, że UE koordynująca akcję szczepień poniosła w trakcie pierwszych tygodni i miesięcy spektakularną klęskę, na pewno nie buduje jej dobrego wizerunku. Skądinąd – kto podkusił ministrów zdrowia Niemiec, Francji, Hiszpanii i Holandii, którzy wystąpili do Komisji Europejskiej, aby ta koordynowała akcję szczepień, tego daleko nikt nie wie. To miało chyba przywrócić Unii autorytet. A wyszło jak zawsze.

Profesor Horban, szef Rady Medycznej doradzającej premierowi Morawieckiemu, nie wykluczył przymusowych szczepień. Wygląda też na to, że jesteśmy coraz bliżej paszportów szczepionkowych. Tak ma wyglądać „nowa normalność”?

Nie. Jestem zdumiony tymi wypowiedziami. Uważam je za więcej niż niefortunne, za bardzo niepotrzebne i ograniczające wolność Polaków. Wiemy, że wiele ludzi ze względów medycznych nie może się szczepić. Można zachęcać do szczepień, natomiast nie można do nich zmuszać. Zwłaszcza w Polsce, kraju, który wolność ceni szczególnie.

Co do paszportu szczepionkowego, to wyraziłem swoje zdanie, wstrzymując się od głosu w Parlamencie Europejskim w tej sprawie. Jako jeden z czterech europosłów PiS nie poparłem projektu. Nie dlatego, że jestem doktrynalnym przeciwnikiem szczepień, bo tak nie jest. Komisja Europejska po raz kolejny przedstawiła projekt, który był niedopracowany, bardzo słabo wyglądający, jeśli chodzi o konkrety. W konsekwencji Francja czy Belgia mogą nie wpuścić na swój teren Węgrów, Słowenów czy Słowaków, którzy zaszczepili się w swoich krajach szczepionkami nieautoryzowanymi dotąd przez Europejską Agencję Leków (EMA). Czy pan wie, ile minut poświęcono sprawie certyfikatu

szczepionkowego podczas ostatniego szczytu Unii?

Nie mam pojęcia...

Paręnaście. Jeżeli unijny szczyt uznał, że kwestia paszportu szczepionkowego nie jest rzeczą istotną, to proszę nie wymagać od obywateli, żeby byli jego entuzjastami. Podkreślam – ludzie się szczepią, mają do tego pełne prawo. Byłbym jednak bardzo ostrożny wobec pomysłów przymusowych szczepień. Tego typu inicjatywy mogą mieć paradoksalnie skutek odwrotny do zamierzonego.

Czy uda się przeprowadzić igrzyska w Tokio? W Japonii jest duży sprzeciw społeczny wobec olimpiady, powodowany strachem przed koronawirusem.

To prawda, jest spory strach. Mówią również o tym politycy rządzącej partii. Z sondaży wynika, że duża część Japończyków chce przełożenia igrzysk. Myślę jednak, że najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, iż igrzyska się odbędą, bo tego chcą Międzynarodowy Komitet Olimpijski i sponsorzy, a to największe globalne korporacje. Ale chce też tego ze względów polityczno-wizerunkowych rząd Japonii. Skądinąd jako historyk sportu powiem, że nad igrzyskami w Tokio wisi jakieś fatum. Przypomnę, że pierwsze letnie IO w Tokio miały się odbyć w 1940 r., ale wtedy uniemożliwiła to druga wojna światowa. Ostatecznie igrzyska w stolicy Japonii odbyły się 24 lata później.

Jest pan jednym z szefów Polskiego Związku Siatkówek. Czy jeśli dojdzie do igrzysk w Tokio, to nasza drużyna, prowadzona przez trenera Vítala Heynena, ma szansę powtórzyć sukces ekipy Huberta Wagnera, która w 1976 r. zdobyła złoty medal olimpijski podczas olimpiady w Montrealu?

Czterdzieści pięć lat temu Hubert Jerzy Wagner, trener „Kat”, jak go nazywano, mówił jasno, cytując: „Interesuje nas tylko złoto”. Dzisiaj to samo mówi wprost kapitan polskiej reprezentacji Michał Kubiak. Polacy są dwukrotnymi mistrzami świata, a w 2019 r., kiedy po raz ostatni przed pandemią odbyły się rozgrywki międzynarodowe, zdobyli medale na wszystkich z nich. Obecnie w rankingu światowym jesteśmy na drugim miejscu po Brazylii. Marzymy o medalu, ten medal jest możliwy. Trzeba jednak przypomnieć, że podczas ostatnich trzech igrzysk, kiedy nasi siatkarze występowali również w roli faworytów, za każdym razem odpadali w ćwierćfinałach. Trzeba to w końcu przełamać...

Schetyna vs. Budka: wojna przegrywów



Rafał A. Ziemkiewicz

Borys Budka jako przewodniczący PO robił to samo co Grzegorz Schetyna – tylko nieudolnie

Trudno się dziś nie śmiać, czytając liberalno-lewicowe gazety z końca roku 2019 i początku roku 2020 – z czasu, gdy wewnętrzna opozycja w PO obalała Grzegorza Schetynę i zastępowała go Borysem Budką. Pełno w nich wyrazów przekonania, że zmiana ta radykalnie poprawi sytuację największej partii opozycyjnej. Przekonanie to było tak powszechne, że nie uważano za potrzebne uzasadniania go w jakikolwiek sposób. Po prostu fakt, że Platforma Obywatelska przegrała drugie już z rzędu wybory parlamentarne, a wcześniej samorządowe i nawet wymarzone dla niej europejskie, we wszystkich publikowanych wtedy wypowiedziach polityków partii, jej dziennikarzy i „autorytetów”

tłumaczono tylko jednym: to przez Schetynę.

Schetyna oczywiście bronił się przed zrzuceniem z fotela przewodniczącego partii, wykorzystywał niejasności partyjnego statutu i regulaminów, opóźniał, jak mógł, zbliżający się nieuchronnie sąd nad nim – ale to tylko wzmacniało determinację schetynobójców. Ich szeregi rosły. A wewnętrzna wojna obniżała jeszcze bardziej notowania partii. Jednym z jej skutków była fatalna decyzja o wystawieniu jeszcze przez Schetynę jako kandydatki na prezydenta, wyłączone pod kątem frakcyjnych rozgrywek, Małgorzaty Kidawy-Błońskiej (która zresztą też szybko przeszła na stronę Budki). Wiedzące poparcie w sondażach tym bardziej umacniało cały obóz liberalnej lewicy w przekonaniu, że gdyby nie Schetyna, gdyby nie jego komunikacyjna nieporadność i nietelewizyjny zgryz, zapowiedzi miażdżącego triumfu „sił demokratycznych” nad reżimem by się spełniły.

Zdrowy rozsądek podpowiadał już wtedy, że Schetyna jest w istocie kozłem ofiarnym, a Borys Budka nie

daje żadnych powodów, by spodziewać się po nim znacząco lepszego i skuteczniejszego przywództwa. Jakkolwiek śmiesznie to zabrzmie, wymiana jednego na drugiego była właściwie „konkurem piękności”. Krytycy Schetyny nie stawiali mu konkretnych zarzutów, nie rozliczali go z błędnych decyzji. Ulegli jakiemuś irracjonalnemu przekonaniu, że zmiana przewodniczącego na jakiegokolwiek innego, choćby na niemogącego się pochwalić żadnym dorobkiem czy sukcesami Budkę, sama w sobie przemoże ciężką nad PO klątwę wiecznej nieskuteczności.

„CHCIEJSTWO”

Błędów, za które należało Schetynę wylać, było w istocie wiele. W oczywisty sposób chybiała decyzja o stworzeniu „wspólnej listy sił demokratycznych” w wyborach europejskich. Stało za nią „chciejstwo”, podobne do tego, które w ostatnich tygodniach zadecydowało o „zakuglowaniu” się Budki w sprawie Funduszu Odbudowy: wspólna lista PO, PSL, Lewicy, Nowoczesnej i małych partyjek miała przytłoczyć, zmiażdżyć

PiS i wywołać „efekt lawiny”, mówiąc potocznie – „zafartować” wybory krajowe. Schetyna wierzył, że bardzo wyraźna przewaga wyniku opozycji nad wynikiem partii rządzącej sprawi, iż popierająca dotąd Kaczyńskiego „milcząca większość” odwróci się od niego i pójdzie za tymi, w których zobaczy zwycięzców.

Czy tak by było, można wątpić, nikt już tego jednak nie sprawdzi – wspólna lista potwierdziła oczywistą dla fachowców prawidłowość, że przy łączeniu partii odwołujących się do różnych segmentów elektoratu 2 + 2 wcale nie równa się 4, tylko nadal 2, w najlepszym razie 3. Obecność na tej liście tęczowej lewicy odstraszyła od niej część wyborców PSL, a PSL i samej PO – część wyborców Lewicy, których przechwyciła efemeryczna partia Biedronia. W efekcie PO dostała niewiele więcej głosów, niż gdyby wystartowała sama, a mandatów zdobyła mniej, bo oddała je bez sensu lewicy – lewicy, którą, startując samodzielnie, mogła wtedy zepchnąć pod próg wyborczy i w wyborach krajowych albo ostatecznie zmarginalizować, monopolizując elektorat anty-PiS, albo zmusić ją do koalicji na swoich warunkach.

To wtedy należało Schetynę wylać. A, Bogiem a prawdą, należało to zrobić jeszcze wcześniej, po tym, jak uwięził PO w jałowej formule „opozycji totalnej”. I nie chodzi tu o samą „totalność”, zasadę bycia zawsze „na nie”, która płynęła z racjonalnych przesłanek. Miała zapewnić PO utrzymanie wiodącej roli w opozycji (i przez kilka lat zapewniała – dyscyplinowanie mniejszych partii argumentem, że „rozbijają jedność opozycji”, skutecznie zwasalizowało Nowoczesną i na długo sparaliżowało Lewicę) i była w sumie naśladowaniem postawy PiS w latach 2007–2015, a zwłaszcza po Smoleńsku. Tyle że naśladowaniem nieudolnym – Kaczyński też używał argumentu „jedności opozycji” i też kwestionował rządy PO „po całości”, ale nigdy nie stał się więzieniem tej postawy. W odpowiednim momencie umiał partię wizerunkowo odnowić, a smoleńskich radykałów uciszyć i głęboko ukryć. PO Schetyny natomiast szybko stała się zakładnikiem własnego radykalizmu i kolejnych bazujących na rozpętanej hysterii „ogonów kręcących psem”, poczynawszy od KOD, a skończywszy na Strajku Kobiet.

Największym jednak błędem – wynikającym właśnie z formuły „totalności”

– było zaniechanie jakiegokolwiek nowego otwarcia, samokrytyki, rozliczenia z odrzuconymi przez Polaków w 2015 r. rządami. Schetyna, jako działacz w czasach Tuska sekowany i zesłany na prowincję, miał wszystkie dane ku temu, by odciąć swą partię od przeszłości, zważyć wszystkie „ośmiorniczki” i inne patologie na Tuska oraz jego nominatów – zamiast tego postanowił upierać się, że PO nigdy nie zrobiła żadnego błędu, taśmy kelnerskie były brudną prowokacją służb, a PiS wcale nie wygrał wyborów, tylko po prostu głosy „sił demokratycznych” się rozproszyły przez brak wspólnej listy.

Jeśli PO chciała przestać być „niewybieralna” i odzyskać poparcie Polaków, to pozbycie się takiego lidera było „oczywistą oczywistością” i nawet należało to zrobić wcześniej. Ale należało go wymienić na polityka innego, a nie drugiego takiego samego. Tymczasem absurd operacji ze stycznia 2020 r. tkwi w tym, że na miejsce Schetyny postawiono polityka, który nie ukrywał, że będzie robić to wszystko co krytykowany poprzednik – i można nawet było się domyślić, że gorzej.

HISTERYCZNA RETORYKA

Borys Budka, ubiegając się o sukces, nie przedstawił nigdy żadnej nowej diagnozy co do przyczyn nieskuteczności partii i jej postępującego upadku. Nie odstępował ani na milimetr od historycznej retoryki „walki z reżimem”, tyle że Schetyna przynajmniej zdawał się rozumieć, że to taktyka pozwalająca, wzorem Kaczyńskiego, mimo przegrywania kolejnych wyborów uniknąć rozłamu i nie dać wyrosnąć opozycyjnej konkurencji. Kiedy Budka zapowiadał, że PO „wyprowadzi miliony zwolenników na ulice”, miał jeszcze prawo wierzyć, że, no, może nie miliony, ale setki tysięcy zwolenników gotowych obalać rząd na ulicach ma. Budka przewodniczącym został już po kompromitacji KOD i doświadczeniu kolejnych marszów, z których największy, przy maksymalnej mobilizacji, był kilka razy mniej liczny od urzędzonego swego czasu przez Radio Maryja w obrobie telewizji Trwam. A mimo to brnął w marginalizowanie się przy „ulicznej opozycji” dalej.

Co najbardziej zdumiewające, Budka ani na chwilę nie odstępował od retoryki niezłomnej walki z PiS, która w chwili poparcia przez PiS polityki UE doprowadziła go do antyunijnego głosowania,

by „o polskich funduszach nie rozstrzygali poza polską europejscy urzędnicy”, wcześniej, gdy naprawdę miał okazję wykorzystać pęknięcie w PiS, zachował się absurdalnie. Myślę o niesławnej „piątce dla zwierząt”. Aż prosiło się wtedy odegrać rolę poważnej, merytorycznej opozycji, wytknąć PiS „rządy jednego człowieka”, który tak brzemiennej w skutki legislacji nie poprzedził żadną oceną jej skutków, elementarnym zapoznaniem się z problematyką, nie raczył nawet zapytać ani poinformować własnego ministra rolnictwa. Tymczasem wtedy właśnie Budka w ciemno, nie protestując nawet przeciwko skandalicznemu przepychaniu ustawy „na tempo”, dostarczył Kaczyńskiemu brakujących mu głosów. Podobno kierował się opinią: „Sondaże pokazują, że nasz elektorat jest za prawami zwierząt”.

Tymczasem przy okazji ratyfikowania strategicznej dla UE umowy o „zwiększeniu zasobów własnych” lider partii, która podążanie za Unią uczyniła praktycznie jedynym programem, kazał swoim posłom głosować na złość PiS – w imię mrzonek o skłonieniu Kaczyńskiego przez „kompromitację” do zgody na wcześniejsze wybory i o „rządzie technicznym” z Gowinem i Konfederacją! Pod pozorem wymuszenia na PiS podzielenia się tymi pieniędzmi, jakby w ogóle nie wiedział, jakie zasady dysponowania Funduszem Odbudowy ustaliła Bruksela i na pewno od niech nie odstąpi. Tego po prostu nie sposób zrozumieć.

Kompromitacja, oczywiście, nie mogła nie ucieszyć Schetyny. Dzisiaj, na tle następcy, jawi się on jako wielki strateg i mąż stanu. Ale tylko na tym tle. Czy to wystarczy, by Schetyna wrócił na dawną funkcję? Byłoby to ze strony partii zbyt spektakularną kompromitacją, ale jeśli Budka miałby odejść, to na rzecz kogo? Wezwania, by Tusk porzucił dostatnią euroemeryturę i wrócił do tej masy upadłościowej, są jeszcze bardziej groteskowe niż kiedykolwiek, Trzaskowski niczym książę Karol stracił urok, zanim miał okazję go rozwinąć, Radosław Sikorski, którego nazwisko pojawiło się ostatnio w tym kontekście, wydaje się pomysłem równie poważnym jak Tomasz Grodzki. Na takim bezrybiu, jakim stała się PO, kto wie... W każdym razie zakulisowa rola Schetyny na pewno wzrośnie, nawet jeśli pozostanie on tylko szeregowym posłem.



Opozycja wobec państwa



Jan Fiedorczuk

Idea „opozycji totalnej” już dawno sprowadziła Platformę Obywatelską w rejony ekstremizmu politycznego. Istotą jej taktyki stała się nie tyle delegitymizacja władzy PiS, ile postawa opozycyjna wobec samego państwa polskiego

Zamieszanie wokół wyboru Rzecznika Praw Obywatelskich zostało przyjęte przez polityków PO z otwartymi ramionami. Tutaj krzyżują się wszystkie wątki, w których tak dobrze odnajdują się „obrońcy demokracji” – sądy, Trybunał Konstytucyjny, praworządność etc. Po tylu latach prowadzenia wojny z Kaczyńskim politycy opozycji mogą z pamięci recytować kolejne zarzuty pod adresem Prawa i Sprawiedliwości. Wśród wielu głosów oburzenia warto zwrócić szczególnie uwagę na reakcję Borysa Budki, który zapowiedział, że po przejęciu władzy konieczne będzie wprowadzenie „opcji zero” w sądownictwie.

– Wyrok Trybunału w sensie prawnym nie istnieje. W jego wydaniu brała udział osoba nieuprawniona – stwierdził lider PO w rozmowie z radiową Trójką. Budka przyznał, że niewiele go obchodzi fakt, że sam Adam Bodnar przekonywał, iż wyrok TK w momencie opublikowania po prostu nabiera mocy i ma bezpośrednie skutki prawne. Dziennikarka zapytała wówczas, czy zdaniem Budki to właśnie Bodnar

nadal pełni funkcje RPO. – Tak [...], to jest rzecznik praw obywatelskich, który pełni obowiązki do czasu wyboru następcy – odparł lider Platformy Obywatelskiej.

TOTEM W PLEMIENNEJ WOJNIE

Ostatecznie sprawa RPO sprowadza się do tego, że to liderzy opozycji mają decydować, kto zasługuje na miano rzecznika, a kto nie. Albo inaczej – że wszelkie instytucje powołane za władzy PiS są de facto nielegalne. Zdaniem Bodnara nie ma znaczenia, gdyż i on sam de facto nie jest tu nikim istotnym – to jedynie kolejny totem w plemiennej wojnie. To kolejna odsłona sporu, który oglądamy od 2015 r. Wszak totemem już od dawna jest samo sądownictwo z Trybunałem Konstytucyjnym na czele. Gdy w 2015 r. oddająca władzę Platforma przepychała kolaniem nadprogramową liczbę sędziów TK (przy cichej aprobacie „niezależnych” elit prawniczych), sama praworządność była wówczas politykom PO dość obojętna.

Nie umniejszając wszelkich błędów, które Zjednoczona Prawica popełniła, prowadząc swoją krucjatę przeciw sędziowskiemu establishmentowi, trzeba wskazać, że proponowana przez Budkę „opcja zero” oznacza nie tyle powrót do status quo ante, ile po prostu wysadzenie całego ładu polityczno-prawnego w powietrze. Te rewolucyjne zapędy, obecne od dawna w narracji PO, uwidoczniły się w pełni po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie przesłanki eugenicznej. Protesty, które wówczas wybuchły, były być może zrozumiałe na poziomie emocjonalnym, co nie zmienia faktu, że w perspektywie politycznej są całkowicie irracjonalne. Od momentu, gdy TK wydał

wyrok, wszelkie manifestacje przestały mieć znaczenie, gdyż zmiana prawa aborcyjnego przestała leżeć w gestii polityków. Jedynym wyjściem pozostała zmiana samej ustawy zasadniczej. Albo rewolucja polityczna.

Grzegorz Schetyna apelował wówczas o niepublikowanie orzeczenia, a Donald Tusk domagał się „wycofania z wojny z narodem”. – Chcę zapewnić, że żaden praworządny rząd nie będzie respektował tego orzeczenia – mówił z kolei Borys Budka. Spełnienie tej obietnicy oznaczałoby w praktyce podważenie całego ładu prawnego. Skoro zanegowało się jedną decyzję „Trybunału Przyłębskiej”, to równie dobrze można zanegować wszystkie pozostałe. „Opcja zero”, o której mówi Budka, musi prowadzić nie tylko do wymiany kadr w sądach, lecz także do całkowitego podważenia dotychczasowego orzecznictwa. To oznacza, że lata 2015–2023 byłyby jedną wielką dziurą – osiem lat z historii III RP zostałyby wymazane. W obecnym układzie sił politycznych po prostu nie ma innej drogi do liberalizacji prawa aborcyjnego.

PRZEKRACZAJĄC RUBIKON

Pomysł delegitymizowania władz polskich nie jest nowym wynalazkiem. Wystarczy cofnąć się do pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości, aby odnaleźć źródła obecnej sytuacji. To wtedy po raz pierwszy przyjęto taktykę „opozycji totalnej” (choć tego terminu wówczas jeszcze nie używano). To wówczas ulicami Warszawy maszerowały „błękitne marsze”, Donald Tusk mówił o potrzebie wypowiedzenia obywatelskiego posłuszeństwa, a opozycja pod jego dyktando postanowiła odwoływać kolejnych ministrów, by

uniemożliwić funkcjonowanie państwu polskiemu. – Rząd Jarosława Kaczyńskiego będzie trwał za wszelką cenę. Nie uda się też skrócić kadencji Sejmu, gdyż nie znajdzie się konstytucyjna większość. Stąd nasz pomysł o odwoływanie każdego z ministrów osobno – mówił wówczas Tusk. Również wtedy straszono dyktaturą oraz rozpisywano się o upadku demokracji. Jeżeli zajrzyśmy do ówczesnych publikacji „Wyborczej” czy też wygłaszanych przez Tomasza Lisa, to z łatwością odnajdziemy akcenty, które KOD, PO i ObywatELE RP podjęli po 2015 r. W końcu to wtedy powstał kuriozalny pomysł powołania alternatywnego parlamentu na Politechnice Warszawskiej. Profesor Magdalena Środa, która w 2018 r. apelowała, by budować antypisowskie państwo podziemne, nie wymyśliła niczego odkrywczego. Powtórzyła jedynie hasła sprzed dekady.

Skoro raz ta taktyka przyniosła upragniony efekt w postaci przejęcia władzy, to kierownictwo PO uznało po 2015 r., że wystarczy ponownie stanąć na pozycjach całkowitej kontestacji, by odnieść sukces. Jako że krytyka samego PiS okazała się niewystarczająca, z biegiem lat Platforma zaczęła się radykalizować, delegitymizując już nie tyle polskie władze, ile uderzając w samo państwo polskie. Bo jeżeli sukcesywnie odmawia się uznania kolejnych instytucji państwa, to nie mamy do czynienia z kontestacją władzy, ale samej wspólnoty politycznej. Efektem tej postawy były kolejne pielgrzymki do Brukseli, gdzie wznoszono prośby o pomoc w walce z własnym rządem. Apogeum tej strategii obserwowaliśmy na początku zeszłego roku, gdy europosłowie Platformy poparli rezolucję Parlamentu Europejskiego uderzającą w ich własne państwo i wzywającą Komisję Europejską do interwencji. To był kolejny Rubikon, który przekroczyła PO w walce z PiS. Kolejny krok w stronę ekstremizmu politycznego.

Stąd niedaleko już było do dalszego osuwania się w polityczne szaleństwo. Kilka tygodni po pamiętnym głosowaniu w europarlamencie, gdy nadciągały wybory prezydenckie, a kandydatka KO zbierała w sondażach po kilka procent poparcia, poseł Sławomir Nitras w programie Onetu otwarcie wzywał polską armię do buntu względem władz państwa. Z kolei nadworny adwokat PO Roman Giertych kreślił ramy przyszłej strategii, gdzie wprost namawiał polityków opozycji, by ci, jeżeli wybory wygra ktoś z „obrońców demokracji”, zaakceptowali wynik głosowania; je-

żeli jednak prezydentem zostanie Andrzej Duda, to opozycji pozostanie „wspólne zaskarżenie wyników do SN”. W podobne tony uderzał choćby Leszek Jażdżewski, który otwartym tekstem mówił, że opozycja musi wygrać wybory, a jeżeli to się nie uda, „to zostaje już tylko Majdan”.

Prezydentem został jednak kandydat PiS, co poskutkowało natychmiastową reakcją totalnych. Zaledwie dzień po ogłoszeniu wyników w „Gazecie Wyborczej” pojawiły się artykuły wyjaśniające Polakom, dlaczego Andrzej Duda wygrał w „nieuczciwych wyborach”. Tę narrację podważającą mandat prezydenta skwapliwie podchwycili politycy KO. – Ja to powiem prezydentowi prosto w oczy: pan został prezydentem na skutek nieuczciwej gry wyborczej. Pana obóz robił wszystko, żeby te wybory skrócić – mówił Borys Budka, zapowiadając wniosek do Sądu Najwyższego o unieważnienie wyborów. W podobne tony uderzała również Magdalena Adamowicz, która stwierdziła, że w celu ocalenia demokracji opozycja nie może uznać zwycięstwa kandydata PiS. „Wygrana Andrzeja Dudy może, ale nie musi być końcem demokracji w Polsce. Będzie, gdy uznamy, że wygrał uczciwie” – przekonywała dzień po ogłoszeniu wyników.

Warto zwrócić uwagę na ciągłość tej narracji. Całkiem niedawno lider PO powtarzał podobne spiskowe teorie w sprawie wyborów w Rzeszowie, twierdząc, że zmiana terminu głosowania jest pretekstem do ich „anulowania”.

ROZLICZYĆ PIS

Delegitymizacja władzy oraz destabilizacja ładu polityczno-prawnego są uzupełniane przez trzeci filar narracji PO – obietnicę zemsty. Kolejne sondaże dowodzą, że poparcie dla Platformy spadło poniżej 20 proc., co oznacza, że grupa jej wyborców zawężyła się jedynie do twardego jądra – wychowanków TVN24 oraz TOK FM, którzy dają wiarę przytaczanym wyżej spiskowym teoriom. Skupiając się na zaspokajaniu wyłącznie swego radykalnego elektoratu, PO już dawno przestała być liberalnym racjonalnym centrum. Te kilkanaście procent, na które może realnie liczyć Borys Budka, to właśnie KOD-ziarski beton, dla którego opowieści o upadku demokracji i „nieuczciwych wyborach” są nadal atrakcyjne. Jednak sama odbudowa praworządności to za mało. Tłum radykałów chce PiS-owskiej krwi i Platforma obiecuje ją dostarczyć.

Sugestie, że politycy PiS po utracie władzy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, przewijają się w wypowiedziach działaczy PO już od lat. Nawet kilka tygodni temu Cezary Tomczyk pouczał rządzących, że powinno im zależeć na niezawisłych sądach, gdyż wkrótce sami przed nimi staną. – Wszystkich, którzy brali udział w nielegalnych decyzjach, w zastraszaniu sędziów, postawimy przed niezależnymi sądami. Każdy, kto został dotknięty przez władzę PiS, zostanie zrehabilitowany – przemawiał z kolei Borys Budka pod gmachem Sądu Najwyższego. Sądu, którego to pierwsza prezes Małgorzata Manowska też jest oczywiście „dublerem”, gdyż – jak przekonuje Budka – została wybrana przez prezydenta z naruszeniem konstytucji etc., co prowadzi do konkluzji, że jej wybór „jest nieważny”.

Trudno powiedzieć, z kim obecnie PO ściga się na radykalizm, bo nawet Lewica, która niegdyś przodowała w groźbach dotyczących rozliczania PiS, od dłuższego czasu dała sobie spokój z tym tematem, chyba zdając sobie sprawę, że wiecie on w ślepy zaułek. Tymczasem trudno zliczyć, ile razy w ostatnich latach Borys Budka ze swoimi akolitami straszył liderów Zjednoczonej Prawicy Trybunałem Stanu. – Nikt nie popełnił drugiego raz błędu, by nie rozliczyć Jarosława Kaczyńskiego – zapewniał kilka miesięcy temu w rozmowie z Wirtualną Polską.

W OKOWACH TOTALNOŚCI

Platforma Obywatelska w 2015 r. weszła na ścieżkę powolnego delegitymizowania polskich władz, co jednak w konsekwencji zaprowadziło ją do walki z własnym państwem. Taktyka „totalności” sprawdza się w blasku reflektorów zaprzyjaźnionych mediów, na marszach KOD-u czy na manifestacjach Marty Lempart, jednak zwycięstw wyborczych nie przynosi żadnych. Tragizm polega na tym, że owa „totalność” jest jedynym, co politycy PO potrafią. Antypisowość to jedyne, w czym są dzisiaj wiarygodni.

Dlatego właśnie z takim oddaniem politycy PO zaangażowali się w sprawę Adama Bodnara. I dlatego również z taką wściekłością rzucili się na Lewicę, gdy ta ośmieliła się podjąć jakiejkolwiek negocjacje z PiS. Jedyną racją bytu Platformy jest jej totalność. Jedyne, w czym jest wiarygodna, to walka z Kaczyńskim. Paradoksalnie bez widma złowrogiego Kaczyńskiego Platforma nic nie znaczy.



Kamila Baranowska

Były prezydent Bronisław Komorowski wraca do polityki. Ma wesprzeć nowy centroprawicowy projekt polityczny, który chce budować PSL

Pierwszym sygnałem, że były prezydent nie powiedział jeszcze w polityce ostatniego słowa, były niedawne obchody Święta Flagi. 2 maja Bronisław Komorowski przemarszerował przed gmachu warszawskiej Zachęty pod Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie złożył kwiaty. Najciekawsze jednak było to, z kim to zrobił. Towarzyszyli mu bowiem politycy PSL, z prezesem partii Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, a także politycy Platformy Obywatelskiej kojarzeni z jej konserwatywnym skrzydłem, tacy jak senator Kazimierz Ujazdowski czy posłowie Ireneusz Raś i Czesław Mroczek. Wcześniej o tym, że były prezydent planuje powrót do aktywności politycznej, informował „Super Express”.

Ludowcy potwierdzili, że wiązą z Bronisławem Komorowskim pewne nadzieje

dotyczące jego zaangażowania w budowę projektu politycznego, którego celem jest zagospodarowanie umiarkowanego centrum sceny politycznej. – Będziemy rozmawiać bardzo długo. Spotkamy się wśród osób, którym bliskie są wartości chadeckie, wspólnota, patriotyzm niewykluczający Unii Europejskiej, a także szacunek dla chrześcijańskiej tradycji – mówił chwilę przed tym wydarzeniem wicemarszałek z PSL Piotr Zgorzelski. – Konserwatywne centrum jest potrzebne Polsce – dodał.

Były prezydent Bronisław Komorowski już od jakiegoś czasu wysyłał sygnały, że nie podoba mu się skręt w lewo Platformy. Uważa to za poważny błąd i przekonuje, że bez odbudowy politycznego centrum nie da się wygrać z PiS. Kiedy nie tak dawno został zapytany przez portal Gazeta.pl o to, na kogo dziś zagłosowałby w wyborach, odpowiedział, że jest rozdarty. – Serce ciągnie do tego, żeby głosować na PO, rozum i myśl o tym, że trzeba pokonać PiS, skłania mnie do myślenia o tym, czy nie trzeba poprzeć ugrupowania na prawo od Platformy Obywatelskiej – stwierdził.

KONSERWATYWNA OPOZYCJA

W rozmowie z Polską Agencją Prasową były prezydent zdradził, że swego czasu namawiał Platformę Obywatelską na „odbudowę w ramach partii skrzydła

konserwatywnego”. To się jednak nie udało. – Deklaracja ideowa z 2001 r., w której przygotowaniu uczestniczyłem, definiowała PO jako partię konserwatywno-liberalną. Taka formuła również dla mnie była bardzo ideowo wygodna i bezpieczna – stwierdził. – W Platformie świadomie został dokonany zwrot w kierunku czystego liberalizmu, a może liberalizmu lewicowego – dodał. Zdaniem byłego prezydenta na odbudowanie konserwatywnej kotwicy w Platformie „dziś jest już późno, jeśli nie za późno”. Komorowski zarzuca swojej byłej partii, że w sprawie sporu o aborcję stanęła ostatnio po stronie radykalnych zwolenników aborcji na życzenie, zamiast bronić kompromisu z 1993 r., co w jego ocenie „było rolą partii konserwatywno-liberalnej”. Dlatego szukając sobie nowego miejsca w polityce, zaczął spoglądać w stronę ludowców. – Życząc jak najlepiej Platformie Obywatelskiej i deklarując chęć współpracy, zadeklarowałem wolę wspierania także środowiska pana Władysława Kosiniaka-Kamysza, którego bardzo cenię, a który ogłosił, że jego środowisko chce być kotwicą konserwatywną w ramach opozycji demokratycznej – oznajmił.

– Bronisław Komorowski, widząc skręt w lewo Platformy, rozumie i widzi, że miejsca dla konserwatystów jest tam



2 maja Bronisław Komorowski przemaszzerował sprzed gmachu warszawskiej Zachęty pod Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie złożył kwiaty. Towarzyszyli mu politycy PSL oraz Platformy Obywatelskiej kojarzeni z jej konserwatywnym skrzydłem
FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

borców liberalnych światopoglądowo, to i takie podchody są czynione.

PROBLEMY PLATFORMY

Ludowcy, którzy budują Koalicję Polską, wykalkulowali, że obecność Bronisława Komorowskiego w tym projekcie pomoże im przyciągnąć do niego tych bardziej konserwatywnych polityków Platformy, którym także nie podoba się zbyt ostry kurs partii w lewo. Zwłaszcza w obliczu kryzysu, w jakim znajduje się ostatnio Platforma – słaby lider i jeszcze słabsze sondaże – to idealny moment, by próbować przekonać polityków do porzucenia tonącego okrętu. Choć Władysław Kosiniak-Kamysz zastrzega, że nie ma zamiaru w żaden sposób przyciągać czy wyciągać polityków z Platformy. – Wiele sytuacji samych się rozwiązuje. Platforma dokonała pewnej deklaracji ideowej, która jest inna niż ta przyjęta przez tę partię w 2005 r. i nic nie wskazuje na to, by chciała do niej wrócić. Wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że górę bierze tam kierunek progresywny, a więc w sposób naturalny jest coraz mniej miejsca dla osób o bardziej konserwatywnych poglądach – tłumaczy.

W podobny sposób wypowiada się zresztą także Bronisław Komorowski, zapewniając, że nie ma mowy „o rozbijaniu, przeciąganiu wewnątrz opozycji”. – Nie namawiam nikogo ani nie organizuję akcji dzielenia tego, co jest. Ale doceniam w pełni to, że wokół pana Władysława Kosiniaka-Kamysza skupia się w tej chwili środowisko, które ma odwagę powiedzieć: „My chcemy odwoływać się do tradycyjnego systemu wartości, bo chcemy także przyciągnąć wyborców centroprawicowych, a nie tylko liberalnych” – mówił w TVN24. W innym wywiadzie twierdził, że jego zdaniem Platforma dziś chce konkurować o wyborców z lewicą, wobec czego musi pojawić się ktoś, kto zawalczy o wyborców umiarkowanie prawicowych z PiS.

Platforma zresztą ma więcej problemów niż skręt w lewo, który budzi sprzeciw części jej członków. Partia w ostatnich tygodniach pogrąża się w kryzysie, który do tej pory tił się pod dywanem, ale publicznie wszyscy mu zaprzeczali. Dzisiaj politycy PO mówią już głośno o słabym przywództwie, zmarnowanej szansie Borysa Budki i pilnej potrzebie zmian. Katalizatorem było głosowanie nad Funduszem Odbudowy, co część polityków PO uznała za błąd. – Platforma wstrzymała się od

głosu, „za” razem z PiS zagłosowała za to Lewicą, która pozuje teraz – w kontrze do Platformy – na jedyną racjonalną i konstruktywną opozycję. Do mediów wyciekł list 51 parlamentarzystów, w którym piszą wprost o konieczności „wieloaspektowej przemiany wewnętrznej” i alarmują, że bez tego nie ma co marzyć o utrzymaniu pozycji lidera opozycji i wygraniu przyszłych wyborów. Coraz głośniejsze są także postulaty wzmocnienia prawego skrzydła partii. Ireneusz Raś mówił ostatnio, że w roli następcy Budki widziałby Radosława Sikorskiego, który miałby być gwarantem utrzymania balansu między skrzydłem liberalnym i konserwatywnym.

Niewykluczone, że o powrót do roli rozgrywającego powalczy Grzegorz Schetyna, który ostatnio uaktywnił się medialnie, co przypadkiem zapewne nie jest, i który przekonuje, że choć sytuacja Platformy jest fatalna, to da się ją jeszcze odbudować. W domyśle – z odpowiednim liderem. Własną polityczną grę rozpoczął właśnie Rafał Trzaskowski, postrzegany przez część polityków i sympatyków opozycji jako najlepszy kandydat na nowego szefa Platformy. Pytanie tylko, czy Trzaskowski chce budować swoją pozycję w Platformie czy poza nią. Jego nowa inicjatywa (Campus Polska Przyszłości), z którą właśnie rusza w objazd po Polsce, wskazywałaby raczej na to drugie.

PROBLEM BYŁYCH PREZYDENTÓW

Niespodziewanie w tym samym momencie na scenę wkracza także Bronisław Komorowski. Pytanie, które nasuwa się w tym kontekście i na które trudno odpowiedzieć brzmi: „Po co mu to?”. W rozmowie z portalem Gazeta.pl odpowiadał, że właściwie nigdy z polityki nie odszedł, tylko na jakiś czas zmienił się w komentatora politycznego i „osobę wspierającą środowisko PO”. Teraz zaś zmienia jedynie podmiot, który zamierza czynnie wspierać. – Mamy w Polsce nierozwiązany problem byłych prezydentów, którzy kończąc pełnić urząd, są najczęściej politycznie w sile wieku i próbują się odnaleźć na scenie politycznej. Te próby zwykle nie kończyły się sukcesem – analizuje prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Do tej pory wydawało się, że szczęśliwie Bronisław Komorowski jest wolny od tej chęci. Okazało się, że jednak nie – dodaje.

coraz mniej. Wie, że po stronie opozycji jest potrzebny ktoś bardziej umiarkowany, i dlatego postawił na nasze środowisko – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL. Gdy pytamy o formę tego wsparcia – czy będzie to trwała współpraca, czy ograniczy się do jednorazowego wspólnego wydarzenia, czyli złożenia kwiatów w Dniu Flagi – Kosiniak-Kamysz mówi, że zdecydowanie to pierwsze. – To mocne zaangażowanie w popieranie idei budowy politycznego centrum, na pewno nie jest doraźne. Niebawem będą się pojawiać kolejne odsłony naszej współpracy – zapowiada.

Kosiniak-Kamysz tłumacząc, dlaczego po drodze mu z Bronisławem Komorowskim, używa też argumentu, że były prezydent jest jednym z tych polityków, którzy nie są zakładnikami jednej, wspólnej listy opozycyjnej. Lider PSL od dawna postuluje, by opozycja startowała w wyborach w dwóch dużych blokach: liberalno-lewicowym, reprezentowanym przez Lewicę i Platformę, oraz centro-prawicowym, w której prym wiodłby PSL i gdzie jest miejsce dla konserwatystów z PO, a być może także polityków od Jarosława Gowina. Chociaż jest mało prawdopodobne, by do projektu ludowców chciał przyłączyć się Szymon Hołownia, który idzie dalej i chce walczyć także z Platformą o wy-



Tomasz Rowiński

W sprawie ukaranego kard. Henryka Gulbinowicza jest wiele nadinterpretacji i mało szczegółów. Czy jego sprawa nie powinna być dokładniej prześwietlona?

Niedawna, komentowana w mediach informacja o tajemniczym przelewie, który otrzymała Fundacja św. Józefa „za kardynała Gulbinowicza”, jest dobrą okazją, by przypomnieć, że pomimo wyroku Stolicy Apostolskiej orzekającej winę kardynała jego sprawa wciąż budzi wiele wątpliwości i wywołuje sporo pytań.

Jeśli chodzi o sam przelew, który wydaje się być reakcją na orzeczoną przez Watykan karę dla kardynała, to – według informacji, które można przeczytać w mediach – nie przyznaje się do niego ani diecezja wrocławska, ani rodzina zmarłego hierarchy. W komunikacie nuncjatury o zasądzonych karach mogliśmy przeczytać o zobowiązaniu kardynała do wpłacenia „odpowiedniej sumy pieniędzy jako darowizny na działalność Fundacji św. Józefa, powołanej przez Konferencję Episkopatu Polski w celu wspierania działań Kościoła na rzecz ofiar nadużyć seksualnych, pomocy psychologicznej oraz prewencji i kształcenia osób odpowiedzialnych za ochronę nieletnich”.

O wątpliwościach dotyczących procesu kościelnego kard. Henryka Gulbinowicza pisała obszernie jesienią 2020 r. Agnieszka Bugała dla „Więzi” w artykule pt. „Bohater wylany z kąpielą? Publiczny demontaż życiorysu kard. Gulbinowicza”. Jak się zdaje, do dziś postawione tam pytania nie znalazły odpowiedzi. Autorce nie chodziło zresztą o kwestionowanie wyroku Stolicy Apostolskiej, ale o nieprzejrzystość procedury, która do niego doprowadziła, czyli także o niejasności co do tego, za jakie konkretnie czyny kard. Gulbinowicz poniósł odpowiedzialność. Warto przypomnieć efekty śledztwa dziennikarki związanej w przeszłości z tygodnikiem „Niedziela”.

PUBLICZNY OSKARŻYCIEL

Na dziś, jak się zdaje, jedynym znanym publicznie oskarżycielem kard. Henryka



FOT. LESZEK KOTARBA / EAST NEWS

Za co skazano kardynała?

Gulbinowicza jest poeta Karol Chum (prawdziwe nazwisko Przemysław Ryszard Kowalczyk), który po emisji filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” w maju 2019 r. na swoim profilu facebookowym napisał: „Jestem ofiarą molestowania seksualnego. Mam twarz. Nazywam się Karol Chum. Mój kat to kardynał Gulbinowicz. Wtedy miałem 15 lat. Dziś 45. Mówię o tym od 30 lat... Oskarżam!”.

Niedługo potem, 21 maja 2019 r., na łamach „Gościa Niedzielnego” można było przeczytać komentarz ks. Rafała Kowalskiego, rzecznika diecezji wrocławskiej: „Zaskakujący jest fakt, że mężczyzna z wielką dokładnością całą korespondencję publikuje na Facebooku. Mam wrażenie, że robione jest z tego przedstawienie, a nam nie zależy na przedstawieniu, a na wyjaśnieniu sprawy. W związku z tym zaprosiliśmy go [Karola Chuma – przyp. red.], by złożył oficjalne zawa-

domienie i wyjaśnienia. Odpowiedział, że tego nie robi, i polecił nam kontakt z Fundacją »Nie lękajcie się«”.

Po pewnym czasie Chum jednak zgłosił sprawę, pojawił się w kurii razem z obecną tam incognito – w roli przyjaciółki – dziennikarką „Gazety Wyborczej” Ewą Wilczyńską. Jak napisała Agnieszka Bugała, która szczegółowo badała każdy element sprawy, Chum w mediach społecznościowych starał się przedstawić osobę księdza, który z nim rozmawiał, jako pozbawionego empatii urzędnika. Jednak w ocenie Bugały, która dotarła do nagrań ze spotkania, atmosfera była życzliwa.

Kowalczyk vel Chum podaje dość dokładnie przebieg wydarzenia sprzed lat. Był uczniem Niższego Seminarium Duchownego Franciszkanów w Legnicy i poproszono go, by w drodze powrotnej z ferii zimowych odebrał pocztę z kurii.

Ponieważ poczty nie było, zatrzymał się w kościelnym urzędzie na noc i wtedy miał być napastowany przez kardynała. „Mimo że uczeń mieszkał blisko, zdecydował się zostać na noc i to właśnie tej nocy do pokoju na piętrze, w którym gościł, podobno wszedł kardynał i przysiadł na brzegu łóżka. W zeznaniu słyszymy, że »po 3–4 minutach masowania mojego przyrodzenia kardynał wstaje«. Rano pukaniem do drzwi chłopaka obudziła zakonnica. Kardynała już nie spotkał” – relacjonuje Agnieszka Bugała.

Zgłoszenie dokonane przez Chuma zapewne uruchomiło procedurę przewidzianą w motu proprio papieża Franciszka „Vos estis lux mundi”, które akurat 1 czerwca 2019 r. wchodziło w życie. Jednak od tego momentu sprawa wydaje się mocno niejasna.

„Naszym obowiązkiem było w tym momencie wysłanie informacji do Watykanu, co zrobiliśmy. Czy Stolica Apostolska miała inne przesłanki do wszczynania postępowania? Nie wiem. Wiem, że do archidiecezji wrocławskiej nie zgłosił się nikt więcej, kto by oskarżał kardynała o molestowanie” – cytuje słowa ks. Kowalskiego Agnieszka Bugała. Sam Chum poinformował dziennikarkę, że o wyroku dotyczącym kard. Gulbinowicza dowiedział się od mediów, które zwróciły się do niego w tej sprawie 6 listopada 2020 r. Powiedział także, że ani nuncjatura, ani kuria nie kontaktowały się z nim od chwili złożenia zeznań w celu potwierdzenia zarzutów. W lipcu 2020 r. Karol Chum był przesłuchiwany przez prokuraturę wrocławską, jednak dochodzenie nie zostało wszczęte z powodu przedawnienia sprawy.

Kościelny wyrok na kard. Henryka Gulbinowicza został ogłoszony 6 listopada 2020 r., jednak opinia publiczna z komunikatu nuncjatury nie dowiedziała się niczego, jeśli chodzi o samą sprawę. „Nie ma w nim nawet informacji, gdzie sprawę Gulbinowicza badano. Czy weryfikacji zgłoszenia dokonała Kongregacja Nauki Wiary (tam trafiają sprawy bezpośrednich sprawców), czy Kongregacja ds. Biskupów (tam najczęściej trafiają sprawy zaniedbań na mocy „Vos estis lux mundi”), czy może Sekretariat Stanu (skoro sprawa dotyczy kardynała)? Z komunikatu nie wynika, kto sprawę prowadził, na jakiej podstawie prawnej, w oparciu o jaką procedurę i ilu ewentualnych pokrzywdzonych (poza Chumem) złożyło zeznania” – pisała Agnieszka Bugała

w swoim artykule. Dopiero po dziennikarskich pytaniach rzecznik archidiecezji warszawskiej ks. Przemysław Śliwiński przyznał, że badanie przekazano archidiecezji warszawskiej. Rzecznik odmówił jednak udzielenia jakichkolwiek informacji na temat szczegółów procesu.

Tymczasem komentatorzy w mediach mówili już wprost o pedofilii kard. Gulbinowicza. „Wiemy, że kardynał Gulbinowicz zachowywał się niegodnie, a najpewniej popełniał przestępstwa pedofilskie, i uchodziło mu to płazem” – stwierdził Tomasz P. Terlikowski. Zapytany przez Bugałę o źródła swojej wiedzy wskazał na interpretację wyroku Stolicy Apostolskiej i słowa Chuma. Tyle tylko, że Chum jeśli był molestowany, to jako 16-latek, zatem mówienie o pedofilii nie jest właściwą kwalifikacją czynu. Zresztą nadinterpretacje się mnożyły. Tomasz P. Terlikowski w mediach społecznościowych napisał także, że „Karol Chum mówi o tym, że był cały system podsyłania młodych seminarzystów do ks. kardynała Gulbinowicza, chłopców w wieku 15–18 lat. To oznacza, że mieliśmy do czynienia z pewnym systemem prostytucji nieletnich”, na co Chum, cytowany w artykule „Bohater wylany z kąpielą?”, odpowiedział: „Nigdy niczego podobnego nie powiedziałem. Skąd miałbym o czymś takim wiedzieć?”. Według Bugały również dokumenty bezpieki, która przez lata analizowała życiorys kardynała, nie są zgodne nawet co do jego ewentualnych skłonności homoseksualnych. „Istniało podejrzenie, że ks. Gulbinowicz jest homoseksualistą. T.W. »Tadek« nie przypuszczał, aby to mogła być prawda” – można wyczytać w dokumentach Wydziału III KW MO w Białymstoku cytowanych w „Bohaterze wylanym z kąpielą?”.

SPIRALA DEZINFORMACJI

W sprawie kard. Gulbinowicza zadziałała też, jak się zdaje, swoista spirala dezinformacji. Polskie media powoływały się choćby na teksty z „L'Osservatore Romano”, które pisało, że „na polskiego hierarchę nałożono sankcje dyscyplinarne za molestowanie, czyny homoseksualne i współpracę z ówczesną Służbą Bezpieczeństwa”. Tymczasem informator watykański Agnieszki Bugały sugerował, że źródłem tych opinii były treści napływające do Rzymu z mediów z naszego kraju, które, jak wiele na to wskazuje, tonęły w niepopartych wiedzą inter-

pretacjach. Również w sprawie oceny kontaktów kard. Gulbinowicza ze Służbą Bezpieczeństwa wydaje się, że nie miało miejsca żadne kościelne badanie.

Na początku maja skontaktowałem się z Agnieszką Bugałą i zapytałem, czy w opisaną sprawę pojawiły się jakieś nowe informacje. „W ostatnim tygodniu otrzymałam informację, że Kongregacja wydała oświadczenie uniewinniające wobec jednego z księży, których środowisko zaliczało do »współpracowników« H.G. To uniewinnienie wzmacnia słuszność mojej hipotezy” – odpisała. Jaka to hipoteza? Można ją, jak sądzę, znaleźć w jednym ze zdań kończących artykuł „Bohater wylany z kąpielą?”: „Kościół zabrał się za weryfikowanie życiorysu kardynała dopiero, gdy sam zainteresowany był w wieku nader sędziwym i nie mógł aktywnie uczestniczyć w dochodzeniu”. Oczywiście trudno podejrzewać, by istniało jakieś porozumienie pomiędzy Karolem Chumem a władzami kościelnymi co do czasu „odpalenia” sprawy kard. Henryka Gulbinowicza, jednocześnie jednak boleśnie w tej sprawie brakuje konkretów.

– Jeśli postępowanie w sprawie kard. Gulbinowicza przyniosło żelazne dowody na jego niemoralność i współpracę ze służbami PRL, to my, kapłani i wierni, powinniśmy wiedzieć, w oparciu o jakie dowody nałożono na niego sankcje, według jakich procedur i jakich paragrafów był sądzony – powiedział o sprawie ks. Andrzej Dziełak, który przez pewien czas był sekretarzem kardynała. – Księżda Gulbinowicza znałem od 1966 r., byłem świadkiem tego, jak przeprowadzał wrocławski Kościół przez czas stanu wojennego, represji, aresztowań i internowań. Widziałem, jak daje schronienie, ukrywa, chroni działaczy podziemia solidarnościowego przed bezpieką. Powyższe okoliczności rodzą we mnie pytanie, dlaczego tak poważne sankcje zostały zastosowane u kresu jego życia. Kościół musi być wzorem uczciwości osądu i transparentności dla wydawanych wyroków i w tym duchu rodzi się wielka potrzeba tej przejrzystości wobec dokonanego osądu osoby długoletniego pasterza archidiecezji wrocławskiej – dodał.

Watykan wydał obszerny raport o sprawie kard. McCarricka. Dlaczego polskiego Kościoła nie stać na analogiczne prześwietlenie życiorysu kard. Gulbinowicza? To pytanie nie powinno uciknąć zbyt szybko.



Z Hanną Radziejowską, szefową oddziału
Instytutu Pileckiego w Berlinie
rozmawia Maciej Pieczyński

Problemem jest niewiedza Niemców na temat Polski

MACIEJ PIECZYŃSKI: W wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” stwierdziła pani: „Oczywiście wiedza o Holokauście jest w społeczeństwie niemieckim powszechna, ale o tym, że z 6 mln zamordowanych Żydów 3 mln to byli obywatele polscy, wiedzą już tylko nieliczni”. Dlaczego tylko nieliczni?

HANNA RADZIEJOWSKA: Słyszałam anegdotę o oprowadzaniu niemieckich wycieczek po wystawie pomnika Holokaustu w Berlinie. Na pytanie: „Ile było niemieckich ofiar Holokaustu?” uczniowie bez wahania odpowiadają „3 mln”, podczas gdy w rzeczywistości zginęło ich ok. 165 tys. (z pół miliona). W powszechnej świadomości widoczny jest zatem brak wiedzy o Zagładzie polskich Żydów. A już o następnych 3 mln Polaków nieżydowskiego pochodzenia, wymordowanych przez III Rzeszę, nasi zachodni sąsiedzi praktycznie nic nie wiedzą. Niemcy niechętnie mówią o przynależności państwowej ofiar. Z reguły używają kategorii takich jak Żydzi, Sinti, ofiary eutanazji, homoseksualiści...

Na podobnej zasadzie zrzucają z siebie odpowiedzialność na nieodokreślonych narodowo „nazistów”?

Jak pokazują badania, Niemcy mają świadomość, że to właśnie III Rzesza dokonała tych wszystkich potwornych zbrodni. Ale co innego odpowiedzialność państwa, a co innego odpowiedzialność indywidualna. W badaniach MEMO-Studie 2019 przygotowanych

przez Uniwersytet w Bielefeld na pytanie: „Co robili twoi przodkowie w czasie drugiej wojny światowej?” 70 proc. odpowiada, że „nie byli wśród sprawców zbrodni III Rzeszy”. 36 proc. zapewnia, że „byli ofiarami III Rzeszy”. Kolejne 29 proc. szczyści się przodkami, którzy „pomagali potencjalnym ofiarom prześladowań narodowego socjalizmu”. Tymczasem według historyków z polityką III Rzeszy nie zgadzało się tylko ok. 0,3 proc, co odpowiada 200 tys. w 70-milionowym społeczeństwie. Tak działa psychologiczny mechanizm wyparcia. 70 proc. Niemców uważa, że ich naród jest wzorem dla innych, jak rozliczyć się z przeszłości. Tymczasem tylko 10 proc. załogi obozu Auschwitz-Birkenau stanęło po wojnie przed sądem w jakimkolwiek państwie w Europie. W przypadku innych obozów mówimy o zaledwie paru procentach. Jeśli pamiętamy gest klęknienia Willy’ego Brandta w 1970 r., to pamiętajmy również o prawnym parasole ochronnym rozpiętym nad największymi zawodowymi rzeźnikami systemu – członkami Einsatzgruppen czy Gestapo. Ogromna część przeszła przez denazyfikację suchą stopą, inni nie mieli nawet śledztw, nie mówiąc o procesach. Niemcy uważają, że źródłem zbrodniczości III Rzeszy był wyłącznie nacjonalizm, nie zaś imperializm. Czyli do absolutnego zła nie doprowadziły same podboje obcych państw, demontaż państw, umożliwia-

jące największe zbrodnie, tylko uwielbienie własnego narodu. Na to wszystko nakłada się lekceważący stosunek do Europy Wschodniej. Problemem jest niewiedza Niemców nie tylko na temat zbrodni na Polakach w czasie drugiej wojny, lecz także w ogóle na temat Polski i Polaków.

Polacy, będąc pod komunistycznym butem, rozliczyli się z ciemnymi kartami historii drugiej wojny światowej, natomiast Niemcy, których wina jest oczywista, wciąż nie potrafią tego zrobić...

Polacy nie kolaborowali na poziomie państwa, rządu, wojska, partii politycznych. Zapłaciliśmy za to cenę – miliony Polaków straciło życie, straciliśmy infrastrukturę, zabytki, przemysł. Istniało zjawisko indywidualnej kolaboracji, ściąganej w latach wojny i po wojnie. I robili to bez względu na ustrój polski prokurator i sędzia. Gdyby nie komunizm, rozliczenia miałyby ostrzejszy i bardziej jawny charakter. W polskich śledztwach i procesach z dekretów sierpniowych przeciw kolaborantom i przestępcom wojennym zeznają członkowie lokalnych wspólnot, sąsiedzi. Kolaboracja nie była akceptowalna społecznie, bo ściagała, o czym się dzisiaj w ogóle nie mówi, śmierć również na samych Polaków. W Niemczech mieliśmy sytuację diametralnie inną: przez masowy charakter zbrodni na poziomie rządu, wojska, partii politycznej wytwarzała się zмова milczenia.

FOT. TOMASZ CZELUPAK



A jednak w oczach Zachodu Niemcy są wzorem rozliczeń z przeszłością, a Polska – wręcz przeciwnie.

O Polsce, niestety, można powiedzieć dziś naprawdę wszystko. Wynika to chyba z faktu, że historycznie mamy krótkie doświadczenie państwowości, stąd też nie udało się jeszcze zbudować silnych instytucji, poczucia pewności siebie, asertywności, zdolności do weryfikacji ustaleń niezależnie od politycznych poglądów. Rozliczenia – śledztwa i procesy karne w powojennej Polsce – są przewrotnie traktowane jako dowód masowej winy Polaków. Charakterystyczne, że taktyka odwróconych znaczeń została wprowadzona do obiegu przez środowisko inteligentów urodzonych i wychowanych w PRL. Uważają, że odkryli nową historię. Zaręczam panu, że dla pokolenia wojennego zjawisko zdrady, denuncjacji, donosów w latach okupacji było oczywiste. Po upadku komunizmu – co rozumiałe – naukowcy zajmowali się głównie komunizmem. Uważam jednak, że należało równolegle prowadzić badania nad okupacją niemiecką.

„Instytut Pileckiego to taki IPN light, kolejna instytucja rzucona przez władze na front walki ideologicznej prowadzonej na polach historii w ramach Polskiej Polityki Historycznej” – twierdzi prof. Jan Grabowski. Jego ocenę zapewne podziela niemiecka opinia publiczna?

Profesor Grabowski wygłasza różne dziwne teorie, np. że IPN bierze pieniądze wprost z budżetu. Co to znaczy? IPN jest finansowany z budżetu, tak jak wiele innych instytucji, muzeów, instytutów badawczych. To są jednostki budżetowe, takie jak Żydowski Instytut Historyczny, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. W Niemczech – Instytut Współczesnej Historii w Monachium. Niemcy są słabo zorientowane w sprawach polskich i bardzo wyczulone na wolność słowa, więc łatwo tam wmówić nieprawdziwy stereotyp, jakoby „państwo blokowało, karało”. Zdarza się zatem, że słyszymy, iż ponieważ rząd „prześladuje niezależnych badaczy”, to z pewnością my „uprawiamy propagandę”. Mierzmy się czasem z uprzedzeniami i ze stereotypami. Wbrew działaniom pewnego środowiska mamy swoje relacje, bardzo ciekawą i owocną współpracę z instytucjami czy badaczami w Niemczech. Współczesne Niemcy to bardzo ciekawy kraj i społeczeństwo, nasz sąsiad, i traktuję to jako zaszczyt, że można budować miejsce edukacji, porozumienia i debaty w Berlinie.

Środowisko badaczy skupione wokół Grabowskiego jest bardzo wpływowe na Zachodzie. Próbujecie jakoś te wpływy przełamać?

Szczególnie było to odczuwalne, kiedy zrobiło się głośno o procesie, który Filomena Leszczyńska wytoczyła profesorom Grabowskiemu i Engelking. Chyba wszystkie ośrodki naukowe w Niemczech wydały specjalne oświadczenia w tej sprawie. Nawoływano, by polski rząd wstrzymał proces wytoczony „niezależnym naukowcom”. Tak, jakby w tej sprawie polskie państwo mogło odebrać obywatelowi prawo do wytoczenia procesu cywilnego. Więcej – tak jakby w Niemczech nie było takich procesów. Spójrzmy na sprawę rodziny Hohenzollernów. Wytoczyli proces historykowi, który twierdził, że syn Wilhelma II miał związki z nazistami, i wygrali – wyrok zapadł tydzień po ogłoszeniu wyroku w sprawie stryja Filomeny Leszczyńskiej. Hohenzollernowie sądzą się od wielu lat o majątek, który ich przodkowie stracili za współpracę z III Rzeszą, stąd opinie historyków postrzegają jako zagrożenie. Wychodzi na to, że niemiecki książę może walczyć o dobre imię swojej rodziny, ale starsza kobieta, niewidoma babcia Filomena, Polka, już takiego prawa nie ma... Podkreślę zarazem, że w mojej opinii to nie sala sądowa powinna być miejscem sporu o historię, lecz dyskusja naukowa. Osoby, które najgłośniej mówią o zagrożeniach dla wolności badań i debaty, same najbardziej chcą tę debatę i badania innych ograniczać. I tak przykładowo często mówi się o efekcie mrozącym związanym z procesem cywilnym w sprawie Edwarda Malinowskiego, tymczasem mrozący efekt niektórzy chcą osiągnąć poprzez próby blokowania współpracy instytucji badawczych, „szepitanek” przeciwko projektom badawczym Instytutu Pileckiego i jego badaczom. Przez nasze spokojne, umiarkowane poglądy. Mamy się przestraszyć. Nie zamierzamy, jesteśmy historykami.

W polemice w „DGP” wytknęła pani Grabowskiemu manipulację. Przykładem jest historia Natana Najmana. Dziewięcioletni chłopak uciekł z transportu, następnie wraz z kolegą został doprowadzony na posterunek polskiej policji granatowej. Grabowski twierdził, że kolega „był prowadzony na rozstrzelanie”, Natan zaś uciekł. Natomiast w rzeczywistości polski policjant nikogo nie zastrzelił, ale kazał uciekać, ratując im życie. Badacz pominął też fakt, że wcześniej Natan

znalazł schronienie u polskiej rodziny. Grabowski zdaje się dobrać do swojej narracji te wątki, które pasują do jego tezy o „złych Polakach” mordujących Żydów.

Takie przykłady nie budują zaufania do rzetelności czyichś badań. Też budzi we mnie opór brak szacunku do relacji ocalonego z Holocaustu! Nam zaś się zarzuca, że chcemy pokazać, iż wszyscy Polacy ratowali Żydów. Nie jest tak. My się zajmujemy badaniem historii.

Cała polemika zaczęła się od tego, że Instytut Pileckiego odnalazł w niemieckich archiwach dokumenty nieuwzględnione w pracach Grabowskiego. A mianowicie: protokoły z przesłuchań przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich. Niemcom przekazała je prokuratura PRL, starając się zmusić niemieckie organy ścigania do działania. Grabowski twierdzi, że ich nie wykorzystał, bo są to dokumenty niewiarygodne. Jego zdaniem prokuratura PRL manipulowała je tak, aby wybielić polskie zbrodnie.

Znalezione dokumenty procesowe w landowych archiwach to poszerzenie trzonu dokumentów znajdujących się w Centralnej Agencji Ścigania Zbrodni Nazistowskich w Ludwigsburgu, zawierają bardzo ciekawe materiały niemieckie, ale też przesłuchania polskich świadków. To są tysiące zeznań dokumentujących zbrodnie niemieckie na Żydach, Polakach, jeńcach sowieckich w wielu archiwach... Część z nich nie zachowała się w Polsce, a trafiły do poszczególnych prokuratur niemieckich. Czy PRL manipulowała zeznaniami? To były przesłuchania składane pod przysięgą, ich wartość docenili niemieccy prokuratorzy, tacy jak np. Fritz Bauer. W sprawie Jedwabnego zapadły wysokie wyroki skazujące, w tym kara śmierci. A w samych polskich przesłuchaniach z lat 60. czy 70. przed polską GKBZH, wbrew twierdzeniom niektórych badaczy, znajdują się informacje także o polskich kolaborantach. Po otwarciu czytelnicy Instytutu Pileckiego w Berlinie w czerwcu zapraszamy do lektury źródeł. Nie tylko otwieramy wtedy pierwszą wystawę czasową, lecz także wypuszczamy na rynek niemiecki grę komputerową o młodym prokuratorze odkrywającym historię zbrodni na Woli w Warszawie. Codziennie prowadzimy warsztaty on-line dla niemieckich szkół o misji Witolda Pileckiego w Auschwitz czy Grupie Ładosia. Digitalizujemy archiwa, organizujemy debaty i seminaria. Działamy.

JAN HLEBOWICZ: Jak wyglądało przygotowanie „Biuletynu Informacyjnego Topolówki” [niezależnego pisma młodzieży III LO w Gdańsku – przyp. J.H.] „od kuchni”?

PIOTR SEMKA: W specjalnie do tego przeznaczonej gablocie wieszałem wcześniej przygotowane brystole z własnymi artykułami i zdjęciami. Starłem się, by wiadomości były bardzo często aktualizowane. Podam przykład. W nocy z 4 na 5 listopada 1980 roku miały zostać ogłoszone wyniki wyborów prezydenckich w USA. Wcześniej rano wywiesiłem gazetkę, w której poinformowałem swoje koleżanki i swoich kolegów, że zwyciężył Ronald Reagan. Wszyscy byli zdziwieni, jak udało mi się tak szybko to wszystko przygotować. Jedni mówili, że słuchałem radia od drugiej w nocy i zdążyłem zrobić materiał do świtu. Pozostali twierdzili, że miałem nosa i czułem, że wygra kandydat Partii Republikańskiej. Jedno i drugie przypuszczenie było bzdurą. Po prostu przygotowałem dwie wersje gazetki. W jednej ogłosiłem zwycięstwo Cartera, a w drugiej o wygranej Reagana. Rano pozostało wybrać odpowiedni rulon. Oczywiście oprócz bieżących informacji z Polski, Europy i ze świata przygotowywałem okazjonalne wydania dotyczące kolejnych rocznic Grudnia '70, Marca '68, śmierci Stalina, 17 września, 11 listopada i tak dalej. Wszystkie materiały potrzebne do stworzenia „BIT-u” kupowałem z własnych pieniędzy.

W pewnym momencie na horyzoncie pojawiła się konkurencyjna gazetka.

Tworzyła ją od stycznia 1981 roku Grażyna Stankiewicz. Grażyna, przebojowa szesnastolatka, swoją gablote wypełniała głównie materiałami, które pozyskiwała z Regionu Solidarności, u mnie natomiast były wyłącznie teksty autorskie. To odróżniało nasze gazetki. Muszę przyznać, że Grażyna była bardzo ambitna, miała wszystkie cechy, by zostać bardzo dobrą, rozpoznawalną w całej Polsce dziennikarką. Zadziorna, czasem bezczelna, przypominała trochę Monikę Olejnik. Została aresztowana na kilka miesięcy podczas stanu wojennego i potem odsunęła się od podziemia (ale nie od antykomunizmu). Do dziennikarstwa wróciła w latach 90. w gdańskim ośrodku TVP.

W czasie karnawału Solidarności stałeś się częstym gościem w domu państwa Kurskich.

To było naturalne. Jarek był przewodniczącym parlamentu, a ja jednym z jego



Rok 1980. Grażyna Stankiewicz przed swoją gablota solidarnościową na korytarzu Topolówki. Obok niej: Radosław Kostka i Stanisław Chybicki. Stankiewicz została aresztowana za działalność podziemną, gdy miała 17 lat. FOT. Z „NIEPOKORNI Z TOPOLÓWKI” JANA HLEBOWICZA



Kolejny fragment książki „Piątka u Semki” (Zysk i Sk-a), wywiadu rzeki z Piotrem Semką przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Dramatyczny Czas

dwóch czy trzech zastępców. Pamiętam, że starszy z braci Kurskich miał cały pokój wytapetowany obrazami Matejki i Grottgera. Na ścianie wisały szable, a on sam grał piosenki Jacka Kaczmarskiego. I to robiło wrażenie. Jarek zawsze wydawał mi się nieco zbyt zasadniczy, ale można było na nim polegać. To pewnie styl, którego nabrał w harcerstwie. Odkąd pamiętam, zawsze szukał mistrza, którego słuchał z zachwytem. Najpierw był to Wiesław Walendziak, potem Lech Wałęsa, którego rzecznikiem prasowym był w latach 1989–1990, a wreszcie trafił w orbitę Adama Michnika. Po szoku, jaki przeżył Jarek, odkrywając z bliska egoizm i bezwzględność Wałęsy, Mich-

nik, wyjątkowo sprawny intelektualny uwodzień, wziął go za rękę i powiedział: „Kochany Jareczku, a teraz powiem ci, co masz myśleć”. A Jarek na to: „Adasiu, dziękuję, że wskazałeś mi właściwą drogę” (śmiech). Ale może Jarek to samo myśli o mnie, tyle że pewnie w myślach ubolewa, że moją duszę złowił Jarosław Kaczyński. Ale to było długo potem. W czasach, o których mówimy, takimi idolami dla Jarka byli Walendziak i ludzie z Ruchu Młodej Polski. Zachowujemy życzliwe relacje do dziś. Wiele się od niego nauczyłem.

Odwiedzając Jarosława, poznałeś także młodszego z braci, czyli Jacka.

Jacek był ode mnie rok młodszy. Ja byłem rocznik 1965, a on 1966. W czasach licealnych różnica roku to dużo. Nasza znajomość zaczęła się na dobre dopiero, kiedy przyszedł do Topolówki we wrześniu 1981 roku. Z wizyt w domu Kurskich przed wybuchem stanu wojennego pamiętam rozmowy z panią Anną, to znaczy mamą Jacka i Jarka. W czasie drugiej wojny światowej pani Kurska była sanitariuszką. Brała udział w powstaniu warszawskim. A w latach 80. zasiadała w Zarządzie Regionu Gdańskiego „S”. To od niej dowiadywałem się o konfliktach wewnątrz Solidarności. Także z opowieściami pani Anny wiąże początek mojego dystansu wobec osoby Lecha Wałęsy. Pani Kurska opowiadała już wtedy, że Lech zachowuje się jak dyktator, bo przerywa innym rozmówcom, a na sali pojawiają się bojówki stoczniovców, które, kiedy ktoś próbuje dyskutować, krzyczą: „A po co tyle gadać! Skończmy już! Lecha nie wolno nikomu obrażać!”. Sam często chodziłem do budynku Regionu – już od października, listopada 1980 roku.

Wszystko tam było ciekawe. W końcu to była kwatera główna ruchu rewolucyjnego, który zatrzęsł całym obozem sowieckim. Byłem na tyle bezczelny, że wchodziłem do pokojów i przedstawiając się jako „korespondent pisma »BIT«”, zadawałem pytania rozmaitym solidarnościowym tuzom. Jedni mnie gonili, ale inni brali to serio. Drżałem tylko, czy ktoś zapyta kiedyś w końcu, co to za pismo ten „BIT”, a ja stanę wobec dylematu: ujawnić, że to licealna gazetka, czy nie? Ale nikt nie pytał. W kraju powstawały setki pisemek, a na dodatek nikt nie wymagał w tamtych czasach autoryzacji. Tak zobaczyłem z bliska Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego czy Zbigniewa Bujaka. Gdy w kawiarence Regionu otaczały ich tłumy zadające najprzeróżniejsze pytania, ja stawałem na palcach i słuchałem urzęczony. Na moich oczach „robiła się” wielka polityka i jeszcze większa historia. I jak tu było nie zakochać się w dziennikarstwie?

Rodzice wiedzieli, że ich syn kręci się wokół Solidarności, że współtworzy niezależny parlament uczniowski i robi „BIT”?

Mój tata wiedział, czym się zajmuję. Mama już nie żyła – zmarła w czerwcu 1980 roku wskutek obrażeń wewnętrznych po potrąceniu przez samochód. Pewnie moje rzucenie się w wir solidarnościowej rewolucji było jakąś formą odreagowania utraty najbliższej osoby. Ojciec bał się po cichu, czy z tej zabawy w politykę nie będzie jakiejś kabały, ale

był ze mnie dumny. Może rozpoznawał w synu siebie z czasów wojny.

13 grudnia 1981 roku został wprowadzony stan wojenny.

W ciągu jednej doby zmienił się świat. Poszarżał, posmutniał, zrobił się groźny. Pamiętam, że po ulicach krążyły spore grupy uzbrojone w broń maszynową. Ludzie nauczyli się patrzeć na buty. Zomowcy nosili czarne, a wojsko brązowe. Jak mijają się grupy wojskowych, to było jasne, że raczej kłopotów nie będzie, ponieważ żołnierze źle się czuli w roli okupantów. Milicjanci legitymowali, byli czujni i brutalni. Opozycjoniści zeszli do podziemia. W ukryciu zapuszczali brody i wąsy. Pamiętam, że ktoś rzucił hasło, żeby jak najwięcej ludzi, którzy nie konspirują, zapuszczało brodę i wąsy oraz nosiło plecaki, tak aby ci rzeczywiście działający w podziemiu niejako „roztopili się” w masie wąsatych, brodatych i „plecakowych”.

Absolwenci Topolówki zaangażowani w działalność niezależną też się ukrywali.

Pamiętam, że w kwietniu 1982 roku spotkałem na peronie SKM Gdańsk-Wrzeszcz Wiesława Kamińskiego, absolwenta III LO zaangażowanego wcześniej w niezależny parlament. „Co u ciebie? Studiujesz?” – zapytałem. „Nieeee” – odpowiada Wiesiek. „Pracujesz?”. „Nieeee”. Jakoś podejrzliwie patrzy, nic nie mówi. „Dziwna sprawa” – pomyślałem. Później powiedziałem o tej sprawie Jarkowi Kurkiemu: „Pamiętasz takiego Wieśka Kamińskiego z parlamentu szkolnego? Facet jakiś dziwny. Nie chciał rozmawiać”. Jarek patrzy na mnie osłupiały: „Piotrek, ty nie wiesz, że on się ukrywa?”. Wyszedłem na małego prowokatora (śmiech).

Co jeszcze zapamiętałeś z pierwszych dni, tygodni, miesięcy stanu wojennego?

Dowcip o facecie, który wyszedł z piekiem na spacer i spotyka ZOMO. „Dokumenty!” – krzyczy funkcjonariusz. „Nie mam”. „Co?! Nie wiecie, że trzeba mieć przy sobie dokumenty?” „Ale ja tu mieszkam, zaraz za rogiem”. „Dobrze, pan niech tu zostanie, a ty, Zenek, idź i sprawdź, czy to prawda”. Zenek wraca. „Byłem, pytałem gospodarza i on powiedział, że nikt taki tam nie mieszka”. „O ty gnoju”. Pałują, pałują. Facet skatowany na czworakach dowleka się do domu. W drzwiach wita go gospodarz: „Panie kochany, świetnie, żeś pan przyszedł. Była po pana milicia.



Ale powiedziałem, że pan tu nie mieszka”. Inny dowcip, który wówczas krążył wśród młodzieży licealnej: „Jaki jest szczyt bezczelności? Podejść do zomowca i zapytać, czy można skorzystać z automatu”. Oczywiście chodziło o automat

telefoniczny. Dzisiaj większość tych kawałów dla młodych ludzi jest niezrozumiała i zupełnie nieśmieszna.

Dowcipy o zomowcach to jedno. Kiedy jednak na ulice wjechały czołgi, chyba nikomu nie było do śmiechu...

To był bardzo dramatyczny czas. W pierwszych dniach stanu wojennego odbywały się strajki w zakładach pracy i demonstracje na ulicach miasta. Pamiętam bibliotekę na Podwalu Staromiejskim, w której jakaś bohatera bibliotekarka przykleiła do szyby kartkę z napisem odręcznym: „Stan wojenny – nie oddychać”. Wtedy też po raz pierwszy widziałem czołg, który strzelał. Wprawdzie ślepymi pociskami, ale i tak strach był ogromny. 16 grudnia od rana tłum demonstrantów walczył z milicją w okolicach Zieleniaka i dworca. Groza ogarnęła mnie także, gdy nad tłumem pojawił się helikopter, który – jak opowiadał wtedy ktoś w tłumie – najprawdopodobniej szykował się do strzelania do ludzi. Tego dnia, 16 grudnia, też byłem wśród demonstrantów. Dowiedziałem się, że w kopalni Wujek dokonano masakry. Na wieść o tym przed gdańskim Monopolem w trawnik pokryty śniegiem ktoś wbił kilof, powiesił na nim lampkę karbidową i przymocował obraz Matki Bożej Ostrobramskiej. Wokół kilofa kłębało na śniegu trzydzieści osób i głośno odmawiało litanię do Matki Bożej. A wszystko to odbywało się trzydzieści metrów od zadymy. Niestety, nikt nie uwiecznił tego obrazu. Szukałem w IPN i różnych albumach. Bezskutecznie. Dla mnie to jeden z najmocniejszych obrazów stanu wojennego. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowski.

Dotychczas wydrukowaliśmy następujące fragmenty książki:

- „Jak Semkowie Polskę wybrali” – nr 16/2021
- „Dziadek Jan i dziadek Józef” – nr 17/2021
- „Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową” – nr 18/2021
- „Niepokorna Topolówka” – nr 19/2021



Łukasz Zboralski

Od wieków uważano, że zdolni do pracy żebracy uderzają w społeczny ład. Dlatego m.in. osadzano ich w domach przymusowej pracy. Sprawa lewicowej aktywistki zbierającej na komputer pokazuje, że wciąż takich zachowań nie akceptujemy

Drodzy i drogie! Urodziłam się 2 kwietnia 1991 r. w Szamotułach. W tym roku kończę 30 lat. Niektóre z Was pytają mnie, co bym chciała dostać, wystarczy mi pamięć i obecność w relacji. To najważniejsze. A poza tym: komputer stacjonarny + artykuły biurowe, żebym miała swoje biuro domowe, miejsce do pracy. Marzę o tym, uwierzcie. Może jesteście w stanie mi pomóc? Dzięki tej zrzutce kupię komputer, powstanie moja wymarzona przestrzeń do nauki, pisania, pracy, robienia rzeczy, grania w gierki i spotkania się z terapeutką. Dziękuję za każdą ciepłą myśl i polską złotówkę – taki opis do zbiórki pieniędzy na portalu Zrzutka.pl dodała lewicowa aktywistka Hanna Zagulska.

Oburzyło to wiele osób, i to z różnych środowisk. Dali temu wyraz w Internecie także dziennikarze. Agnieszka Gozdyra z Polsat News ironicznie komentowała więc sprawę na Twitterze tak: „Z zawodu jestem aktywistką. Dej stówę”. 32-letni Łukasz Rojgosz, dziennikarz Gazeta.pl, podsumował: „»Za moich czasów«, jak chciało się coś mieć, trzeba było na to zarobić”.

Część osób broniła Zagulskiej w sieci – głównie z pozycji skrajnie lewicowych, czyli uznających pracę dla kogoś za kapitalistyczne upokorzenie – ale miny musiały im jednak zrzednąć, gdy ta, początkowo pisząca, że chce zbierać na jakiś używany sprzęt, zebrała w sumie prawie 10 tys. zł i... zaprezentowała się na zdjęciu z nowiusieńkim, bardzo drogim komputerem od Apple.

OD „JAZDY KONNEJ” DO „CHCĘ SAMOCHÓD”

Zagulska jest tylko najgłośniejszym – bo dostrzeżonym przez media – przypadkiem pragnienia posiadania przedmiotów bez zarabiania na ich zakup. Przykłady? Wik-

toria Mickiewicz na portalu Pomagam.pl zbiera 26 tys. zł na samochód. Konkretny – honda. I zaznacza, że nie ma to być „jakiś opel do 10 tys.”. Zbiórkę opisała tak: „Mam przy sobie tylko 400 zł, a potrzebuję 26 tys. na samochód. Pracę zacznę dopiero po maturach, a uzbieranie takiej kwoty nie będzie łatwe”.

Na Zrzutka.pl Tomasz Żórański napisał: „Zbieram na nowy samochód. Pojazd potrzebny na dojazdy do załatwienia różnych spraw”. Gdy w komentarzu pod aukcją ktoś wytknął, że łatwiej zbierać, niż zarabiać, organizator zbiórki odpisał wprost: „Ja nie szukam pracy. Ja zbieram. Rozumie pan!”.

Takie zbiórki przeplatają się w sieci z ludźmi, którzy zbierają na kurację nierefundowaną w Polsce, na odbudowę domu po pożarze czy na specjalistyczny wózek inwalidzki. Chociaż – i to warto zauważyć – w sieci trudno mieć pewność, czy to autentyczne potrzeby. Niektórzy wręcz wyspecjalizowali się w tego rodzaju oszustwach. Pod koniec kwietnia policjanci ze specjalnego wydziału do walki z cyberprzestępczością zatrzymali 33-latkę, który w Internecie wyłudził 54 tys. zł w zbiórce na rzekomo spalony dom. Okazało się, że w ostatnich trzech latach naciągał ludzi w co najmniej 19 takich fikcyjnych zbiórkach.

Cyberżebracy



FOT. ADRIEN STOCK

Oczywiście chodzi nie tylko o samochody. Na przykład 43-letnia Marta pisze, że rzuciła pracę w korporacji, zbiera ziola i wciąż pracuje nad samorozwojem. Chce mieć dom na wsi. Potrzebuje... 149 tys. zł.

23-letnia Anna Mosiek ma z kolei pasję – jazdę konną. „Na pasję i spełnienie swoich najskrytszych marzeń jazda konna” (opis oryginalny) chce zbierać 20 tys. zł.

Badacze tego zjawiska zauważają, że w ostatnich latach nastąpił rozkwit proszenia o pomoc w sieci. I trudno się dziwić, bo – jak wskazuje Kazimiera Król w publikacji „Żebractwo we współczesnej Polsce jako kwestia społeczna” – jest to forma dużo wygodniejsza dla żebrzących: „[...] cyberżebractwo, jako internetowa wersja tradycyjnego żebractwa, pod względem socjotechnicznym ma przewagę nad żebractwem

w »realu«. Można wymienić co najmniej kilka takich elementów. Żebrak w sieci nie musi wcielać się w różne »figury« żebracze, nieważne są warunki atmosferyczne, czas i miejsce. Żebrak w sieci dociera do niewiarygodnie dużej liczby potencjalnych jałmużników – cyberjałmużników. Eliminuje wstyd proszenia o datki na ulicy, przy tym bez rywalizacji z innymi o strategiczne miejsce do żebrania. Należy również zaznaczyć, że trudniej sprawdzić wiarygodność cyberżebraka. Taka forma utrudnia, a czasem wręcz uniemożliwia skuteczną interwencję służb społecznych, komplikuje także diagnozę przypadku”. Dlatego



łatwe źródło utrzymania czy pozyskania pieniędzy.

Od dawna władze próbowały takim ludziom postawić jakąś tamę. Pius IV w „Bando sopra la provvisione di proreri mendicanti” w 1561 r. zakazał żebractwa w Rzymie. Karą były banicja, galery lub więzienie. Chorych nakazał leczyć, a zdolnych do pracy – zatrudniać. A pierwsze akty prawne skierowane przeciwko żebractwu powstawały jeszcze w XIV w. (w Kastylii, we Francji i w Anglii). W Polsce statut Jana Olbracht z 1496 r. przewidywał zesłanie uchylających się od pracy włóczęgów – musieli budować zamki na kresach Rzeczypospolitej. Natomiast w XVII w. powstawały domy o więziennej dyscyplinie, gdzie przymusowo zatrudniano żebraków uznanych za zdolnych do pracy. Takie domy istniały w Gdańsku, Elblągu, a w późniejszym wieku także w Krakowie i Warszawie.

Oczywiście równolegle rozwijało się też w społeczeństwach podejście filantropijne. Na ziemiach polskich udział w tym miał przede wszystkim Kościół. Ewaluowało to do położenia nacisku na opiekę społeczną. Drugi nurt jednak nie zamarł i jeszcze w przedwojennej Polsce – w Warszawie – istniał dom pracy przymusowej (choć metoda już wówczas zawodziła, bo bezdomni symulowali żebractwo, byle dostać się pod dach i ich napływ powstrzymało dopiero wprowadzenie obowiązkowej dezynfekcji).

NIE POCHWALAĆ, ALE NIE KARAĆ?

Dzisiaj wciąż u nas obowiązuje prawo (art. 58 Kodeksu wykroczeń), w którego świetle żebranie w wykonaniu człowieka zdolnego do pracy jest wykroczeniem i grożą za to nagana, grzywna lub ograniczenie wolności.

Zdaniem ekspertów internetowe zbiórki trudno jednak zakwalifikować jako to wykroczenie. Mecenaz Marcin Malinowski z kancelarii B2RLAW wskazuje na ratio legis – a więc sens ustanowienia przepisu, który ma zapewniać ochronę porządku publicznego. Czyli np. zabezpieczać nas przed wulgarnym nagabywaniem czy ryzykiem uszkodzenia pojazdu, gdy ktoś próbuje wymusić datkę na parkingu, a my odmówimy. – Z takim przecież ryzykiem czy naruszeniem porządku publicznego zwykle nie mamy do czynienia, gdy zbiórka odbywa się w Internecie, a my nie uwidocznimy

się poprzez swoją aktywność na łamach danego serwisu – mówi „Do Rzeczy” mec. Malinowski. – Ponadto czynność żebrania musi mieć charakter powtarzalny, a żebrzący musi uczynić sobie z żebrania źródło utrzymania, by można było mówić o wykroczeniu – dodaje.

Prawnik ostrzega jednak, że podczas zbiórek crowdfundingowych popełnić można wiele innych przestępstw i wykroczeń. – Takich jak choćby oszustwo (art. 286 k.k.), zbiórkę na uiszczenie grzywny (art. 57 §1 k.k.w.) czy choćby przestępstwo podatkowe (art. 54 i nast. k.k.s.) – wylicza mec. Malinowski.

Na początku tego roku Rzecznik Praw Obywatelskich zwrócił się do ministra sprawiedliwości o zmianę Kodeksu wykroczeń tak, by żebractwo „osoby mającej środki egzystencji i zdolnej do pracy” nie było już karalne. Adam Bodnar zwrócił uwagę, że art. 58 jest częścią Kodeksu wykroczeń przyjętego w 1971 r. i wpisującego się w PRL-owski system wartości oraz konstytucję PRL z 1952 r. „Stanowiła ona, że praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela. Dziś konstytucja nie zawiera zaś obowiązku pracy” – dowodził Bodnar.

O ile rzeczywiście przepis wydaje się dziś anachroniczny i trudny w interpretacji, o tyle jednak wciąż mamy do czynienia z żebractwem, m.in. zorganizowanych grup obcokrajowców oraz z wykorzystywaniem do tego procederu nieletnich. Młodociani piszczący coś bez ładu na akordeonie i zbierający datki to podwójna zasłona prawna – bo nieletnich z tego paragrafu karać nie można, nie można też uznać za żebranie wykonywanie pewnej sztuki, np. grania na instrumentach, pokazów artystycznych itd.

I choć internetowe zbiórki ludzi, którzy chcą mieć przedmioty, ale nie chcą na nie zapracować – bo np. uważają, że kapitalizm powoduje ich wyzysk jako pracowników – spotykać się będą jedynie (jeszcze) ze społecznym oburzeniem, to pytaniem otwartym jest to, czy chcemy z prawa w ogóle wyrugować zakaz żebrania? © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: Kazimiera Król „Żebractwo we współczesnej Polsce jako kwestia społeczna”, PWSZ w Koninie, 2017 oraz Dawid Chęsy, Leszek Dyduch „Żebractwo jako zjawisko patologii społecznej”, Centrum Szkolenia Policji, Legionowo 2018.

zdaniem Król zjawisko to w kolejnych latach będzie się jeszcze rozwijało.

NOWA METODA

Tym, co łączy najdawniejsze żebractwo ze współczesnym, internetowym, jest problem rozróżnienia wśród tych, którzy rzeczywiście znaleźli się w trudnej sytuacji i potrzebują pomocy innych – bo instytucjonalnie nie da się tego zapewnić – od tych, którzy uczynili z tego

Doradczyni w bikini



Tańce na grobie Konstytucji i Krajowy Plan Odbudowy (KPO) czyli nie dajmy się oszukać PIS-owi!" [pisownia oryginalna] – zatytułowała

swoją instagramową odezwę do opozycji była prowadząca program śniadaniowy „Dzień Dobry TVN” Kinga Rusin. Wyliczała warunki, które opozycja powinna postawić rządowi: „zabezpieczenie dla demokracji, praworządności, praw człowieka, praw kobiet, praw mniejszości!”. Sądziły wpis spuentowała patetycznie: „Wyszarpicie to tak, jak Solidarność wyszarpała od komunistów Porozumienia Sierpniowe w 1980 r.”.

Wpis okrasila zdjęciem z rajskej plaży, na której pozuje z egzemplarzem konstytucji – jakby był to niezbędny na egzotyczny wyjazd element ekwipunku. Postem tym wywołała lawinę memów, w których konstytucję zastępowano Nagrodą Pulitzera, pudełkiem popularnych ostatnio lodów Ekipa, a nawet zdjęciem, na którym Rusin przytula się do Edwarda Miszczyka, dyrektora programowego TVN. Rusin nie pierwszy raz zapewniła sobie obecność nie tylko na wszystkich plotkarskich portalach, lecz także tych nieco poważniejszych. „Kinga Rusin wygłasza na Instagramie odezwy do narodu”, „Celebrytka milionerka Kinga Rusin poucza nas, jak żyć”, „Kinga Rusin śle znad dalekiej wody przemyslenia o Polsce” – krzyczały nagłówki.

MARZENIA O KONTROWERSJACH

Z programu śniadaniowego Kinga Rusin zniknęła w ubiegłym roku. Informatorzy plotkarskich portali donosili, że do odejścia miały przekonać ją m.in.



Agnieszka Niewińska

Kinga Rusin, odchodząc z programu śniadaniowego, mówiła, że chce prowadzić ostrzejszy program. Na razie do czerwoności rozgrzewa Instagram, wygłaszając polityczne manifesty wprost z plaż Malediwów

nowe regulacje dotyczące wypowiadania się gwiazd TVN w social mediach. „Kinga ma wyraziste poglądy i nie chce dłużej się autocenzurować” – cytowała swojego informatora Plejada.pl. Z widzami pożegnała się na Instagramie. Zdradziła, że ma telewizyjne propozycje, ale się waha. „Chciałabym prowadzić program ostrzejszy, bardziej kontrowersyjny” – deklarowała. I dodała, że myśli o produkcji reportaży i dokumentów. „Robiłam to, kiedy mieszkalam przez kilka lat w USA, zawsze to kochałam” – podzieliła się z fanami.

Choć Rusin przez 15 lat związana była z programem śniadaniowym TVN, to przygodę z małym ekranem zaczęła w latach 90. Pracowała jako prezenterka w TVP i w zespole programu „Randka w ciemno”. Do Waszyngtonu przeniosła się wraz z ówczesnym mężem Tomaszem Lisem, który był korespondentem telewizji publicznej. Po powrocie związała się z TVN. Prowadziła m.in. program „Wizjer TVN”, ale też występowała w show stacji. W 2006 r. w parze ze Stefano Terrazzino wygrała „Taniec z gwiazdami”, była prowadzącą i jurorką kilku edycji programu „You Can Dance”.

W swojej karierze zawodowej ma jednak na koncie prowadzenie agencji PR, a także biznes kosmetyczny. Rusin jest właścicielką marki Pat&Rub – naturalnych kosmetyków, na które mogą sobie pozwolić klienci z zasobniejszym portfelem. Mimo zapowiedzi o propozycjach na razie nie słychać o nowych telewizyjnych produkcjach z udziałem Rusin, ale i tak jest o niej głośno, a może nawet głośniejsze niż w czasach, kiedy można było ją oglądać w TVN. I to pomimo tego, że nadaje z rajskej wyspy oddalonej o jakieś 7 tys. km od Polski.

TAMILOWIE A SPRAWA RPO

Mimo pandemicznych obostrzeń Rusin wraz z partnerem Markiem Kujawą od listopada zażywa słońca na Melediwach. Jej anteną stał się Instagram (obsługuje ją 528 tys. internautów). – Odkąd Kinga Rusin zniknęła z telewizji, postrzegam ją raczej jako influencerkę. Po tym, jak działa w sieci, widać, że wie, jak poruszać się w mediach społecznościowych, jak generować zainteresowanie – komentuje Sławomir Jastrzębowski, wieloletni redaktor naczelny „Super Expressu”, a dziś właściciel portalu Salon24.pl. – Jak każdy artysta



FOT. INSTAGRAM.COM/KINGARUSIN

czy celebryta

znany z tego, że jest znany, Rusin ma grono fanów i antyfanów. Dla popularności ważne jest przede wszystkim to, żeby nie być ludziami obojętnym. Jednych zachwyca jej zdjęcie z plaży, a innym, choćby zapracowanym gospodyniom domowym, podnoszą ciśnienie. Trzeba budzić emocje, nawet te negatywne, i Kinga Rusin je budzi. A że ma hejterów? Zgadza się z hasłem, że hejterka daje popularkę. Często słyszymy, że ktoś swoją krytyką zmiażdżył celebrytę. Tymczasem ci zmiażdżeni mają się jak najlepiej. Stara reguła mówiąca o tym, że nieważne, jak o tobie mówią, ważne, żeby nie przekreślił nazwiska, wciąż jest aktualna – dodaje Jastrzębowski.

Rusin w sieci nie przestaje bombardować zdjęciami spod palm – w bikini i zwiewnych sukniach. Raz maszeruje brzegiem w słomkowym kapeluszu, innym razem pokazuje swoje biuro na plaży. Nie są to jedynie kadry z życia w egzotycznym miejscu. Do zdjęć Rusin załącza swoje polityczne analizy, odezwy, apele.

Na jednym ze zdjęć maszeruje wzdłuż brzegu w słomkowym kapeluszu i donosi, że choć jej wyspę można obejść w 15 minut, to „»spod palmy«, i z każdego innego miejsca na świecie, widać i słyszeć, co się w Polsce wyprawia, może nawet wyraźniej niż z bliska!”. Na innym w kwietnym wieńcu na głowie informuje, że Polska stała się krajem przemocy w stosunku do kobiet: „Dzisiaj, w Dniu Kobiet, wraz z moim partnerem przekazujemy 30 tys. złotych na obie antyprzemocowe Niebieskie Linie” – deklaruje.

„Dziś na Sri Lance Syngalezi i Tamilowie obchodzą Aluth Avuruudda, czyli... Nowy Rok (święto państwowe). Były już tradycyjne słodczyce przy tradycyjnej herbacie i zapalanie symbolicznych świeczek” – pisze obok zdjęcia ze Sri Lanki, na którym relaksuje się w wodzie. Od Syngalezów i Tamilów płynnie przechodzi do spraw krajowych. „Tymczasem w Polsce wykorzystuje się tragedię pandemii do odwrócenia uwagi i dorzyna się kolejną instytucję demokratycznego państwa prawa. Zgodnie z wolą rządzących nastąpi upadek niezależnego Rzecznika Praw Obywatelskich” – alarmuje i apelu-

je do ludzi o dużych zasięgach w social mediach, żeby mocniej angażowali się publicznie w sprawy obywatelskie.

Na koncie pani Kingi coś ciekawego znajdują też miłośnicy dendrologii. Nie ustaje bowiem w krytyce działań Lasów Państwowych. Choćby statystyki pokazują, że terenów leśnych w Polsce systematycznie przybywa, to Kinga Rusin alarmuje, że sytuacja jest już bardziej niż tragiczna. „Safari w parku narodowym Yala, gdzie żyje w naturze kilkaset lampartów, największe ich zagęszczenie na świecie” – dzieli się wrażeniami ze Sri Lanki, by akapit dalej punktować polskich leśników. „U nas w Polsce, tymczasem, Lasy Państwowe tną na potęgę i już wkrótce żadne dzikie zwierzę nie będzie miało gdzie żyć!!!”.

Ostatnio poruszyła też środowiska kobiece. Zaczęło się od tego, że aktorka Weronika Rosati w wywiadzie udzielonym portalowi Plejada.pl krytycznie odniosła się do ubiegłorocznej relacji Rusin z zamkniętej imprezy gwiazd po gali oscarowej. Rusin zamieściła w sieci zdjęcie z Adel, którą nazwała „szczupłą jak przecinek”. Pochwaliła się tym, że swoim święcącym garniturem przyćmiła Beyoncé i że tańczyła z Leonardo DiCaprio za rękę, bo akurat stała obok. – Moja przyjaciółka pracowała przy tej imprezie i była trochę zła, kiedy to wszystko zobaczyła – powiedziała Rosati. I dodała, że na imprezach gwiazd w Los Angeles czy nawet w słynnych restauracjach nie wolno robić zdjęć i Amerykanie tego przestrzegają. Rusin wezwała Rosati, by nie naruszała jej dóbr osobistych, i wbiła jej szpilę: „Nigdy nie komentowałam Twojego życia, mimo iż byłam o to proszona. Nie komentowałam też Twojej relacji z Harveyem Weinsteinem [producentem skazanym za przestępstwa seksualne – przyp. red.]. Sugestie Rusin skrytykował m.in. dziennikarka Paulina Młynarska czy feministyczna aktywistka Maja Staśko. „Sugerowanie Weronice Rosati relacji z drapieżcą seksualnym to nie jest żadna odpowiedź na krytykę, tylko napędzanie hejtu, stygmatyzacji” – skomentowała Staśko.

Emocje rozgrzało też opublikowane przez Rusin zdjęcie, na którym widać, jak medytuje na plaży. Opatrzyła je słowami: „Gdy na chwilę próbujesz zapomnieć o tym, że złodzieje, kłamcy i podpalacze wprowadzają w twój kraj »nowy ład«...”. Krytycznie wpis ocenił pisarz Jakub Żulczyk: „Jest coś mocno niesmacznego w pisaniu bojowniczych postów o złodziejach z dalekiej i bardzo drogiej

plaży, gdy w Polsce ludzie – działaczki i działacze – realnie ryzykują zdrowie, a nawet i życie”. Rusin odpowiedziała, że na ochronę prawną protestujących kobiet wpłaciła 100 tys. zł.

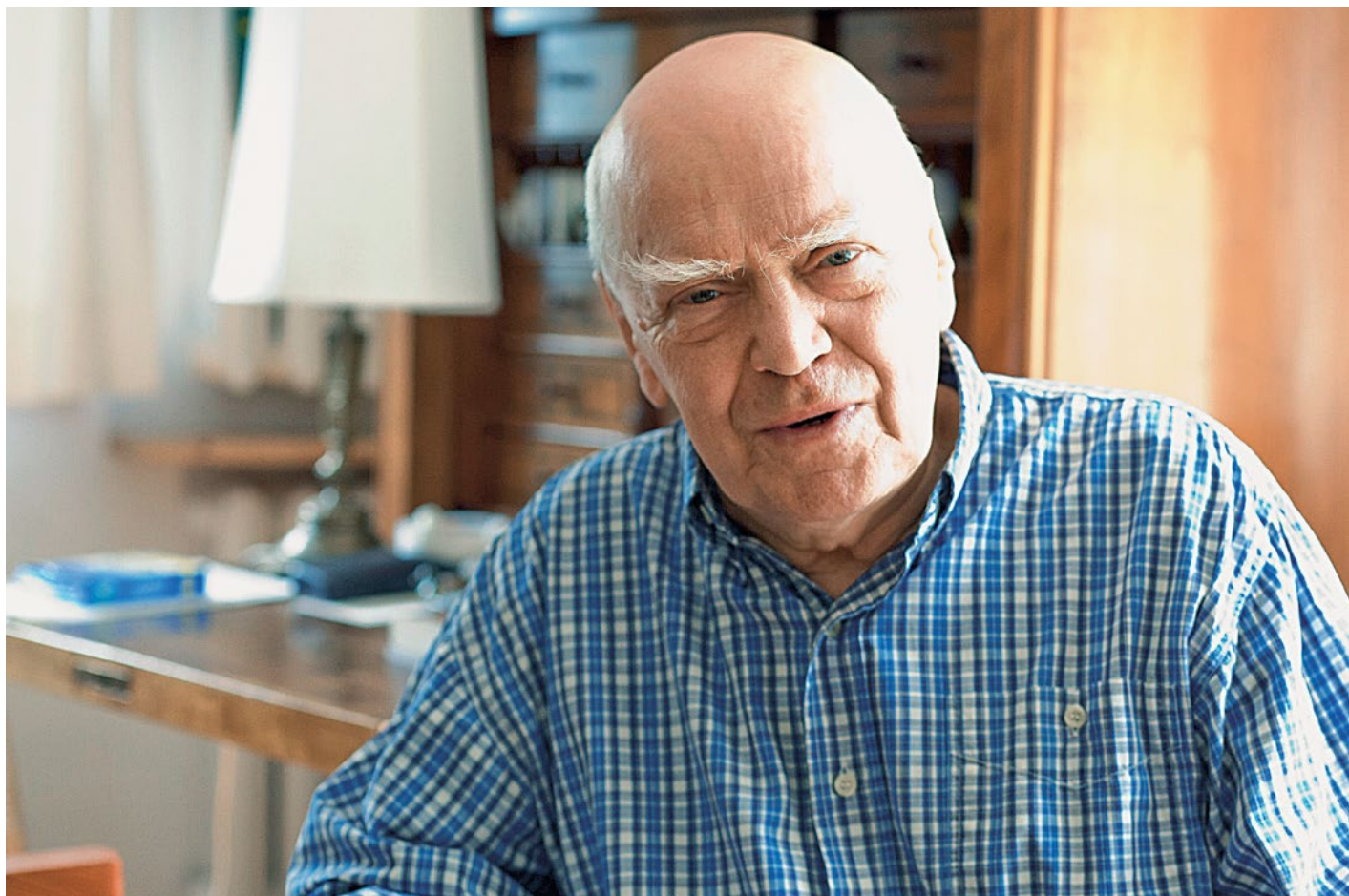
Ostatnio zresztą chętnie wdaje się w internetowe spory. Kiedy jej post z konstytucją skrytykował aktywista miejski Jakub Śpiewak, poświęciła mu długi wpis, nazywając go „ułaskawionym przez Dudę atencjuszem spłacającym dług”.

Sławomir Jastrzębowski podkreśla, że wielu spośród fanów Rusin jest rzeczywiście zainteresowanych jej zdaniem na tematy podejmowane w debacie publicznej. – Kinga Rusin, kiedy jeszcze prowadziła program śniadaniowy, dobrze wypadła w badaniach, budziła sympatię widzów. Może być dla nich autorytetem, bo odniosła sukces życiowy i biznesowy. Rusin to wciąż dobra marka. Choć już jakiś czas temu skończyła 18 lat, to wciąż świetnie wygląda, jest zadbana, dobrze ubrana. Wiele osób jest ciekawych, co na ważne tematy myślą tacy ludzie. Opinie Rusin z pewnością mają wpływ na część tych, którzy śledzą ją w mediach.

CYWILIZACJA POWIERZCHOWNOŚCI

Zastępy artystów i celebrytów, którzy uważają, że znają się na zdrowiu i sądownictwie, klimacie i podatkach, są coraz liczniejsze. Choć trzeba przyznać, że i wśród zwykłych Kowalskich nie brakuje tych, którzy mają się za specjalistów w każdym temacie.

– Cywilizację, w której żyjemy, nazywałbym cywilizacją powierzchowności – komentuje dr Jerzy Bukowski, filozof i publicysta. – Ograniczamy się do czytania tytułów i nagłówek, nie wglębiamy się w tematy, które są przedmiotem debaty publicznej. Jednocześnie wiele osób uważa, że skoro na czymś się zna, w miarę dobrze, to tym samym mają prawo do wypowiadania się także na tematy, na których się nie zna – zwłaszcza na takie jak polityka czy pandemia. Celebryci szczególnie w tym celu. Odpowiedzialność za nagłaśnianie głupoty w dużej mierze ponoszą media – te tradycyjne i te społecznościowe – ocenia. A mówiącym na każdy temat radzi: – Warto więcej słuchać, niż mówić, i więcej czytać, niż pisać. A tym wszystkim, którzy wypowiadają się publicznie na każdy temat, zwłaszcza celebrytom, zadedykowałbym słowa Sokratesa: „Jak czego nie wiem, to i nie myślę, że wiem”.



Odbierając w listopadzie 2017 r. naszą redakcyjną nagrodę Strażnika Pamięci, Jarosław Marek Rymkiewicz powiedział, że najprawdopodobniej nie ma ani jednej kropli polskiej krwi, a w swoich komórkach ani kawałeczka polskiego genu. Pewnie „trochę jest Niemcem, Litwinem, Tatarem, Francuzem, a może i Rosjaninem”. A przecież zawsze był Polakiem, jako dziecko święcie przekonany, że nie można żyć nigdzie indziej niż w Polsce, być kimś innym niż Polakiem. „Bardzo się też wtedy dziwiłem – opowiadał w wywiadzie udzielonym mi w 2005 r. – że są na świecie ludzie, którzy nie są Polakami. Cóż to, myślałem, za straszna kara! I za co taka kara? Przecież Pan Bóg nie jest chyba tak okrutny, żeby skazywać tylu Anglików, Francuzów, Niemców na to, żeby nie byli Polakami? Coś z tego dziecięcego przekonania jeszcze we mnie zostało”.

Dzisiaj wypadłoby uzupełnić te dziecięce przemyślenia o kluczowy chyba dla twórcy „Zachodu słońca w Milanówku” wniosek, który podsuwa mu jego genealogia. Otóż ten, że – jak mówił – „polskość nie jest ani biologiczna, ani gene-

Poeta sprawy polskiej



Krzysztof Mastoń

Joanna Lichocka, skupiając się w wydanej niedawno książce „Rymkiewicz. Genealogia” na życiorysie autora „Pastuszka Chełmońskiego”, poddaje wiele jego wypowiedzi konfrontacji zarówno z tym, co sam napisał wcześniej, jak i ze stosunkowo nielicznymi świadectwami osób trzecich. Jest wnikliwą czytelniczką książek swojego bohatera, jak również rozmówczynią zafascynowaną wprawdzie osobą interlokutora, ale nie bezkrytyczną wobec jego enuncjacji

Jarosław Marek Rymkiewicz
w swoim domu w Milanówku, 2011 r.
FOT. IGOR SMIRNOW/GAZETA POLSKA/FORUM

Tak, Rymkiewicz jest skandaliczny, jest kontrowersyjny, kanciasty, nieuladzony, zasługuje więc na procesy sądowe, ostracyzm, wrzuszanie ramionami.

Ale sądzę, że, nieświadomie co prawda, mają jednak rację ci, którzy czują jakiś lęk przed poetą”.

Dlaczego? Stawia on bowiem przed odbiorcą swych utworów niezwykle wysokie wymagania. Domaga się uczciwych odpowiedzi na stawiane przez niego pytania – rangi najwyższej, nawołuje do poważnego rozważenia zasadniczych kwestii dla państwa i każdego jego obywatela, wymusza wręcz szacunek do kultury i tradycji – narodowej. Bo jakiej innej? Słowem – znów zacytuję Krzysztofa Koehlera – „czyni to samo, co czynili nasi najwięksi twórcy. Należy do ich grona. Znalazł być może jakiś stylistyczny kamień filozoficzny, tak nastroił swój poetycki, literacki słuch, aby usłyszeć mowę wieków, a także posiadał sposób przekazywania owej mowy naszym czasem”.

I z tego właśnie powodu, jak i zapewne również z tysiąca innych przyczyn, Joanna Lichocka w wydanej niedawno książce „Rymkiewicz. Genealogia” (Eviva L’Arte, Warszawa 2021) tytułuje swojego bohatera Mistrzem.

JAKĄ IŚĆ DROGĄ

Ta książka będzie miała swój dalszy ciąg i oby słowo to stało się ciałem jak najrychlej. Opowieść Joanny Lichockiej kończy się bowiem w połowie lat 60., gdy poeta przeprowadza się do Warszawy, po wielu perypetiach zdobywa mieszkanie, podejmuje pracę w Instytucie Badań Literackich, ma za sobą dokonania pisarskie dające mu mocną pozycję w środowisku, niebawem ukaże się jego głośna książka – manifest poetycki „Czym jest klasycyzm?”. Jest już – czytamy w książce Lichockiej – „trzydziestoletnim, dorosłym, ukształtowanym poetą, ze sprecyzowanym programem poetyckim i poglądem na to, czym ma być, jakie zadania ma podejmować literatura.

Ale czy równie jasno wiedział, co to znaczy być polskim twórcą w PRL? Jaką drogą iść? Czym jest literatura powstała w totalitarnym państwie, w jego oficjalnym obiegu, powstająca na przecięciu gry twórcy – cenzor – wydział kultury KC? Jak przenieść rozsypane fragmenty europejskiej, polskiej, tutejszej cywilizacji dalej w przyszłość w warunkach re-

glamentujących możliwości tworzenia. Do upadku PRL zostało ponad dwadzieścia lat. Do pierwszego przypuszczenia – że jednak runie – jakieś dziesięć”.

O tym, co było dalej, wiemy już niemało, a kontynuacja „Genealogii” przyniesie nam, niewątpliwie, wiele nowych, niekoniecznie znanych faktów z życia poety i ich interpretacji. Lichocka, skupiając się na życiorysie autora „Pastuszka Chełmońskiego”, poddaje wiele jego wypowiedzi konfrontacji zarówno z tym, co sam napisał wcześniej, jak i ze stosunkowo nielicznymi świadectwami osób trzecich. Jest wnikliwą czytelniką książek swojego bohatera, jak również rozmówczynią zafascynowaną wprowadzić osobą interlokutora, ale nie bezkrytyczną wobec jego enuncjacji.

Dość wczytać się w historię rodzinną poety, nad wyraz skomplikowaną, a przy tym pełną znaków zapytania mnożonych przez samego zainteresowanego. Nad tym, że jest biologicznym potom-

**To duchowość pozwala
ujrzeć świat przedstawiony
przez poetę w całej jego pełni,
naturalnie z Polską
w roli głównej**

tyczna. Ona nie bierze się z krwi, a nawet, jak pokazuje mój przykład, nie bierze się z pochodzenia. Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy niczego wybierać, to ona nas wybiera”.

Bo to duchowość pozwala ujrzeć świat przedstawiony przez poetę w całej jego pełni, naturalnie z Polską w roli głównej. To Krzysztof Koehler skonstatował, że „istnienie »Rymkiewicza« (mówię to w cudzysłowie, bo mam na myśli nie tylko ów psychofizyczny byt, lecz także jakąś silną obecność, która w akcie tworczym przekracza czasowe ograniczenia) uobecnia się w akcie rozpoznawania tego, co kiedyś nazywano z ochotą Duchem Polski. Ten duch Polski, takie mam wrażenie i prawie pewność, ów Duch usiłuje się przez to, co ma do powiedzenia poeta, wyrazić, wypowiedzieć. A ów Duch wyraża najbardziej zasadnicze tony polskiej kultury. Mówi o wolności rozumianej znacznie wcześniej, zanim narzucono jej liberalne czy oświeceniowe wędzidło.

Dziś mówić Duchem? Dziś?

Wydaje się to bezczelnością najwyższą: skandalem, rzec można.

kiem Czyngis-chana, nie powinniśmy raczej deliberować dłużej, choć czaszka J.M.R., istotnie, jest jakby tatarska, ale już odnośnie do Rymkiewiczów, z których pochodziła jego babka, to zastanawiające jest, skąd przybyli do Kalisza, gdzie żyła familia Szulców, z której wywodzi się bohater książki Lichockiej. „Może z Wilna – sugeruje on – a może, i to wydaje mi się prawdopodobniejsze, z oszmiańskiego powiatu, z małego zaścianka, który istniał tam pod nazwą Rymkiewiczze”.

Seweryn Uruski w swoim herbarzu zniechęcony zamętem panującym wśród Rymkiewiczów orzekł swego czasu, że „jest kilka rodzin w Litwie tego nazwiska i różnych, a innych herbów ich rozróżnienie jest niepodobne”. Sprawa jest mi nieobca, jako że jednym z przyjaciół ojca był dr Tadeusz Rymkiewicz (wileński!), który godzinami mógł opowiadać o rodzinnych koneksjach i rozróżnieniach między jednymi a drugimi Rymkiewiczami. Czegoś w końcu jednak dowiedzieć się można

■ i chwala Lichockiej, że przebrnęła przez liczne pułapki zastawione zarówno przez przodków autora „Znaku niejasnego, baśni półżywej”, jak i jego samego. Można zresztą odnieść wrażenie, że roztrząsania zawiłości genealogicznych sprawiają mu niemałą satysfakcję, tyle że dochodząc np. do wniosku, że jego dziadek od strony matki mógł być Rosjaninem, świadomy jest, że jego mama dostałaby szału, dowiadując się o „narodowości rosyjskiej” swojego ukochanego ojca.

W 1946 r. Jarosław, wcześniej Szulc, staje się Rymkiewiczem. Podobnie jak jego rodzice i siostra, a także brat ojca, choć nie jego młodsza siostra, ciotka J.M.R., matka Zofia Szulc CR, przełożona generalna Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstanek. Jeśli chodzi o zmianę nazwiska, to podobno zdecydowała o tym matka przyszłego poety, a wybór nazwiska Rymkiewicz był raczej oczywisty również dlatego, że ojciec J.M.R. – Władysław – już na samym początku swojej działalności pisarskiej tak sygnował swoje utwory, na dobre wkraczając do literatury polskiej w 1929 r. tomem opowiadań „Pan swego życia”, za który otrzymał nagrodę „Wiadomości Literackich”. Jako Władysław Rymkiewicz.

PIEWCA ZAŚCIANKA

Mały Jarek przez krótki czas funkcjonował więc w szkole pod podwójnym nazwiskiem Szulc-Rymkiewicz. Orzekł potem, że zmiana nazwiska „była kwestią przyzwoitości, bo nikt nie chciał wtedy być Niemcem, nazywać się jak Niemiec”. Niemniej wiązało się to z pewnymi problemami, które Rymkiewicz przypomniał po latach w powieści „Umschlagplatz”: „... w latach mojej młodości wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że jestem Żydem i że powinienem się do tego przyznać. Kto nie przyznaje się do tego, że jest Żydem, daje tym samym dowód, że jest Żydem. Nie chciałem się przyznać i nie robiło to dobrego wrażenia”.

A kiedy to Rymkiewicz dobre wrażenie robił?! Gdy stwierdził, że nie ma w nim jednej kropli polskiej krwi, wylała się na niego brudna fala hejtu, w której znów pisano o nim jako o Żydzie i, jednym tchem, ksenofobie oraz polskim nacjonalistom. No cóż, już w połowie lat 90. jego „koleżanka” z Instytutu Badań Literackich, Lidia Burska, pisała, że poeta „niegdyś czujący się dziedzicem kultury śródziemnomorskiej, stał się piewcą zaścianka” i cechuje go „wrogość wobec

innych, fascynacja tylko własną przeszłością”.

A w kwestii antysemityzmu bardzo ważny jest tu dialog Pana Mareczka z Panią Mareczkową z „Rozmów polskich latem roku 1983”, gdzie ten pierwszy powiada: „Czy to ciągle gadanie o naszym antysemityzmie nie wydaje ci się podejrzanym? Przecież sześćdziesiąty ósmy rok chyba ostatecznie wszystko to już wyjaśnił. I jeśli ktoś tego nie rozumie lub nie chce zrozumieć, to znaczy, że jest kretynek albo ma złą wolę. Pewnie, że kiedyś było tu mnóstwo antysemitów. A gdzie ich nie było? Ale jeśli w kraju, w którym nie ma Żydów, w którym Żyda spotyka się na ulicy równie często jak

rodzajem wulkanu, który rozwalił całe dotychczasowe życie, wylała się jakaś ciemna lawa o nieznanej konsystencji i ja w tym wszystkim żyłem. W tym wulkanie. Bardzo wcześnie, nawet w głębokim PRL-u, miałem świadomość, i mam ją do dzisiaj, że gdyby nie przyjsie Niemców, a potem Rosjan, byłbym zupełnie innym człowiekiem. Przede wszystkim moja sytuacja materialna byłaby inna. Pochodziłem z dość zamożnej warszawskiej rodziny i moje dzieciństwo było dobrze zaopatrzone materialnie. Tak samo dobrze zabezpieczona byłaby moja dojrzałość. Moja pozycja społeczna byłaby inna, być może czymś innym

Salon ten wiersz przemilczał lub dał wyraz swojemu głębokiemu zniesmaczeniu, w czym najdalej posunęła się Krystyna Janda, zwierając się, że po lekturze tego utworu poczuła się tak, jakby ktoś ją opluł

Murzyna czy Hindusa, w którym więc antysemityzmu po prostu już być nie może, jeśli w takim kraju nadal jednak istnieje problem antysemityzmu i jeśli o tym, że taki problem tu istnieje, nadal mówi się w Europie, to przecież jest chyba jasne, że to jest sztucznie utrzymywane przy życiu, krótko mówiąc, manipulowane. Komuś zależy na tym, żebyśmy byli antysemitami, a ponieważ antysemitami już być, choćbyśmy i nawet chcieli, nie możemy, ten ktoś stara się, żebyśmy przynajmniej uchodzili za antysemitów, żeby cały świat gardził nami jako narodem obrzydliwych antysemitów. Ktoś chce nam stworzyć problem i chce też, żeby ten nasz problem – jako właśnie nasz wielki problem – był dobrze znany światu. Może dlatego, żebyśmy, mając ten problem naszego antysemityzmu, nie mieli już czasu zajmować się naszymi prawdziwymi problemami i żeby świat, mając nas za antysemitów, nie chciał nic wiedzieć o naszych prawdziwych problemach? Antysemityzm jest wstrętny. Ale to manipulowanie problemem antysemityzmu, ze swej istoty też antysemickie, jest jeszcze wstrętniejsze”.

AVANTI POPOLO, BANDIERA ROSSA

Kiedy rozmawiałem z poetą w 2008 r., powiedział mi: „Wojna była takim

bym się zajmował i pisanie nie byłoby najważniejszą sprawą w moim życiu. Wojna jednak ogołociła moich rodziców, jak całą warszawską inteligencję, ze wszystkiego i pozostawiła tych ogołoczonych ludzi, bezbronnych wobec rosyjskiego najazdu. Jeśli szukać przyczyn akcesu inteligencji polskiej do komunizmu, tego, co za Jackiem Trzmadłem nazywamy »hańbą domową«, to trzeba pamiętać, że byli to ludzie – myślę o pokoleniu moich rodziców – w których życiu zdarzyło się coś niewiarygodnego: będąc w wieku dojrzałym, nagle znów znaleźli się bez niczego na progu życia”.

Joanna Lichocka relacjonuje, jak po wojnie państwo Szulcowie z dziećmi znaleźli się w Łodzi, dokąd ściągnął ich przyjaciel pana Władysława jeszcze ze studiów prawniczych, Jan Lesman, lepiej znany jako Jan Brzechwa. Sławny autor wierszy dla dzieci czytał „Pana Dropsa i jego trupę” Jarkowi i jego starszej siostrze Alinie na strychu domu w Gołkowie koło Piaseczna, w którym rodzina wynajmowała pokój, i tam ukrywający się w pobliskim Zalesiu Brzechwa byłwał częstym gościem. W 1945 r., po „wyzwoleniu”, sławny Jerzy Borejsza zainstalował go w Łodzi, a ten postarał się tam o mieszkanie i pracę dla swych dobrych znajomych.

Dopiero po wojnie Władysław Rymkiewicz został zawodowym literatem, pisującym głównie powieści historyczne dla młodzieży. Funkcjonował nieźle, aktywnie uczestnicząc w życiu środowiska, jego żona Hanna była lekarką, z czasem została ordynatorem, potem dyrektorem szpitala. Oboje wstąpili do PZPR.

Jarek wylądował w szkole TPD-owskiej, od pozostałych różniąc się nieobecnością w programie religii i nasyconiem komunistyczną ideologią. W efekcie sam stał się ZMP-owcem, przywdział zieloną koszulę i biegał po Piotrkowskiej, śpiewając: „Avanti popolo, bandiera rossa / Alla riscossa, Alla riscossa”. Na szczęście, swoje i nasze, niedługo.

A wspominając swoje pierwsze zetknięcie, jeszcze w Gołkowie, z „kościuszkowcami”, żołnierzami Pierwszej Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, Jarosław Marek Rymkiewicz przypomina słowa wypowiedziane wtedy przez ojca na widok orzełków na ich czapkach: „Nie wierz temu, to są Rosjanie, którzy się przebrali za Polaków”.

„– Jasno z tego wynika – wywodził poeta w rozmowie z Joanną Lichocką – że ojciec nie miał pojęcia, co się działo po drugiej stronie, co się działo w Rosji, nie wiedział o formowaniu armii Berlinga. Bo przecież byli to jacyś polscy chłopcy z Rosji, berlingowcy”.

Autorka książki „Rymkiewicz. Genealogia” nie jest, jak powiada, przekonana do tej interpretacji. „Bo mogło być inaczej – czytamy. – Władysław Rymkiewicz mógł chcieć wtedy jakoś przygotować syna na to, co nadchodziło. Powiedział dobitnie, tak by chłopiec zapamiętał i by nie wierzył. Ostrzegł – patrz, to jakieś wielkie kłamstwo z użyciem narodowego sztafazu – to Rosjanie, którzy przebrali się za Polaków”. Może tak było, może nie.

DWA OBLICZA POLSKI

Andrzej Waśko zaakcentował znaczenie cezury, która w twórczości J.M.R. nastąpiła na przełomie lat 70. i 80. „Opublikowanymi w »Zapisie« [w 1979 r.] wierszami – twierdzi – zapowiadającymi wydaną trzy lata później »Ulicę Mandelsztama«, Jarosław Marek Rymkiewicz zmieniał swoją dotychczasową pozycję w literaturze. Wcześniej była ona mocna, ale zbudowana wyłącznie na neoklasycystycznej poezji, sztukach historycznych i scenicznych trawestiach Calderona oraz eseistyce literackiej (na czele ze szczególnie popularną



JOANNA LICHOCKA
„RYMKIEWICZ.
GENEALOGIA”
EVIVA L'ARTE 2021

wówczas książką »Aleksander Fredro jest w złym humorze«). Dorobek ten nie był może pozbawiony ukrytych aspektów krytycznych wobec stanu rzeczy panującego w Polsce, ale w potocznym odczuciu znajdował się na antypodach literatury politycznej czy w jakimkolwiek sposób publicystycznie zaangażowanej. Rymkiewicz po roku 1956, zdeklarowany przez własne manifesty i rozpoznany przez krytykę jako neoklasyk, dystansował się wobec aktualnej rzeczywistości pielęgnowaniem tradycji literackiej, kultem ponadczasowych arcydzieł i re-interpretacją archetypów kultury, czego władza PRL-u nie mogła zakazać. Wręcz przeciwnie – Rymkiewicz jako poeta, reprezentant pokolenia »Współczesności« pod koniec lat 70. mocno funkcjonował w obiegu szkolnym, obok takich nazwisk jak Herbert, Harasymowicz, Szymborska i Grochowiak. Wierszami zebranymi w »Ulicy Mandelsztama« zrywał on jednak z tradycyjnym w literaturze polskiej językiem ezopowym i wkraczał na teren »świata nieprzedstawionego« literatury PRL-u. Robił to jednak w sposób jedyny w swoim rodzaju – odmienny zarówno od programu i oczekiwań głoszących postulat »mówienia wprost« poetów Nowej Fali, jak i od Zbigniewa Herberta, który w roku 1980, powracając z zagranicy do ogarniętego ruchem Solidarności kraju, również zrzucił maskę politycznego niezaangażowania”.

Prawdziwy przełom w twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza dokonał się, rzeczywiście, za sprawą Solidarności. Na marginesie „Rozmów polskich latem roku 1983” zadałem mu takie pytanie:

– W zakończeniu pana książki jest ważne zdanie: „Dobranoc, Polsko. I bardzo cię prosimy, nie męcz nas tak strasznie”. Nie ma pan wrażenia, że choć żyjemy w innym systemie, a zmieniło się niemal wszystko, Polska wciąż nas męczy?

– Ona będzie zawsze męczyć Polaków – odpowiedział – przynajmniej tych, którzy myślą o jej i swoim, pol-

skim losie – inaczej po prostu być nie może. To moje zdanie jest oczywiście trochę ironiczne, bo wprawdzie mówi, że Polska nas męczy, ale my wcale nie chcemy wyrzec się tej męczarni. Chcemy dalej mieć w niej swój udział i wydaje mi się, że dalej go mamy. Z tego punktu widzenia „Rozmowy...” i, także wydane w podziemiu, wiersze z tomu „Ulica Mandelsztama” miały dla nas znaczenie przełomowe. Bo, oczywiście, dla mnie zawsze sprawa polska była niesłychanie ważna, ale dopiero wtedy – w „Rozmowach...” – dziękuję Sowietom i gen. Jaruzelskiemu za to, że dzięki nim staliśmy się mężczyznami – po tym, jak Jaruzelski mi przyłożył, zostałem pisarzem sprawy polskiej. To w tym okresie – mogę powiedzieć – wyrzekłem się wszystkich swoich zarówno lewicowych, jak i prawicowych poglądów, zrozumiałem bowiem, że jedyne poglądy, jakie powinienem mieć, to są poglądy polskie. I tego się trzymam do dziś, niezależnie od tego, że próbuję się czasem gdzieś mnie zaszufadkować, najczęściej do prawicy czy do konserwatystów, ale ja tego nie lubię i nie lubię tak o sobie myśleć. Bo to, co robię, co piszę, jak myślę, służyć ma sprawie polskiej.

Co zatem ktoś taki jak Jarosław Marek Rymkiewicz mógł napisać po katastrofie smoleńskiej, jak nie te słowa:

*I znowu są dwie Polski – są jej dwa oblicza
Jakub Jasiński wstaje z książki Mickiewicza
Polska go nie pytała czy ma chęć umierać
A on wiedział – że tego nie wolno wybierać
Dwie Polski – ta o której wiedzieli prorocy
I ta którą w objęcia bierze car północy
Dwie Polski – jedna chce się podobać na świecie
I ta druga – ta którą wiozą na lawecie
Ta w naszą krew jak w sztandar królewski ubrana
Naszych najświętszych przodków tajemnicza rana.*

Salon ten wiersz przemilczał lub dał wyraz swojemu głębokiemu zniesmaczeniu, w czym najdalej posunęła się Krystyna Janda, zwierając się, że po lekturze tego utworu poczuła się tak, jakby ktoś ją oplotł. No cóż, w wierszu „Do Jarosława Kaczyńskiego” poeta z Milanówka powiedział dokładnie to, co w tamtej chwili powiedzieć powinien poeta sprawy polskiej. Joanna Lichocka szczegółowo przedstawiła nam – zgodnie z tytułem książki – genealogię autora. Czekamy na opowieść o tym, jak stał się wyrazicielem najważniejszych idei, najistotniejszych wartości tożsamości Polaków.



Piotr Gociek

„Wystawieni” – komedia niby o lockdownie, a tak naprawdę ciepła przypowieść o tym, jak bardzo potrzebujemy się nawzajem

Wystawieni” („Staged”) to serial komediowy, ale są w nim chwile, kiedy lęk chwyta nas za gardło. Ot, bohaterowie dowcipkują, przedrzeźniają się, aż nagle jeden przestaje rozmawiać i patrzy w stronę sąsiedniego domu. Patrzy i milczy. Wreszcie zafrasowany mówi, że sąsiadka (mocno starsza osoba), której przynosi zakupy, nie pojawiła się tego dnia przed domem. Poza ekranami komputerów i smartfonów (a głównie na nich rozgrywa się akcja „Wystawionych”) jest przecież prawdziwy świat. Świat pandemii. A kiedy ktoś starszy nagle przestaje się pojawiać, oznaczać to może tylko jedno – koronawirus zabrał kolejną ofiarę.

Brytyjczycy potrafią to robić – wiedzą, że nie ma prawdziwej komedii bez prawdziwego dramatu. Uczyli się w końcu od Szekspira i Dickensa. „Wystawieni”, produkcja telewizji BBC, to serial, który był błyskawiczną odpowiedzią na pandemię i lockdown. Nakręcono go wiosną ubiegłego roku, a premierę miał już 10 czerwca, zatem niewiele ponad trzy miesiące po tym, jak cała Europa rozpoczęła walkę z COVID-19. Sześć odcinków po 22 minuty, skromna obsada i spory sukces, bo widzom i krytykom podobało się tak bardzo, że jesienią nakręcono serię drugą, która miała premierę już w styczniu tego roku. Teraz obydwie serie pokazuje w Polsce Canal+.

Pomysł jest genialny w swej prostocie. Mikroskopijna obsada i kilka ekranów. Obiecujący, zdolny, acz bardzo niepewny własnej wartości reżyser teatralny Simon Evans próbuje uratować przedsięwzięcie zdmuchnięte przez lockdown. Miał w jednym z londyńskich teatrów wystawiać „Sześć postaci w poszukiwaniu autora” Luigi Pirandella. Z powodu pandemii premiery nie będzie, nici ze sławy i z pieniędzy, a Simon akurat jest bez grosza przy duszy i waletuje u swojej siostry. Pojawia się jednak pomysł, by rzecz kontynuować – można przecież

prowadzić próby on-line. Wszyscy i tak siedzą zamknięci w domach. A kiedy narodowa kwarantanna się skończy, reżyser i jego aktorzy będą gotowi do wejścia na deski teatru.

MIESZANIE WARSTW FIKCJI

Simon Evans to prawdziwe imię i nazwisko twórcy serialu i autora scenariusza, który zaprosił do współpracy Davida Tennanta i Michaela Sheena. Wszyscy występują tu jako oni sami w mocno podkreślonej, zabawnej wersji. Szybko okazuje się, że nie jest to najlepiej dobrana para. Panowie niby się lubią i cenią, a w rzeczywistości nieustannie podszcypują, są próżni, zazdrośni, leniwi, zaś nieszczęsny reżyser ma z nimi skarcanie boskie.

„Wystawieni” to nie jest jednak opowieść o fikcji w fikcji, bo sam dramat Pirandella odgrywa rolę czysto instrumentalną (choć wybór akurat tej sztuki dodaje całości kolejną warstwę „meta”, wszak u włoskiego pisarza bohaterowie toczyli spór na temat tego, czy są postaciami fikcyjnymi, czy prawdziwymi). Wokół Tennanta i Sheena mamy także ich rodziny. Żony obu panów okazują się o wiele lepiej przystosowane do życia w zamknięciu, może dlatego, że mają co robić, kiedy ich mężowie

pozują na artystów. Panie tymczasem mają własną zdalną pracę, zajmują się dziećmi, ogarniają dom, pomagają swoim przyjaciółkom znajdującym się w trudniejszej sytuacji. Szczерze – mamy prawo się zastanawiać, jak tak fajne kobitki wytrzymują w ogóle z takimi patafianami jak ekranowy Tennant i ekranowy Sheen. Zwłaszcza że ten pierwszy wciąż wymiguje się od domowych obowiązków, a ten drugi mocno popija. Silnych kobiet jest tu więcej – siostra reżysera czy agentka organizująca całe przedsięwzięcie. No i w ostatnim odcinku pierwszej serii wspaniały gościnny popis Judi Dench, która stawia wszystkich do pionu.

W drugiej serii „Wystawionych” metafikcja staje się jeszcze bardziej meta. Po kolei zatem: mamy serial, który pokazuje prawdziwych aktorów jako fikcyjne wersje samych siebie. Owe fikcyjne wersje pracują nad sztuką, w której postaci zadają sobie pytanie o własną realność. A teraz uwaga, dochodzi kolejna warstwa: okazuje się, że między pierwszym a drugim sezonem serialu bohaterowie nakręcili serial „Wystawieni” o aktorach zamkniętych w domach i próbujących Pirandella. W dodatku dostają propozycję, by zaadaptować ten tekst na potrzeby nowej, amerykańskiej wersji.



okienka

Wszystko to jest wielce zabawne, świetnie napisane i perfekcyjnie zagrane, choć zrozumieć, jeśli znajdują się malkontenci. Nie każdemu muszą odpowiadać ten dyskretny humor i mieszanie warstw fikcji, części widzów może się to wszystko wydać nieco nudne. Podpowiem: warto czekać na gościnne występy takich sław jak Samuel L. Jackson, Michael Palin czy Cate Blanchett. Ja byłem kupiony od pierwszego odcinka i w związku z tym obwieszczam pierwszą udaną produkcję czasów pandemii na temat pandemii. A prób było sporo. I filmowych, i telewizyjnych.

TEN SERIAL MA SERCE

„Niech pan zrobi cokolwiek – mówił w pewnym żarcie rysunkowym Andrzej Mleczki facet z kamerą. – A ja to uchwycę na gorąco”. Na początku pandemii kablówy gigant HBO zgodnie z tą zasadą uruchomił projekt „W domu” – zaproszeni do współpracy filmowcy z Polski, Finlandii czy Hiszpanii, siedząc na kwarantannie, mieli nakręcić krótkie filmy na temat nadzwyczajnej sytuacji, w której znalazł się świat, oni sami i ich bliscy. Gdyż – jak wiadomo – gdy coś ważnego dzieje się ze światem, artyści natychmiast mają na ten temat coś ważnego do powiedzenia. Guzik prawda, artyści nie mieli do powiedzenia nic. Pojedynczymi

chlubnymi wyjątkami okazały się takie tuż jak Jerzy Skolimowski czy Paweł Łoziński. Reszta ograniczyła się do pretensjonalnych, pustych, autotematycznych jojceń. Ale byłoby cudnie, gdyby jakiś polski Simon Evans wyszydził tę pustkę w komediowym serialu!

Próby filmowe też zawodziły. Mieliśmy dziwaczne połączenie kryminału z kinem obyczajowym w filmie Douga Limana „Skazani na siebie” („Locked Down”) z Anne Hathaway i Chiwetelem Ejioforem. Był fatalny dystopijny thriller Adama Masona „Songbird. Rozdzieleni”. Był „antyrasistowski” thriller Mostafy Keshvariego „Corona” o ludziach zamkniętych w windzie, przy czym jeden z zamkniętych podejrzany jest o nosicielstwo koronawirusa. Nakręcono sporo dokumentów.

Na tym tle „Wystawieni” wyróżniają się nie tylko humorem i błyskotliwym wykonaniem. Ten serial ma serce, a uciekając niby w świat fikcji wewnątrz fikcji, dotyka emocji bardzo prawdziwych i bardzo powszechnych. Bohaterowie są bufonami, a zamknięcie sprawia, że ich wszelkie wady

widac lepiej. A jednocześnie trudno nie wchodzić w ich skórę, kiedy zastanawiają się, za czym najbardziej tęsknią w zamknięciu, zaczynają doceniać najbliższych i zarazem wystraszeni patrzą na pusty świat wokół. Sceny dialogowe są tu nieustannie zderzane z obrazami Londynu i całej Wielkiej Brytanii w ścisłym lockdownie – naprawdę robi to wrażenie.

KRUCHE Z NAS ISTOTY

Nie chcę być teraz źle zrozumiany, bo właśnie ciśnie mi się pod pióro zdanie, że „Wystawieni” przywracają pandemii właściwe proporcje. Nie chodzi o to, że lekceważę setki tysięcy ofiar i cierpienie milionów zakażonych. Jak świat długi i szeroki cierpimy z powodu śmierci bliskich, modlimy się za chorych, podziwiamy lekarzy i pielęgniarki, współczujemy tym, którzy właśnie przechodzą ciężkie próby. A jednak w szerszej skali pandemii koronawirusa to wydarzenie dużo mniej katastrofalne nie tylko od wielkich wojen, lecz także innych, wcześniejszych epidemii. Żyjemy nią intensywnie, bo dzieje się tu i teraz, bo jesteśmy nią dotknięci, bo wszystko zintensyfikowane zostało przez szkło powiększające współczesnych mediów – w tym mediów społecznościowych.

W ostatecznym rozrachunku serial Simona Evansa przypomina nam, jak zabawni jesteśmy w swoich zuchwałych próbach ogarnięcia wszystkiego, jak kruche z nas istoty, jak desperacko szukamy pocieszenia, jak bardzo potrzeba nam innych do tego, by po prostu żyć. Lubimy śmiać się z bogatych i ze sławnych, serial „Wystawieni” żeruje na tej potrzebie, ale trudno nie zauważyć, że zamknięci w domach sami zostaliśmy aktorami w przedstawieniu na scenie eksperymentalnej. A wrażenie to zostało jeszcze spotęgowane zredukowaniem komunikacji międzyludzkiej do pogaduszek na Skypie, do nużących konferencji na Zoomie. Jedno z najcelniejszych zdań w „Wystawionych” pada wtedy, gdy jeden z bohaterów pyta drugiego, o czym rozmawia ze znajomymi w czasie narodowej kwarantanny. „Czuję się tym wszystkim przytłoczony – odpowiada Tennant. – I szukam dowodów na to, że inni też są przytłoczeni”.



★★★★★
REŻ. SIMON EVANS
„WYSTAWIENI”
(„STAGED”)
WIELKA BRYTANIA
2020–2021

wyst. David Tennant,
Martin Sheen,
Simon Evans



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Słuchaj ojca swego



★★★★★
REŻ. RICKY STAUB
„KOWBOJ NA BETONOWEJ PRERII” („CONCRETE COWBOY”)
USA 2020

wyst. Idris Elba,
 Lorraine Toussaint,
 Caleb McLaughlin

Krnąbrny i wpadający nieustannie w kłopoty nastolatek Cole (Caleb McLaughlin) trafia za karę pod opiekę dawnego niewidzianego ojca (Idris Elba). Ten ostatni jest podporą przedziwnej społeczności czarnoskórych kowbojów z Filadelfii. Mimo że mamy wiek XXI, w metropolii wciąż znaleźć można stajnie i konie oraz opiekujących się nimi zapaleńców, ludzi ubogich, ale dumnych z tego, co robią. Na ekranie w rolach pobocznych pojawiają się zresztą członkowie prawdziwego Fletcher Street Urban Riding Club i dodają autentyczności tej nietypowej historii.

Historia zaś jest nietypowa przede wszystkim dlatego, że zrywa

ze stereotypem, wedle którego to biali odpowiadają za każde zło, które dotyka afroamerykańską mniejszość. Mamy tu przesłanie mocno konserwatywne: spójrzcie najpierw na swoje rozbite rodziny, na synów wychowujących się bez ojców, na ich kumpli handlujących narkotykami, na kult nicnierobienia. Recepta na uniknięcie więzienia albo przedwczesnej śmierci jest prosta: szanuj starszych, ciężko pracuj, pamiętaj o rodzinie, znajdź dumę w tym, co robisz. Na szacunek i zaufanie trzeba sobie zasłużyć. I tak dalej.

W czasach radykalizmu BLM okazuje się, że taki umiarkowany punkt widzenia oraz zdecydowanie konserwatywne przesłanie

to za mało dla rewolucjonistów obalających pomniki i przekształcających Oscary w sowieckie wiece potępiające kapitalistów i białych okupantów. „Kowboj na betonowej prerii” ma więc w serwisach zbierających opinie widzów średnią ocen niższą niż wychwalający terroryzm Czarnych Panter „Judasz i czarny mesjasz” i podobną do „Billie Holiday”, która jest filmem słabiutkim. Ale słusznym.

Film Ricky’ego Stauba nie jest wolny od wad: fabuła jest przewidywalna, choć niektóre jej zakręty są mało prawdopodobne. Trudno jednak nie chwalić młodego Caleba McLaughlina za świetną rolę Cole’a, Idris Elba także daje radę. Pewnym zaskoczeniem jest Method Man (niegdyś podpora hiphopowej formacji Wu-Tang Clan) jako policjant wywodzący się zresztą ze społeczności czarnych kowbojów. W centrum opowieści jest relacja między ojcem a synem, kilka scen naprawdę chwytą za gardło. Przesłanie jest jasne: naprawdę świata trzeba zacząć od naprawy rodziny. Rzadkie przesłanie w czasach, kiedy afroamerykańskie kino coraz częściej wzywa do wojny rasowej. ©©



NOWE SERIALE: „WYBRZEŻE MOSKITÓW”

Opowieść o rozczarowanym cywilizacją wynalazcy i jego ucieczce (z rodziną) w dzicz na podstawie powieści Paula Theroux. Raz już widzieliśmy tę historię: w 1986 r. w filmie Petera Weira wystąpili Harrison Ford i Helen Mirren. Nowa wersja jest dziełem Neila Crossa („Luther”), w roli głównej zaś występuje Justin Theroux, bratanek pisarza.

Ten ostatni zachwala nową produkcję jako wierną adaptację, wydaje się jednak, że jest to wierność osiągnięta kosztem atrakcyjności. Siedmioodcinkowy serial jest nieco za długi, a dbałość o detale osłabia przesłanie całości. ©©

• twórca: Neil Cross „Wybrzeże moskitów” („The Mosquito Coast”), USA 2021

Apple TV+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Matt Bettinelli-Olpin, Tyler Gillett „Zabawa w pochowanego” („Ready or Not”), USA 2019 **CINEMAX**
- reż. Derek Wayne Johnson „Rocky: 40 lat legendy” („40 Years of Rocky”), USA 2020, dokumentalny **HBO GO**
- reż. Peter Cattaneo „Pojedynek na głosy” („Military Wives”), UK 2019 **CANAL+**

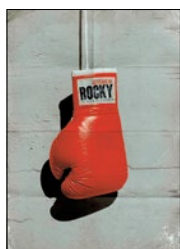
Mocne uderzenie



Kto by pomyślał, że tak skończy się ten odwieczny pojedynek? Arnold Schwarzenegger leży na deskach i daje słabe oznaki życia. Sylvester Stallone wciąż jest w grze. A zawdzięcza to roli poczwiergo gladiatora z Filadelfii. Osiem filmów, w których

Rocky Balboa pojawił się jako zawodnik i coach (może będą następne?), uniemożliwiło zarówno jego, jak i aktora, któremu nikt przytomny nie wieścił długiej kariery. Bonusem jest dokument poświęcony narodzinom legendy Włoskiego Ogiera. Stallone monologuje na tle zdjęć z planu, próbnych i scen, które z różnych względów wyłączały w koszu. „Byłem stworzony do tej roli” – mówi nieskromnie.

Ujawnia, że „Rocky” wcale nie jest opowieścią o boksie, ale klasyczną love story. Pisząc scenariusz, był zaś święcie przekonany, że pięściarze to wrażliwi ludzie. Okazało się, że budżetową nędzę i brak doświadczenia można zastąpić zaangażowaniem. Co prawda,



★★★★★

REŻ. DEREK WAYNE-JOHNSON
„ROCKY: 40 LAT LEGENDY”
 („40 YEARS OF ROCKY”)

wyst. Sylvester Stallone,
Carl Weathers,
Talia Shire

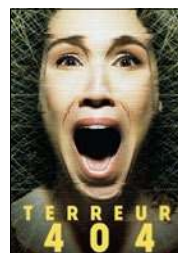
na planie dochodziło do nieudawanych nokautów, zaś charakterystor trochę przesadził i w finałowych scenach twarz bohatera przypominała świeży befsztyk, ale warto było pocierpieć. Premiera filmu odbyła się w kinie, w którym Sły trzy lata wcześniej pracował jako bileter. Za chwilę miał zostać gwiazdą, milionerem i laureatem Oscara. Zawsze podejrzewałem, że Kopciuszek w rzeczywistości był mężczyzną. ©©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SELFIE Z UMARLAKIEM



★★★★★
„TERROR 404”
 („TERREUR 404”)
 KANADA 2017

wyst. Sandrine Bisson, Jean-François Blanchard, Catherine Brunet

Kiedy robi się ciepło, do łask wracają horrory – niezawodne zwiastuny kanikuły. Kłopot w tym, że w większości strasznych produkcji pomysły kończą się najpóźniej po kwadransie, zaś naukowcy odkryli, że młodzież wychowana ze smartfonem w garści i laptopem na kolanach ma problemy z koncentracją.

Uwzględniając owe prawidłowości, francuskojęzyczni producenci z Kanady zamówili serię przerażających, ale bardzo krótkich filmów. Niektóre nie trwają nawet 10 minut (licząc z napisami końcowymi). Bohaterowie prowokują los. Instalują w telefonach spirytystyczną aplikację „Marie Noire”, lekceważą egzotyczne kultury, zaglądają na pornograficzne portale, podróżują bocznymi drogami. Kuszeniem licha jest również lansowanie się w sieci, wsiadanie do dziwnie wyglądających taksówek, tudzież pozowanie do selfie'ów z umarłym. Podsumowując: świat to miejsce pełne pułapek, a życie często kończy się śmiercią.

ŁUNA NA NIEBIE



★★★★★
REŻ. VIC ROMAN WAUGH
„GREENLAND”
 USA 2020

wyst. Gerard Butler, Morena Baccarin,
Roger Dale Floyd

Zdaje się, że COVID-19 nie wykończył ludzkości, więc można powrócić do tradycyjnych strachów i wyobrazić sobie skutki zderzenia Ziemi z kometą. Zła wiadomość: po Europie w takim wypadku zostanie tylko wspomnienie. Na szczęście amerykańska rodzina sobie poradzi, nawet jeśli okoliczności ją rozdzieli.

Tak to jest, gdy kino rodzinne podsywa się pod katastroficzne. W „Greenland” budowlaniec John i jego bliscy zostaną poddani wielu testom sprawnościowym, gdyż nie wystarczy znaleźć się na liście wybranych, którym przysługuje miejsce w superschronie. Trzeba jeszcze do niego dotrzeć. W godzinie próby niektórzy jankesi okażą się egoistami, „lecz ludzi dobrej woli jest więcej”. Fabuła bazuje na schematach. Jeśli na dzień dobry ktoś wyciska z siebie siódme poty na elektrycznej bieżni, to wiadomo, że wcześniej czy później będzie musiał wykazać się znakomitą kondycją. Biegnij, Allison, biegnij! ©©

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „RESIDENT EVIL VILLAGE”

Ethan Winters i jego żona Mia po koszmarze, który (ledwie) przeżyli na farmie Bakerów, szukają bezpiecznego schronienia w Europie Wschodniej. Ale spokojne i długie życie nie jest im pisane. Sielanka kończy się już w pierwszych minutach rozgrywki w „Village”, a później zaczynają się poszukiwania

uprowadzonej córki Wintersów i dramatyczna walka o przetrwanie w opanowanej przez zło wiosce. Czego się ostatnio Capcom tknie, zamienia to w złoto, a „Village” jest kolejnym potwierdzeniem znakomitej formy japońskiego studia. Szkoda, że polski rynek tym razem został potraktowany



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

peryferyjnie i gra pozbawiona jest napisów w naszym języku. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** Akcja, TPP
- **Platforma:** PC, XONE, XSX, PS4, PS5
- **Producent, dystrybutor PL:** Capcom, Cenega

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zapiski panny Czaczkes

Szósty tom „Dzienników” Agnieszki Osieckiej zamyka tę niezwykłą edycję, rzadko bowiem się zdarza, by publikowano zapiski nastoletnich autorów; zapiski z naturalnych powodów w dużej mierze infantylne, egzaltowane, nie za mądre. A nawet niekoniecznie szczere, jak dzienniki te po latach oceniała sama autorka. Czegóż jednak wymagać od diarystki, która uznała, że powinna zapisywać swoje życie w wieku 13 lat?

W kolejnych tomach widzieliśmy jednak, jak autorka „Dzienników” dojrzewa, zmienia się ta osobista proza, gęstnieje, nabiera rumieńców i głębszego sensu. Aż dochodzi do okresu popaździernikowego i, chyba najważniejszego, roku 1970, gdy Osiecka powróciła do prowadzenia dziennika, poniechanego 12 lat wcześniej. Charakterystyczne, że uczyniła to w trakcie dłuższego pobytu w Anglii, a potem na Balearach. Z dała lepiej widać? Być może.

Agata Passent, córka pisarki, w krótkim wstępie poprzedzającym ostatni tom „Dzienników” zauważa, jak w opisywanym przez matkę czasie rzuca się ona – niemal jednocześnie – w teatr i film, przyjaźń i koleżeństwo, arystokrację, podróże, miłość i samotność. „Czytając – powiada – trudno zliczyć role, w których postanowiła się sprawdzić. Jej tempo i ambicja powodują u czytelnika poczucie utraty tchu”.

O swoich kolegach, pisarzach i artystach wyrażała się Agnieszka Osiecka z podziwem, ale i nie szczędziła im, jakże często należnych, złośliwości. Opowiada np., jak latem 1955 r., po powrocie z ukochanego Kraju Rad, pijany Wiktor Woroszyński „bełkotał jakieś niedorzeczności, mówił coś o samobójstwie i powiedział wreszcie: »Nigdy nie



FOT. MAC

przypuszczałem, że będę musiał nienawidzić Stalina«”. Albo taka krótka charakterystyka Ireneusza Iredyńskiego: „Kretyn, który świadomie stosuje własną paranoidalność”. Czy prezentacja relacji między Witoldem Dąbrowskim a Grzegorzem Lasotą: „Witold, i nie tylko on zresztą, twierdził, że Grzegorz miał splamione ręce jakimiś ubowskimi machlojkami. Ale przecież Witold był na tej samej drodze.

Grzegorz »kończył« odchylających się »od linii« pisarzy. Witold robiłby to samo, gdyby tylko mógł.

Nie pojmowałam istoty konfliktu między nimi. Zaczęli sobie robić drobne świństwa, przemówili się ostro na zebraniu partyjnym w związku.

Grzegorz czuł się podłe. Dużo pił. Szukał i nie mógł znaleźć dziewczyny.

Witold nazywał go szmatą i pijanego, płaczącego wyrzucał w nocy od siebie z pokoju.

Witold był z siebie dumny, chronił w ten sposób swojej czystości [!]. W moich oczach wyglądało to na podłość”.

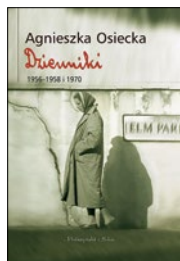
Oddzielny zeszyt zatytułowany „Kikimora” został wypełniony w ciągu niecałego miesiąca w 1958 r., a ma on swojego jednego bohatera – Jerzego Gie-

droycia. To bardzo ważna i piękna część „Dziennika”. Podobnie jak późniejsze, powracające nawet z pewnym natręctwem wspomnienia o Marku Hłasce. Trudno się zgodzić z Agatą Passent, która po lekturze zapisków rodzicielki doszła do wniosku, że „więcej miejsca poświęca ocenie prozy i nieudanych według niej (i Marka!) filmów Forda i Hasa niż »herzklekotom« wokół ich romansu. Miejscami miałam wrażenie, że w Marku Hłasce najbardziej Agnieszce podoba się mama, pani Maria Hłasko”. No nie.

„Oboje graliśmy w jakimś spektaklu, ale chyba nie w tym samym. Agnieszka i Marek, Marek i Agnieszka – coś nam w tym pięknie pachniało, ale co – Bóg raczy wiedzieć. Jakież symbole?

Ja byłam dla niego panna Czaczkes, komiczna trochę niewinność (»Ty zawsze masz czarną aksamitkę na szyi, nawet kiedy jesteś nago«), panienska z dobrego domu, śmiesznota z »Bluszczu«, flirt z dziewiętnastym wiekiem. (Wcale taka nie byłam, ale w takiej roli mnie obsadził w swojej sztuce). Potrzeba mu było prostych symboli: ołtarzyków, kwiecia polnego, psów – ot, takich pocziwości – żeby je kontrastować z czarnym gnojem, który opisywał, z tymi krzywdami, które sobie ludzie u niego robią, z tą biedą powszedniego dnia, z tą plugawą nudą, która chwyta i dusi jego niedopitych bohaterów.

A dla mnie – to był proletariacki książę z bajki, syberyjski kowboj, wielki pisarz, legenda na dwóch łapach. Ktoś, kto był inny niż wszyscy [...]”. I nieprzypadkowo to, z czego czyniono zarzut Hłasce, że na emigracji niczego nie dokonał i właściwie zdeklasaował się, postrzega jako atut. W końcu to on pozostał wierny sobie, Agnieszce, swojemu pokoleniu. Było za co go kochać. ©©



★★★★★

AGNIESZKA
OSIECKA„DZIENNIKI
1956–1958 I 1970”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Droga krzyża

Uczyłem się historii Polski z książek prof. Wojciecha Roszkowskiego, nie wiedząc, że to on, bo mieliśmy podziemne wydania opatrzone pseudonimem Andrzej Albert. Była odtrutka na kłamstwa i przemilczenia z oficjalnych, PRL-owskich podręczników. Cztery dekady później prof. Roszkowski znowu musi odkłamywać historię – tym razem nie kłamstwa komunistów, lecz tzw. europejskiego mainstreamu. W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” profesor gorzko wytyka, jak to uczeni przygotowujący program Domu Historii Europy w Brukseli napisali, że „chrześcijaństwo powstało w IV wieku z połączenia tradycji judaistycznej z organizacją kościelną”.

„Świętości, upadki i nawrócenia” to pierwszy tom „Historii chrześcijaństwa”. Warto kibicować temu przedsięwzięciu, tak jak kibicujemy „Dziom Polski” prof. Andrzeja Nowaka, a kiedyś kibicowaliśmy serii „Malarstwo białego człowieka” Waldemara Łysiaka. Takie właśnie przedsięwzięcia zostają na półkach długo po tym, jak rzeka czasu wypłucze szlam literatury niepotrzebnej, głupiej, niekoniecznej.

Historia chrześcijaństwa zaczynać się musi od krzyża – zwróćmy uwagę na gorącą obronę tego symbolu piórem Roszkowskiego, symbolu tak poni-

żanego, którego znaczenie jakże często tłumaczy się opacznie. Od wyjścia apostołów w świat, przez Rzym Dioklecjana, zmierzch antyku, schizmę wschodnią aż do upadku Konstantynopola prowadzi autor wywód jasny, emocjonujący, wspaniale ilustrowany (głównie reprodukcje znakomitych dzieł sztuki o tematyce religijnej).

Roszkowski nie udaje, że temat jest mu obojętny. „Czy człowiek nie ma prawa napisać tej historii, próbując godzić warsztat historyka z wiarą?” – pyta retorycznie profesor w cytowanym już wcześniej wywiadzie. Czas uświadomić sobie hipokryzję współczesną: gdy do wiary w Boga przyznają się fizycy i astronomowie, wskazywane jest to jako cenne połączenie tego, co duchowe, i tego, co materialne, policzalne. Dlaczegoż zatem mielibyśmy odmawiać tego samego historykom, socjologom, psychologom?

Głośno było w ostatnich latach o dwóch książkach Roszkowskiego: „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej” oraz „Bunt barbarzyńców”. Stawiały cenną i celną, choć gorzką diagnozę współczesnego stanu rzeczy. „Historia chrześcijaństwa” przypomina, jak ważna była droga, którą współczesność tak lekko porzuciła. Niezbędna to lektura i dla wierzących, i dla niewierzących. ©©

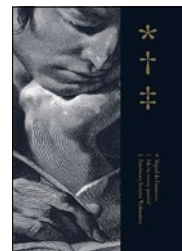


★★★★★

WOJCIECH ROSZKOWSKI
„HISTORIA CHRZEŚCIJAŃSTWA”, TOM 1
BIAŁY KRUK 2021

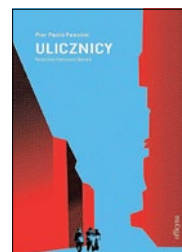
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

To nie poradnik ani esej krytyczny. Autor napisał „powieść, w której zwierza się ze swoich chęci napisania powieści o tworzeniu powieści”. Intrygujące dzieło hiszpańskiego pisarza, autora „Mgły” i „O poczuciu tragiczności”.



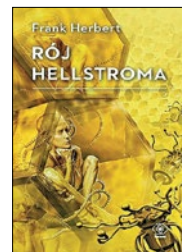
MIGUEL DE UNAMUNO
„JAK SIĘ TWORZY POWIEŚĆ”
PIW

Debiutancka powieść znanego reżysera. Realistyczna brutalna proza o nastoletnich wyrzutkach z lumpenproletariatu. Bardziej dokument o życiu w Rzymie połowy XX w. niż w pełni udane dzieło artystyczne. Ale ma moc.



PIER PAOLO PASOLINI
„ULICZNIKY”
OFFICyna

Po raz pierwszy po polsku jedna z mniej znanych powieści autora „Diuny”. Conspiracy thriller SF. Rzecz o ludziach, którzy walczą z opresyjną władzą, tworząc nową strukturę wzorowaną na działaniu owadzych rojów.



FRANK HERBERT
„RÓJ HELLSTROMA”
REBIS

Pierwszy tom opowiadań o dżentelmenie włamywaczu, ikonicznej postaci francuskiej kultury. Dziesięć zaskakujących, świetnie napisanych historii, w nowym przekładzie i twardej oprawie. Klasyka, której warto dać drugie życie.



MAURICE LEBLANC
„ARSENE LUPIN. DŻENTELMEN WŁAMYWACZ”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „YANS”

Zbiornicze wydanie czterech pierwszych tomów serii science fiction wymyślonej przez André-Paula Duchâteau, a rysowanej przez Grzegorza Rosińskiego (później przez Zbigniewa Kasprzaka). Główny bohater to specjalny agent czasoprzestrzenny (bez wątplenia nieco wzorowany na Valerianie), ofiara knoowań bezlitosnych władców totalitarnego Miasta przyszłości. Jeśli chodzi o scenariusz, to już w czasach



GRZEGORZ ROSIŃSKI
„YANS. TOM 1”
EGMONT 2021

jego powstawania (początek lat 80.) trącił myślą, za to graficzna robota Rosińskiego jest wysmienita, choć miejscami mocno inspirowana przez dzieła Jeana Girauda, słynnego Moebiusa. ©©

poleca Piotr Gociek

Za albumem „Za bytności zarazy”, który zdobył właśnie wyróżnienie specjalne w konkursie Fonogram Źródeł za 2020 r., stoi wiele lat pracy i wiele więcej lat tradycji. A nade wszystko pasja Bartosza Gałązki, folklorysty, nauczyciela i niezmordowanego poszukiwacza, który od końca lat 90. odwiedza najstarszych mieszkańców podkarpackich wiosek, nagrywa pieśni, piosenki i przyspiewki, które przetrwały w pamięci tych ludzi, i w ten sposób ratuje tradycyjny repertuar od zapomnienia. – To wygląda tak: w każdej miejscowości poszukuję osób, które są miejscowymi „kronikarzami pieśni”, które pamiętają, jak śpiewano przed laty, i które same bardzo lubią śpiewać. Trafiam do nich dzięki życzliwości mieszkańców, którzy wskazują drogę, mówiąc, do kogo powinienem się udać – mówił w rozmowie z portalem Krosno24.pl.



Bartosz Gałązka
FOT. TADEUSZ POŹNIAK / VIP BIZNES & STYL

Pieśni czasu trwogi

Bywa, że docierający do tych ludzi Bartosz Gałązka jest jednym z niewielu, jeśli nie jedynym, który chce ich wysłuchać. Wspomnianemu wyżej portalowi relacjonował

jedno z takich spotkań: – Pewna starsza kobieta, wybitna śpiewaczka, nuciła mi pieśni po cichutku, bo nie chciała, żeby syn usłyszał, że śpiewa. Zawsze robił jej o to awantury.

Nagrałem wtedy mnóstwo pieśni, a moja rozmówczyni była wzruszona sytuacją i szczęśliwa, że przetrwają one dzięki nagraniom – mówił Gałązka.

Album „Za bytności zarazy” (w wykonaniu artystów związanych ze Stowarzyszeniem „Muzyka Dawna w Jarosławiu” i Etnocentrum Ziemi Krośnieńskiej) to efekt badań terenowych prowadzonych przez Bartosza Gałązkę w latach 1998–2018 na Podkarpaciu, w Małopolsce i na Lubelszczyźnie. Licząca 21 pozycji lista utworów to zbiór polskich pieśni religijnych z XIX w. i wcześniejszych wieków przeciw zarazie, śpiewanych w czasach zarazy. Przetrwały do dziś w ludowych wariantach, przekazywane z pokolenia na pokolenie wraz ze wspomnieniem czasów, kiedy ludzie się do nich uciekali, i z myślą o czasach, gdy... znów będą potrzebne. ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Jubileusz z przyjaciółmi

Jego po prostu się lubi. Telewizjowcy pokochali go jako Kacpra Złotopolskiego i jako jurora programu „Voice of Poland”. Piasek właśnie skończył 50 lat, z czego prawie 30 spędził na scenie.

Jubileusz jest świetną okazją do podsumowań i projektów specjalnych. Do współpracy przy 13. albumie solowym (nagrał również trzy płyty z zespołem Mafia) wokalista zaprosił przyjaciół: Kayah, Mroza, Adama Sztabę, Jareckiego, Kubę Badacha, Paulinę Przybysz, Michała „Foxa” Króla, Majkę Jeżowską i Tomasza Organka.

Płytę otwiera piosenka „Przedostatni”, w której Piasek pokazuje rogi i zamiast jak zwykle śpiewać o uczuciach, buntuje się

„przeciw wszystkim coraz bardziej ograniczającym naszą wolność”. Taneczny protest song, w którym Andrzej jest wzburzony, ale głosu nie podnosi. Potem jest miło, jak to na urodzinach, choć tym razem Andrzej znacznie więcej śpiewa o sobie („Miłość”). Muzycznie płyta nie odkrywa nowych lądów. Zaprasza zaś w nostalgiczną podróż do ery disco, choć Piasek „nie leci” beegoesowymi falsetami. Nie ma potrzeby, bo kochany jest za głos, który z każdą sylabą uśmiecha się do nas z głośników. Inna sprawa, że album raczej nie przyniesie przeboju na miarę „Chodź, przytul, przebac”.
A co przyniesie drugie pół?
Jest moc, wierzę w to, mówię ci, że jest Z obu schodów stron, to wiem Mam najpiękniejszy dzień. ©



★★★★★
ANDRZEJ
PIASECZNY
„50/50”
MYSTIC



★★★★★
LISA GERRARD &
JULES MAXWELL
„BURN”
SCHUBERT

Siedem emocjonalnych, pełnych dźwiękowego patosu kompozycji obrazujących piękno żyjącego świata. Fortepian, cymbały, smyczki, wystawna elektronika tworzą filmowy klimat. Śpiew Lisy Gerrard obrazuje napięcie między ciałem, duchem i tym, co wieczne.



★★★★★
BŁOTO
„KWASY I ZASADY”
ASTIGMATIC

Kwartet jazzowy opowiada na trzecim, w ciągu 12 miesięcy, albumie o żrących relacjach międzyludzkich. Płytę dokumentującą koncertową domówkę dla Programu 2 PR nagrano na magnetofonie stereofonicznym. Kunsztowna improwizacja z niewymuszonym efektem świeżości. ©

Po zgonie Bronisława Cieślaka, znanego przede wszystkim jako odtwórca roli porucznika Borewicza w serialu „07 zgłoś się”, na poszczególnych kanałach TVP zaroilo się od odcinków tegoż tasemca, który wykreował postać – jak dowiedzieliśmy się z telewizyjnej anteny – „polskiego Jamesa Bonda”. Z Borewicza był taki Bond jak z milicji policja, a z PRL Rzeczpospolita. Już w pierwszym odcinku serialu bohater – który do pałacu Mostowskich trafił rzekomo prosto z Anglii, gdzie w ambasadzie zajmować się miał handlem zagranicznym – opowiada, że jego ojciec zginął w 1946 r. z rąk „młodych ludzi”. Nie pada wprawdzie sformułowanie „żołnierze wyklęci”, w latach gierkowskich, gdy telewizyjny Borewicz powstał, jeszcze niespopularyzowane, ale podejrzewać można, że nowoczesny i nieużywający komunistycznej nowomowy, za to old spice’a owszem, oficer MO jest synem jednego z utrwalaczy władzy ludowej. Kilka odcinków później okazuje się, że ojciec był jednak działaczem PPS, nie PPR, tyle że wykładowcą prawa karnego dla milicjantów. Ortodoksyjną komunistką była natomiast babka uganiającego się za panienkami i mimochodem, przestępcami rodzimego Bonda.

Nie da się ukryć, że dekomunizacja w naszym kraju, jeśli takowa w ogóle miała miejsce, w najmniejszym stopniu nie dotknęła areopagu PRL-owskich herosów z Hansem Klossem i właśnie Sławomirem Borewiczem na czele (o redaktorze Maju nie zapominając).

A skoro o odejściach z tego świata mowa, to powrócę jeszcze do postaci Krzysztofa Krawczyka, po którym żałoba, zda się, nie ma końca, choć chyba nie najlepiej jej służą spory osób mniej lub bardziej



Bronisław Cieślak znany był przede wszystkim jako odtwórca roli porucznika Borewicza w serialu „07 zgłoś się” FOT. TVP



Krzysztof Masłoń

Niebo i ziemia

bliskich zmarłemu piosenkarzowi.

Na przykład na drugiej płycie Trubadurów zaśpiewał nie tylko swoim niepowtarzalnym głosem, w konwencji znanej z „Byłaś tu” czy „Kim jesteś”, kawałek zatytułowany „Tobie i mnie”, lecz także absolutny koszmarek, jakim była „Ballada o dziewczynie” z upiornym tekstem wyprodukowanym przez pisującą pod pseudonimem Marta Bellan spółkę Zbigniew Adrjański i Zbigniew Kaszkur. Brzmiało to tak:

***Piękna Mary dziewczyna blond
Benzynowych stacji miss
Znała chłopca imieniem John
Który mężem jej miał być.***

John niestety rozbił się na drodze do Santa Fe, 10 mil od stacji, gdzie czekała na niego piękna Mary. A żeby rzecz całą, skomponowaną przez pąkera Trubadurów Mariana Lichtmana jeszcze bardziej uduktować, rozpoczynała ją parlando. Absolutnie niepowtarzalne.

Zespół w swoim repertuarze miał i inne szkaradzieństwa, także usilnie lansowane muzyczne dowody przyjaźni polsko-sowieckiej, jak „Luba, Luboczka” czy „Wiera, Wiera czarne oczy miałaś”, piosenkę przez niesforną publiczność wyśpiewywaną z nieprzewidywalnym zmienionym tekstem, w którym tytułowa Wiera kogoś w coś uwierała.

Krzysztof Krawczyk, zdecydowawszy się na karierę solową, stał się ulubieńcem dancingów. Nagrywał piosenki świetnie nadające się do tańca i na wytwornych balach, i na, powiedzmy, zabawach ludowych. Dzisiaj widać jak na dłoni, że część z nich się obroniła, nabrała szlachetnej patyny, i bardzo dobrze. Ale naprawdę nie ma powodu, by z „Parostatku” robić szlagier ostatniego półwiecza.

Nie tak znów dawna, wydawałoby się, przeszłość w telewizyjnym wydaniu ulega większym i mniejszym zniekształceniom. I tak z programu o piosenkach Krzysz-

tofa Klenczona dowiedzieć się można było, że jednym z jego największych przebojów była „Anna Maria”, choć jako żywo była to piosenka Seweryna Krajewskiego. Z kolei w, niestety coraz bardziej plakatowym, a szkoda, bo w sumie niezłym, serialu „Stulecie Winnych” bohater z uznaniem wypowiada się o nogach prowadzącej „Wielką grę” Stanisławy Ryster. Może i miał rację, tyle że ocenę tę wystawił w roku 1973, a wtedy ten popularny turniej prowadziła jeszcze, po wyjeździe z Polski do Kanady Ryszarda Serafinowicza, Joanna Rostocka, a po niej Janusz Budzyński. Na Stanisławę Ryster poczekać musieliśmy jeszcze dwa lata.

Oczywiście wszystko to są detale, ale im dłużej oglądam naszą niepowtarzalną telewizję, tym bardziej skłonny jestem przyznać rację Janowi Suzinowi, który w swoich niedawno wydanych przez Arkady wspomnieniach („Nie-żle się zapowiadało”) z pełnym przekonaniem orzekł (a w TVP pracował ponad 40 lat), że w jego czasach jedyną rzeczą w dziejach telewizji, którą zobaczyście trzeba było zobaczyć, było „ładowanie pierwszego przedstawiciela naszego gatunku na Księżycu. Resztę można sobie spokojnie darować”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Francja – alert generałów



Marek Jurek

Francuscy emerytowani generałowie zaapelowali do władz o lepszą ochronę obywateli. I ostrzegli, że dalszy rozpad państwa może zmusić wojsko do „niebezpiecznej misji” ratowania narodu

We Francji skrajna lewica, pod hasłem „Wolność-Równość-Dokumenty”, walczy o prawo do niekontrolowanego osiedlania się muzułmanów, traktując wszelkie przeciwdziałanie nielegalnej imigracji jako przejaw „rasizmu” i „dyskryminacji”. Stanowisko to najkrócej streszcza formuła, którą kiedyś usłyszałem od jednego z uczonych w prawach człowieka, w Komisji Swobód Obywatelskich Parlamentu Europejskiego: „Jeśli imigracja jest prawem człowieka, to pojęcie nielegalnej imigracji nie ma żadnego sensu”. Od doktryny silniejsze są ideogramy. Oficjalnym godłem imigracjonizmu stał się odcisk buta oznaczający, że każdy ma prawo zamieszkać tam, gdzie postawi stopę.

Syndrom „islamolewacki” (jak go określają pravicowi komentatorzy we

Francji) nie stanowi wprawdzie spójnej ideologii, bo trudno byłoby z anarcho-kunizmem pogodzić muzułmański rygorizm moralny. Mając jednak motyw wspólny – nienawiść do państwa i kultury narodowej – staje się niezwykle skuteczną mieszkanką wybuchową do rozbudzania rewolucyjnych nastrojów wśród imigrantów. Tak jak z kolei ideologia imigracjonistyczna jest dogodnym narzędziem do obniżania kosztów produkcji i dostarczania taniej siły roboczej wielkim koncernom. W ten właśnie sposób radykalny socjalizm i radykalny kapitalizm wspólnie dokonują społecznego demontażu Zachodu.

We Francji protesty przeciw niekontrolowanej imigracji mnożą się po kolejnych atakach terrorystycznych, jak po niedawnym morderstwie policjantki Stéphanie Monfermé, która zginęła w Rambouillet

Nielegalni imigranci w miasteczku namiotowym protestują na paryskim placu Republiki podczas „nocy solidarności”, 25 marca 2021 r. FOT. ABACA/PAP



LIST OTWARTY DO NASZYCH RZĄDZĄCYCH

List opublikowany 14 kwietnia 2021 r. we Francji. Podpisało się pod nim 26 254 byłych wojskowych (na dzień 10 maja 2021 r., godz. 12.30), w tym 61 generałów w stanie spoczynku, których mogą spotkać konsekwencje, oraz 77 emerytowanych pułkowników (lub emerytowanych oficerów w stopniu odpowiadającym stopniowi pułkownika)

**Panie Prezydencie,
Panie i Panowie Członkowie Rządu,
Panie i Panowie Parlamentarzyści!**

Sytuacja jest poważna, Francja jest w niebezpieczeństwie, narażona na różnego rodzaju śmiertelne zagrożenia. My, którzy, będąc na emeryturze, wciąż pozostajemy żołnierzami Francji, nie możemy w tych

okolicznościach pozostawać obojętnymi na los naszego pięknego kraju.

Nasze trójkolorowe flagi nie są zwykłym kawałkiem materiału. Symbolizują tradycję, do której przywiązani są ci, którzy przez wieki, niezależnie od koloru skóry i wyznania, służyli Francji i oddawali za nią życie. Na flagach tych widnieją złote litery układające się w słowa „Honor



i Ojczyzna”. A dziś kwestią naszego honoru jest zwrócenie uwagi na rozpad, którego doświadcza nasza ojczyzna.

– Rozpad, który unaocznia się w swego rodzaju antyrasizmie, którego jedynym celem jest sprawić, aby na naszej ziemi rodził się niepokój, a nawet nastała nienawiść pomiędzy wspólnotami. Dziś niektórzy mówią o rasializmie, o indyge-

nizmie i teoriach dekolonizacyjnych, ale poprzez tego rodzaju terminy nienawistni i fanatyczni zwolennicy tych prądów chcą wywołać wojnę rasową. Gardzą oni naszym krajem, naszymi tradycjami, kulturą, a pragnąc, aby uległy one rozmyciu, odrywają go od przeszłości i historii. Atakują, poprzez dewastowanie pomników dawnych bohaterów wojskowych i cywil-

nych, analizując ich słowa wypowiedziane przed wiekami.

– Rozpad, który wraz z islamizmem i hordami z przedmieść powoduje odcinanie wielu kawałków naszego państwa i przekształcanie ich w terytoria poddane dogmatom sprzecznym z naszą konstytucją. A przecież każdy Francuz, niezależnie od jego wyznania czy braku wyznania,

■ z ręki tunezyjskiego islamisty. (Tunezja, co warto pamiętać, to wzorcowa demokracja zrodzona z arabskiej wiosny, niedająca powodów do „uchodźstwa” na Zachód).

Po chwilowych wstrząsach antyimigracyjne protesty z reguły przygasają, bo problem uchodzi za nierozwiązywalny. Miesiąc temu jednak przeciw takiemu fatalizmowi zabrało głos 20 emerytowanych generałów armii francuskiej. Swoją deklarację określili jako Trybunę Generałów i zaadresowali do wszystkich władz Republiki: prezydenta, rządu i parlamentu.

FRANCJA SIĘ ROZPADA

Diagnoza generałów jest prosta: Francja się rozpada. Rozpada się moralnie, bo tzw. antyrasizm bez przerwy podżega imigrantów do łamania prawa, jednocześnie znieważając całą francuską pamięć narodową. Rozpada się również fizycznie, bo na terytorium kraju jest coraz więcej miejsc, gdzie prawo przestało działać.

Generałowie apelują więc do władz Republiki o podjęcie niezbędnych działań. Ich pierwszy i najprostszy postulat to wykonywanie prawa, które traktowane poważnie już wzmocniłoby bezpieczeństwo Francuzów. To, że francuscy generałowie muszą apelować o egzekucję przepisów chroniących bezpieczeństwo obywateli, jest bardzo dramatycznym świadectwem stanu praworządności we Francji. Dramatycz-

**Według sondażu LCI
(odpowiednik TVN24)
inicjatywę generałów
popiera większość Francuzów
– 58 proc.**

nym, ale symptomatycznym, bo nie tylko we Francji „senat obraduje nad tym, jak nie być senatem”. Abdykacja państwa ze wszystkich powinności prawnych, które się klócą z obowiązującą ideologią, to cecha strukturalna liberalizmu.

Generałowie domagają się od władz niezwłocznej reakcji, bo jeśli wobec oczywistych oznak społecznego rozkładu Francji „nie zostaną podjęte żadne działania, a bezczynność wobec [rosnącego] bezprawia nadal się będzie szerzyć w społeczeństwie, w końcu dojdzie do [rewolucyjnego] wybuchu”, to wojsko będzie musiało „podjąć niebezpieczną misję ratowania naszych wartości cywilizacyjnych oraz ochrony naszych rodaków i terytorium narodowego”.

NARÓD Z ARMIA

Apel głęboko poruszył Francję. W ciągu tygodnia po jego publikacji podpisało się pod nim prawie 14 tys. żołnierzy, w następnym – jeszcze 10 tys., w tym kolejnych

53 generałów i wielu wyższych oficerów w służbie czynnej. Wyraży solidarności i uznania przekazała uczestnikom Trybuny Generałów przywódczyni opozycji, Marine Le Pen. Zaznaczyła jednak, że – biorąc pod uwagę nastawienie obecnych władz, które najlepiej streszcza Macronowski projekt „dekonstrukcji historii Francji” – „apele nie wystarczą”. Potrzebna jest zmiana polityczna, alternatywa demokratyczna, która ją przeprowadzi, a po zmianie władzy – rząd jedności narodowej. Przypominając, że do jej ruchu przyłączyło się już wiele osóbistości życia publicznego i społeczeństwa cywilnego, przewodnicząca Zjednoczenia Narodowego zaprosiła generałów do udziału w „pokojowej i politycznej bitwie o Francję”.

Najważniejsza jednak była reakcja społeczeństwa. Według sondażu LCI (francuski odpowiednik TVN24) inicjatywę generałów popiera wyraźna większość Francuzów (58 proc.). To nic dziwnego, skoro społeczeństwo po prostu myśli tak samo jak emerytowani dowódcy; w tym samym sondażu LCI 84 proc. Francuzów uznało, że przemoc na ulicach bez przerwy rośnie, a 73 proc. – że kraj się rozpada. Interwencji wojska („nawet bez wezwania rządu”) oczekuje 49 proc. Francuzów.

Oczywiście rządząca klasa medialno-polityczna uplasowała się na drugim biegunie opinii. Po deklaracji solidarności Marine Le Pen minister Marlène Schiappa

LIST OTWARTY DO NASZYCH RZĄDZĄCYCH

■ wszędzie we Francji jest u siebie; nie może i nie powinno istnieć żadne miasto, żadna dzielnica, gdzie nie są stosowane prawa Republiki.

– Rozpad, ponieważ nienawiść wypiera braterstwo w czasie manifestacji, gdzie władza używa służb porządkowych jednocześnie jako swoich najemników i kózłof ofiarnych przeciwko Francuzom w żółtych kamizelkach, wyrażających swoją rozpacz. I to podczas gdy zakapturzone typy niezwiązane z protestem plądrują sklepy i grożą tym samym siłom porządkowym. Tymczasem te ostatnie wykonują jedynie rozkazy, czasami sprzeczne, wydawane przez Was, rządzących.

Zagrożenia rosną, przemoc przybiera na sile każdego dnia. Kto spodziewałby się dziesięć lat temu, że pewnego dnia nauczycielowi wychodzącemu z gimnazjum ktoś zetnie głowę? I dlatego też, my,

słudzy Narodu, którzy zawsze byliśmy gotowi dotrzymywać naszych zobowiązań do samego końca, tak jak wymagał tego nasz żołnierski stan, nie możemy pozostać pasywnymi widzami tych działań.

Natomiast ci, którzy rządzą naszym krajem, muszą koniecznie znaleźć niezbędną odwagę, aby wykorzystać te zagrożenia. Aby to uczynić, wystarczy systematycznie i bez pobłażania stosować istniejące już prawo. Nie zapominajcie, że tak jak my zdecydowana większość naszych współobywateli ma dość Waszego lawirowania i obwiniającego Was milczenia.

Jak powiedział kardynał Mercier, prymas Belgii: „Gdy ostrożność jest wszędzie, nigdzie nie ma odwagi”. Panie i Panowie, dość odwlekania decyzji, sytuacja jest poważna, czeka Was kolosalna praca; nie traćcie czasu i wiedźcie, że jesteśmy gotowi wspierać polityczne działania, które

będą uwzględniały ochronę żywotnych interesów narodu.

Natomiast, jeśli niczego nie zrobicie, nadmierna pobłażliwość wciąż będzie nieubłaganie trawić nasze społeczeństwo, prowokując na końcu wybuch i konieczność interwencji naszych kolegów w czynnej służbie w ramach niebezpiecznej misji ochrony naszych wartości cywilizacyjnych i zapewnienia bezpieczeństwa naszym współobywatelom na terenie kraju.

Widzimy to, nie ma już czasu, aby się wahać. Dalsza zwłoka spowoduje, iż jutro wojna domowa zakończy ten narastający chaos, a jej śmiertelne ofiary, za które będziecie odpowiedzialni, będą liczone w tysiącach.

**Redaktor:
kapitan Jean-Pierre Fabre-Bernadac
(dawny oficer Wojsk Lądowych i Żandarmerii,
autor dziewięciu książek)**

Tłumaczenie: Agnieszka Golańska-Bault

uznała Zjednoczenie Narodowe za „partię puczystów”. Przywódca radykalnej lewicy, Jean-Luc Mélenchon, zażądał śledztwa i kar sądowych wobec emerytowanych generałów. Redaktor „Libération”, Daniel Schneidermann, uznał list za znak zbliżającego się „faszyzmu”. Ciekawy jest wspólny mianownik tych różnych wypowiedzi. Mélenchon to wielbiciel marksistowskich reżimów Ameryki Łacińskiej z Kubą na czele, Schneidermann to były członek Partii Komunistycznej, Schiappa to córka komunistów orientacji trockistowskiej. Jak widać – wszyscy wywodzą się z tradycji, która z największym upodobaniem i wprawą potrafiła się zawsze posługiwać „antyfaszystowskimi” insynuacjami.

DOKĄD Z TRYBUNY?

Nie sądzę, by demokracja we Francji była zagrożona, ale jeżeli jej obecny stan tak męczy Francuzów, to na pewno nie przez oficerów, którzy mają odwagę mówić władzy prawdę. List generałów czy – szerzej – ruch francuskich oficerów należy interpretować raczej w kontekście reguł postępującej nieliberalnej demokracji. Ustrój ten polega na tym, że (liberalne) Rządy egzekwują to, czego

domagają się (liberalne) Media, powołując się na (liberalne) Autorytety.

Francuska lewica się burzy, bo Trybuna Generałów bezczelnie zawłaszcza tę konwencję. Żądania demokratycznym rządom stawiają grupowo estradowi artyści, urzędujący sędziowie, a nawet dzieci z Gretą Thunberg na czele. Czemuż o bezpieczeństwie kraju i stanie patriotyzmu nie mieliby więc wspólnie wypowiadać się najbardziej zasłużeni obrońcy ojczyzny? Dzięki Trybunie Generałów zaś to nieprzewidywalny się dekadencji przywódca polityczni będą musieli dowodzić potrzeby odpowiednich (czyli w praktyce – nadzwyczajnych) środków w walce z imigracyjnym bezprawiem. Teraz, gdy postulat już został postawiony, wystarczy, że powiedzą – jak Marine Le Pen – że zgadzają się z generałami, z tą częścią opinii publicznej, która oczekuje, iż państwo będzie używać konstytucyjnych instrumentów w interesie obywateli i proporcjonalnie do powagi sytuacji. Społeczny głos generałów przypomina i ożywia jednocześnie suwerenną odpowiedzialność państwa. Tłumaczyć się będą musieli nie ci, którzy się domagają, żeby ją realizować, ale ci, którzy tego nie chcą.

Sami generałowie, uprzedzając zarzuty przeciwników, swą nadzwyczajną reakcją w nadzwyczajnej sytuacji uzasadniają przez elegancko dyskretny, ale wyraźny, katolicki akcent swego listu, gdy rządzącym dedykują słowa wielkiego prymasa Belgii, kard. Merciera: „Gdy wszędzie jest już tylko roztropność, odwagi nie ma już nigdzie”.

ŁUDZIE MAJĄ PRAWA

Na koniec mam propozycję dla kolegów, którzy zasiadają w Parlamencie Europejskim. Trybunę Generałów można z powodzeniem wykorzystać do ocieplenia stosunków polsko-francuskich. Generałów warto zgłosić do dorocznej Nagrody Sacharowa. Spełniają wszelkie kryteria: otwierają nowe pole debaty publicznej, wypowiadają się w imieniu bezradnych i zastraszonej, znoszą ataki i pogróżki ze strony polityków. Czegoż więcej trzeba? Nagrody w tym parlamencie nie dostaną, ale byłoby dobrze, gdyby właśnie tam, poprzez oficjalną nominację, potwierdzono, że we Francji i w całej Europie są miliony ludzi, którzy uważają, iż francuskiej Trybuny Generałów taka nagroda zwyczajnie się należy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Pobyty w Ciechocinku „Pod Tęźniami”
z zabiegami

Posiłki bez limitu
15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- wstęp do zespołu basenów do 90 minut dziennie •
- basen zewnętrzny oraz wewnętrzny z atrakcjami
- diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna •
- specjalistyczne konsultacje lekarskie* •

*możliwa dodatkowa opłata

Tygodniowe i dłuższe **POBYTY LECZNICZE**
w terminie: 21.05 - 20.06 oraz 20.06 - 26.09.2021 r.
W ofercie także **POBYTY PO COVID-19**

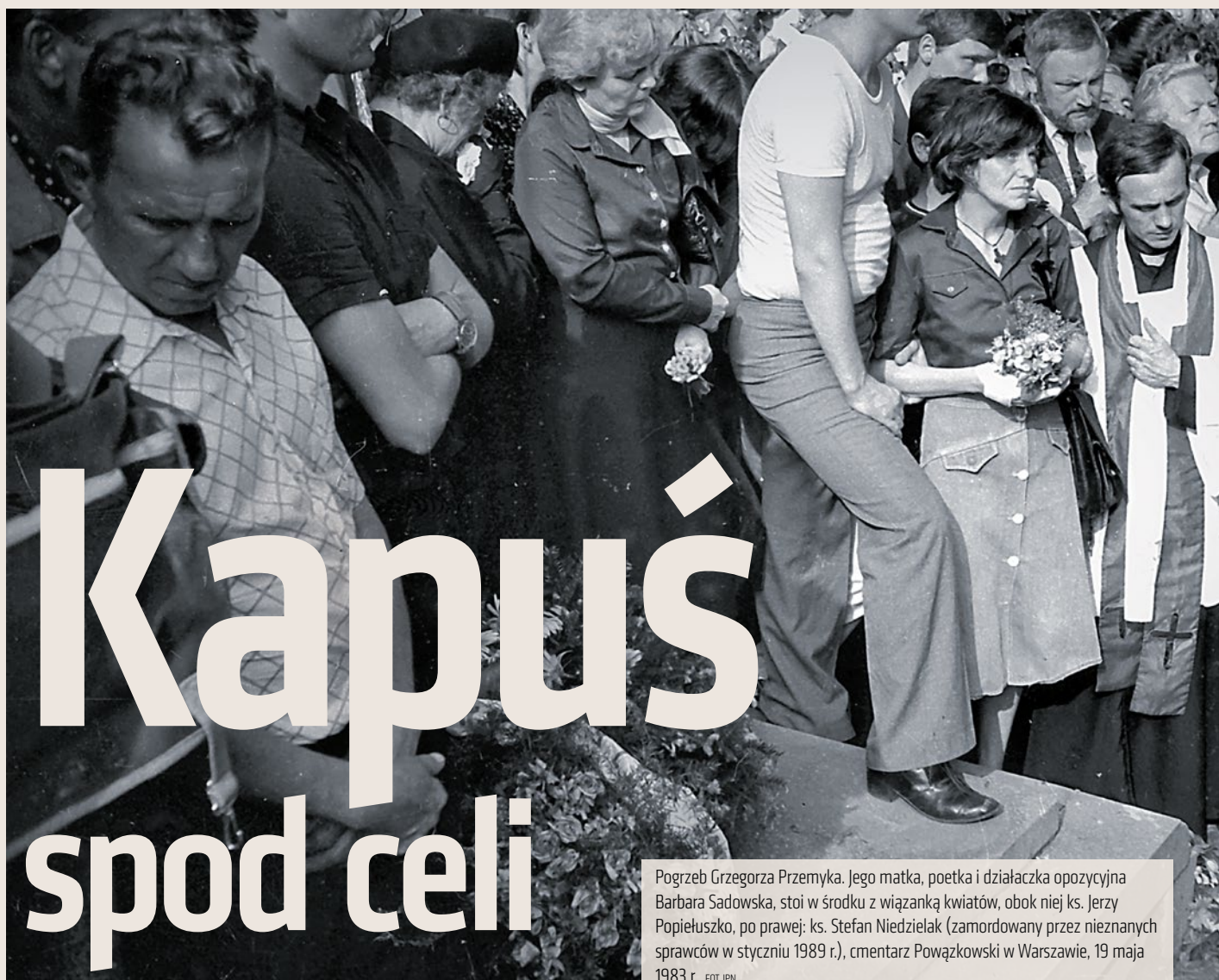
tel. 54 416 70 00

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami”, ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDRAWISKOWA® „Pod Tęźniami” (im. Józefa Pławia II)

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE



Kapuś spod celi

Pogrzeb Grzegorza Przemyka. Jego matka, poetka i działaczka opozycyjna Barbara Sadowska, stoi w środku z wiązanką kwiatów, obok niej ks. Jerzy Popiełuszko, po prawej: ks. Stefan Niedziela (zamordowany przez nieznanych sprawców w styczniu 1989 r.), cmentarz Powązkowski w Warszawie, 19 maja 1983 r. FOT. IPN



Piotr Litka

Agenci tzw. celni byli w okresie PRL wykorzystywani nie tylko do rozpracowywania osadzonych zatrzymanych w związku ze sprawami kryminalnymi czy gospodarczymi. Bardzo często ich usługi okazywały się bezcenne także w wydarzeniach, w których znaczący udział miała Służba Bezpieczeństwa, takich jak aresztowanie ks. Jerzego Popiełuszki oraz śledztwo w sprawie śmiertelnego pobicia Grzegorza Przemyka

Niewielka teczka A4. Tytuł na pierwszy rzut oka mało atrakcyjny: „Fundusz »O« [czyli operacyjny za] 1983 r.”. W lewym górnym rogu niewyraźna pieczęta Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. No i zapisana czarnym flamastrem

informacja, że teczka miała zostać wybrakowana w 1990 r. Nie została. Trafiła do archiwum IPN. Wśród zawartych w niej różnego rodzaju „kwitów” jeden wypełniony maszynowym pismem dokument, skierowany do naczelnika Wydziału Śledczego SUSW w Warszawie

29 grudnia 1983 r., o treści następującej (zachowano pisownię oryginalną):

„Zwracam się niniejszym raportem do Obywatela Naczelnika o przyznanie nagrody pieniężnej z funduszu »O« dla TWC WIESIEK.

Nadmieniam, że wyżej wymienionemu TWC powierzono do rozpracowania między innymi: Jerzy Popiełuszko osadzony w areszcie Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych do dyspozycji Wydziału Śledczego, w uzyskaniu informacji o zatrzymanym [księdzu] TWC włożył dużo wysiłku.

W związku z powyższym uprzejmie proszę o pozytywne rozpatrzenie raportu”.

I podpis: kpt. M. Michalczak.

Naczelnik – jak wynika z odrębnego dopisku na dokumencie – jeszcze w tym samym dniu wyraził zgodę na wypłatę na-



tego bądź jawnego nagrywania pozwalało bowiem z jednej strony na obserwację zachowania TWC i ocenę jego wiarygodności, a z drugiej – gwarantowało zarejestrowanie wszystkich szczegółów jego donosu.

Tyle autorytet i przepisy. A jak wyglądała rzeczywistość?

ARESZTOWANY KSIĄDZ

Późnym popołudniem, 12 grudnia 1983 r., ks. Popiełuszko po przesłuchaniu w stołecznej prokuraturze wojewódz-

kiej pojechał z ekipą śledczą do niewielkiego mieszkania przy ul. Chłodnej 15 w Warszawie:

„Na rewizję jechałem spokojny – notował ks. Jerzy w swoich »Zapiskach« – bo nie miałem tam nawet ulotki sprzed stanu wojennego. Jakim było [dla mnie] zaskoczeniem, gdy jeden z 4 oficerów śledczych (w obecności prokuratora, Waldka [Chrostowski] i mojej) przez trzy minuty nawycigał stos obciążających mnie materiałów. Było tam ponad 15 tysięcy egzemplarzy nielegalnych pism. Gryps w języku francuskim,

Decyzja ta z punktu widzenia praktyki śledczej i przeprowadzonej rewizji wydaje się wręcz szkolnym błędem popełnionym przez prowadzących czynności prokuratora i funkcjonariuszy. Być może nie chciano przeprowadzać dodatkowych ekspertyz (choćby poszukując odcisków palców), ponieważ mogłyby one jednoznacznie wykazać, że żadnych śladów księdza na opakowaniach tych po prostu nie było. Z zachowanych akt śledztwa nie wynika również, by jakiegokolwiek ślady wskazujące na ks. Popiełuszkę były ujawnione na „znalezionych” podczas rewizji ulotkach i materiałach wybuchowych.

Po zakończeniu przeszukania, ok. godziny 20, przewieziono kapelana Solidarności do pałacu Mostowskich.

„W celi nr 6 – notował ks. Jerzy w »Zapiskach« – kazano mi rozebrać się do naga. Milicjant przeprowadzający rewizję (nie miał więcej niż 20 lat) złapał się za głowę i powiedział: »Że też na mnie musiało przypaść«.

Następnie zaprowadzono mnie do celi nr 23. Tam było 5 ludzi (podejrzanych o zabójstwo żony i wrzucenie [zwłok] do Wisły, współudział w morderstwie w Grodzisku Maz[owieckim], zabicie 4 ludzi lokomotywą, nadużycia gospodarcze i jeden konfident)” [podkreślenie – P.L.].

Dzień po zatrzymaniu, 13 grudnia 1983 r., ks. Jerzemu zrobiono tzw. zdjęcia sygnalityczne w trzech pozycjach oraz postawiono zarzuty. Jak wyliczył sam ksiądz, groziło za nie łącznie 31 lat więzienia.

POBITY NA ŚMIERĆ MATURZYSTA

Miesiąc po wypłaceniu 2,5 tys. zł dla tajnego współpracownika „celnego” o pseudonimie Wiesiek za donoszenie na ks. Jerzego postanowiono użyć go do innej (wymagającej nie mniejszego sprytu i odwagi) akcji. Chodziło o skompromitowanie i ostateczne „obrobienie” kierowcy karetki warszawskiego pogotowia – Michała Wysockiego – który został tymczasowo aresztowany 20 grudnia 1983 r. Niespełna pół roku wcześniej Wysocki wraz z sanitariuszem Jackiem Szydzkiem przewozili z komisariatu na pogotowie pobitego przez zomowców i milicjantów Grzegorza Przyemka. Młody chłopak 14 maja 1983 r. zmarł. Wysockiego aresztowano na trzy miesiące w grudniu 1983 r. za rzekome pobicie innego pacjenta. W zamiarach śledczych „sprawa Przyemka” miała się pojawić

grody – 2,5 tys. zł (w 1983 r. średnia miesięczna pensja wynosiła ok. 14,5 tys. zł). Za jeden donos i jedną noc „pracy” tajnego współpracownika „celnego”. Wniośkodawca – kpt. Michalczak – osobiście pokwitował odbiór pieniędzy.

W jednej z zachowanych w archiwum IPN prac magisterskich obronionych w roku 1980, zatytułowanej po prostu: „Pozyskiwanie Tajnego Współpracownika Celnego w zakładzie penitencjarnym”, czytamy, że „Tajny Współpracownik Celnego (TWC) to osadzony celowo pozyskany do tajnej współpracy z działem ochrony na zasadzie dobrowolnego i świadomego wyrażenia [przez niego] zgody”.

Z kolei pracownik operacyjny (był nim milicjant, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa bądź też służby więziennej) mógł używać podczas spotkania z TWC magnetofonu. Zastosowanie ukry-

60 egzemplarzy 14-stronicowego sprawozdania ks. Małkowskiego ze spotkania z ks. Prymasem, rzekomo wysłanego do mnie z listem od Giedroycia z Paryża, 36 nabo i pistoletu maszynowego, trotyl, dynamit z zapalnikiem i przewodem elektrycznym do detonacji, 4 duże gazy łzawiące, 60 matryc zagranicznych, 5 tub farby drukarskiej.

Pan jednak dał siłę. Przyjąłem to spokojnie. Zacząłem się śmiać i powiedziałem: »Panowie, przesadziliście«.

W trakcie rewizji w mieszkaniu księdza pojawili się również inni niezapowiedziani „goście”: „Przyjechała telewizja – wspominał ks. Jerzy – potwierdzano wszystkie szafki i lodówkę, aby [to wszystko] sfilnować. Dziwne, że nie zrobiono »kotła«, ale klucze mi oddano do ręki. Opakowania [po ulotkach] wrzucono do zsypu”.

Raport z 29 grudnia 1983 r. dotyczący wypłaty wynagrodzenia dla TWC „Wieska” FOT. PIOTR LITKA

■ podczas trzymiesięcznego pobytu w areszcie podejrzanego. I tak się też stało. W przypadku Wysockiego było jednak inaczej niż z ks. Popiełuszką, którego zwolniono dzień po aresztowaniu, gdyż TWC „Wiesiek” wkroczył do akcji dopiero ponad miesiąc po zatrzymaniu kierowcy karetki pogotowia.

Jak wspominał po latach Wysocki: w celi nr 23 pałacu Mostowskich (tej samej, w której spędził noc ks. Popiełuszek) „dobrych doradców” było dwóch. Witek i Włodek trzymali się razem, byli dobrze traktowani przez strażników, a przede wszystkim dziwili się temu, że Wysocki nie mówi złego słowa o sanitariuszu, który podobno „rozpruł się” w śledztwie i zaczął obciążać go w sprawie śmierci Przemka.

W tej sytuacji Włodek zaproponował Wysockiemu napisanie grypsu do żony, w którym miał ostrzec „znajomych przed gadulstwem Jacka oraz by świadkowie »trzymali się« dzielnie [w śledztwie]”. Wysocki gryps przekazał Włodekowi i wówczas stała się rzecz zadziwiająca. Kiedy Wysocki wrócił do celi z kolejnego przesłuchania, strażnicy przeprowadzili na jego oczach rewizję osobistą Włodeka, który z kolei wrócił z widzenia, podczas którego miał przekazać gryps swojej siostrze. Oczywiście zakazana korespondencja odnaleziona, a Wysockiego zaczęto „obrabiać” i wrabiać w śmiertelne pobicie Grzegorza Przemka.

Jak o grypsie opowiadał przesłuchującym go milicjantom Włodek? Początkowo jego wersja mocno różniła się od przebiegu wydarzeń zapamiętanych i opisanych po latach przez Wysockiego. Wedle Włodeka bowiem gryps znalazł on na... spacerniaku. Nie wiedział, kto jest jego autorem, bo nie znał imion współwięźniów z celi, a strażnicy – według niego – posługiwali się tylko numerami osadzonych. Pod koniec przesłuchania Włodek „pękł” i powiedział prawdę: gryps wziął od Wysockiego, „ponieważ wydał on mi się przyjemnym kolegą i chciałem mu pomóc”. Nie wspominał ani słowem, że sam namówił go do jego napisania.

Prowokacja się udała. Wysocki zaczął obciążać sanitariusza. Sam zaczął nawet przyznawać się do rzeczy, których nie zrobił. Miesiąc później przewieziono go do aresztu śledczego na Mokotowie. Tam doczekał procesu. Skazano go. Sanitariusza Jacka też.

Wysocki Włodek już nigdy nie spotkał. Po wyjściu na wolność rozmawiał z jego bratem. Od niego dowiedział się, że Włodek po opuszczeniu więzienia został śmiertelnie pobity. Sprawca bądź sprawcy pozostają do dziś nieznani.

Pytanie najważniejsze: czy TWC „Wiesiek” i Włodek z opowieści Wysockiego – to jedna osoba? Wiele poszlak wskazuje na to, że tak. Poza grypsem poszlaką byłoby chociażby zapamiętane przez Wysockiego dosyć swobodne zachowanie bądź co bądź tymczasowo aresztowanego mężczyzny, który pewnego popołudnia wrócił do celi pijany. „Mówił, że miał widzenie z siostrą – wspominał Wysocki – i otrzymał od niej pół litra spirytusu. Część wypił, a resztę zabrali mu milicjanci w dyżurce aresztu. Mocno pijany [Włodek] kłął na wszystkich, dopóki nie zasnął”. Wielokrotnie też Włodek był wypuszczany przez strażników na korytarz. Nie ograniczano w żaden sposób jego telefonów do bliskich, a obiady przynoszono mu z restauracji lub baru. Włodek wspominał też Wysockiemu, że gdyby ks. Popiełuszek ponownie trafił do celi nr 23, zostałby potraktowany o wiele ostrzej niż w grudniu 1983 r.

Kiedy zwróciłem się do Komendanta Głównego Policji – gen. insp. dr. Jarosława Szymczyka – z prośbą o odnalezienie i udostępnienie mi materiałów związanych z tajnym współpracownikiem „celnym” o pseudonimie Wiesiek, po kilku tygodniach otrzymałem uprzedzonego e-maila, którego ostatnie zdanie brzmiało tak: „W odpowiedzi na Pana zapytanie uprzejmie informuję, że po przeprowadzeniu kwerendy w Głównym Archiwum Policji brak jest dokumentów, o które Pan wniósł”.

CZY DOKUMENTY (JESZCZE) ISTNIEJĄ?

W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej przechowywanych jest niewiele dokumentów związanych z działaniami agentury „celnej”. Wśród nich zdarzają się także nieliczne prace magisterskie na ten temat, pisane chociażby w latach 80. XX w. Przyczyn takiego stanu rzeczy należy doszukiwać się z jednej strony w ustawie o IPN z 1998 r., w której w artykule 25 określono dosyć ogólnie, iż instytut będzie przejmował „dokumenty, zbiory danych, rejestry i kartoteki wytworzone oraz zgromadzone przez organy bezpieczeństwa państwa, organy więziennictwa, sądy i prokuratury oraz organy bezpie-

czeństwa III Rzeszy Niemieckiej i Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”. Z drugiej zaś strony sama agentura „celna” prowadzona była przede wszystkim przez wydziały kryminalne oraz śledcze Milicji Obywatelskiej na terenie aresztów i zakładów karnych całego kraju.

Kwerendy pod kątem wykonania ustawy o IPN w Głównym Archiwum Policji (GAP), w archiwach komend wojewódzkich czy zakładach karnych już się odbyły. W ich wyniku przekazano do IPN pewną liczbę dokumentów personalnych, ale też i tych związanych np. z ruchem osadzonych w aresztach śledczych. Dobrym przykładem są materiały przejęte z aresztu śledczego przy ul. Montelupich 7 przez krakowski oddział archiwum instytutu obejmujące m.in. początek lat 80. XX w., w tym pierwsze miesiące stanu wojennego.

Według informacji samego IPN (stan na 31 grudnia 2020 r.) policja poza aktami paszportowymi przekazała instytutowi ok. 370 m bieżących różnego rodzaju dokumentów, więziennictwo zaś – ok. 1929 m.

Czy zatem w wypadku badań dotyczących opozycji demokratycznej w PRL czy działalności Kościoła katolickiego akta agentury „celnej” nie byłyby często niezbędne do rozwikłania spraw do dziś owianych środowiskową legendą (brak materiałów lub też informacja o ich zniszczeniu) albo opartych prawie wyłącznie na dokumentacji ze śledztw zmanipulowanych przez Służbę Bezpieczeństwa?

Akcja przekazywania instytutowi materiałów byłej SB/MO – według informacji zawartych na stronie IPN – jest kontynuowana od 2006 r. Ich selekcji każdorazowo dokonują archiwiści wyznaczeni przez instytut. Z informacji uzyskanej od jednego z nich wynika, że takiej ocenie nie była nigdy poddawana dokumentacja związana z działalnością agentury milicyjnej ani tym bardziej „celnej”. Dlaczego? – Ta agentura jest nadal chroniona – stwierdza krótko pytany archiwista.

Może więc warto wreszcie taką kwerendę w tej obszernej dokumentacji przeprowadzić?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Podczas pisania tekstu korzystałem z materiałów archiwalnych IPN oraz książek: „Tajemnice grypsierki” Macieja Szaszkiewicza, Kraków 1997; „Osaczony złem” Michała Wysockiego, Warszawa 2011 i „Zapisków 1980–1984” ks. Jerzego Popiełuszki, Warszawa 2015.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Aktorzy pod okupacją

Kazimierz Junosza-Stępowski był najwybitniejszym aktorem II Rzeczypospolitej. Zasłynął rolami w takich filmach jak „Znachor” czy „Profesor Wilczur”. W 1940 r. Junosza-Stępowski zdecydował się złamać zakaz podziemnego ZASP-u i rozpoczął występy na jawnych scenach Warszawy. Władze podziemne traktowały to jako współpracę z okupantem.

Decyzja Junoszy-Stępowskiego była wymuszona nałogiem narkotycznym jego żony, aktorki Jagi Juno. Aktor potrzebował olbrzymich pieniędzy na narkotyki i kolejne terapie odwykowe małżonki. Jaga Juno była nie tylko narkomanką, lecz także została oskarżona o współpracę z gestapo.

W efekcie sąd podziemny skazał ją na karę śmierci. Egzekutorzy z Armii Krajowej przyszlizli do mieszkania aktorskiej pary 5 lipca 1943 r. Chcieli zastrzelić Jagę Juno, ale Junosza-Stępowski w ostatniej chwili miał zasłonić ją własnym ciałem. Dostał kulę w brzuch i kilka godzin później skonał. Jaga Juno przeżyła ten zamach, ale druga próba okazała się udana. Zastrzelono ją 21 marca 1944 r.

To jedna z tragicznych historii opisanych

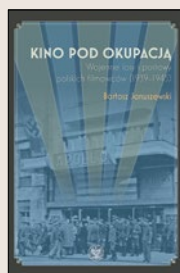
w kapitalnej książce „Kino pod okupacją” Bartosza Januszewskiego. Historyk w bardzo kompetentny i zajmujący sposób opisuje wspaniały świat przedwojennej polskiej kinematografii. A następnie dramatyczne losy polskich ludzi kina pod dwoma okupacjami – niemiecką i sowiecką.

Losy te układały się w sposób bardzo różny. Niektórzy aktorzy zdecydowali się na grę w jawnych teatrach, inni przystąpili do konspiracji. Wielu z nich padło ofiarą aparatu represji obu okupantów. Tak jak słynny Eugeniusz Bodo, który został aresztowany przez NKWD pod zarzutem szpiegostwa.

Aktor nie został objęty amnestią po podpisaniu paktu Sikorski-Stalin w lipcu 1941 r. Oprócz polskiego miał bowiem także obywatelstwo

szwajcarskie, co wydawało się podejrzane „organom”. Skazano na pięć lat łagrów, trafił do obozu w Kołtasie. Tam zmarł z powodu wycieńczenia i głodu. Jego ciało – jak pisze Bartosz Januszewski – zostało wrzucone do zbiorowej mogiły.

Zamieszczona na końcu książki lista wojennych strat polskiego środowiska filmowego robi wstrząsające wrażenie. ©©



★★★★★

BARTOSZ JANUSZEWSKI

„KINO POD OKUPACJĄ. WOJENNE LOSY I POSTAWY POLSKICH FILMOWCÓW (1939–1945)”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Elizy Orzeszkowej

Kilka miesięcy temu pisałem o problemach z pogrzebem Marii Konopnickiej we Lwowie, spowodowanych jej związkiem z Marią Dulębianką. Pół roku wcześniej do podobnej sytuacji doszło w Grodnie, gdzie 18 maja 1910 r. zmarła Eliza Orzeszkowa. W tym wypadku problemem był długoletni związek pisarki z żonatym prawnikiem, Stanisławem Nahorskim. Jego żona uchodziła za osobę chorą psychicznie, ale mieszkali pod wspólnym dachem i prawnik nie zamierzał unieważniać małżeństwa, twierdząc, że źle wpłynęłoby to na jej zdrowie.

Sytuacja była dla pisarki mało komfortowa, ale mimo to zdecydowała się na kontynuowanie związku z Nahorskim. Nie mogli razem zamieszkać i pani Eliza wynajmowała w Grodnie kolejne lokale. Wszyscy i tak jednak wiedzieli, że została kochanką żonatego mężczyzny, i dlatego nie przyjmowano jej w nielicznych miejscowych salonach. Inna sprawa, że na pierwszy rzut oka mecenas wydawał się wyjątkowo niedobrym partnerem dla pisarki. Nie interesował się literaturą, a jego wypowiedzi podczas dyskusji w mieszkaniu Orzeszkowej wzbudzały ogólną konsternację. Wołał polowania i wędkarstwo, a podobno gdy w czasie wakacyjnego wypoczynku pani Eliza podeszła do niego, by przeczytać kolejny fragment „Nad Niemnem”,

natychmiast jej przerwał, gdyż właśnie ryba brała.

W ciągu paru lat Orzeszkowa złamała kilka podstawowych reguł obyczajowych: porzuciła męża zesłanego za udział w powstaniu styczniowym, zdecydowała się również żyć i pracować na własny rachunek. A to, że jej kolejnym partnerem został żonaty mężczyzna, w ogóle nie mieściło się w normach epoki. Takie rzeczy zdarzały się wyłącznie w środowiskach artystycznych, natomiast pani Eliza z racji urodzenia należała do eleganckiego towarzystwa.

Konkubinat zalegalizowała dopiero po ćwierćwieczu. W 1894 r. zmarła żona adwokata i kilka miesięcy później 53-letnia pani Eliza wyszła za 68-letniego partnera. Zamieszkali razem, jednak małżeństwo nie trwało zbyt długo, gdyż dwa lata później, podczas przyjęcia imieninowego pisarki, adwokat doznał ataku serca i nie dało się go uratować.

Orzeszkowa przeżyła go o 14 lat, a gdy zmarła, wybuchł kolejny skandal: proboszcz Juliusz Ellert odmówił odprawienia katolickiego pogrzebu. Jako powód podawał, że była niepraktykująca, bardziej jednak chodziło o długoletni romans z Nahorskim. Dopiero interwencja biskupa spowodowała, że pisarka mogła zostać pochowana zgodnie z tradycją. Ostatecznie Eliza Orzeszkowa spoczęła u boku męża, a ich groby zachowały się do dnia dzisiejszego. ©©

Netanjahu zyskuje na



Jacek Przybylski

Tak krwawych starć izraelsko-palestyńskich nie było od lat. Po izraelskich atakach w Strefie Gazy runęło kilka wieżowców. W izraelskich nalotach życie straciło też kilkadziesiąt palestyńskich kobiet oraz dzieci. W atakach Hamasu zginęło z kolei kilkoro Izraelczyków. Nowy konflikt może jednak uratować karierę polityczną Beniamina Netanjahu



Przyczyną wybuchu krwawych zamieszek była próba siłowej eksmisji palestyńskich rodzin, które od kilku pokoleń żyły w Szajch Dżarrah we wschodniej Jerozolimie i które przekonują, że nabyły zamieszkane przez siebie nieruchomości od jordańskich władz, które kontrolowały wschodnią Jerozolimę od 1948 do 1967 r. Władze w Ammanie przedstawiły przed izraelskim sądem odpowiednie dokumenty, które potwierdzają wersję palestyńskich rodzin. Kłopot w tym, że potomkowie arabskich uchodźców z 1948 r. – uciekających z ziem, na których powstał Izrael – nabyli nieruchomości od Jordańczyków, Jordańczycy wygnali z nich Żydów.

Zgodnie z wyrokiem izraelskiego sądu rodziny te mają stracić dach nad głową bez prawa do jakiegokolwiek odszkodowania. Izraelska organizacja osadnicza planuje bowiem w tym miejscu stworzyć nową przestrzeń życiową dla kolejnych izraelskich osadników. I chociaż Palestyń-

czycy wciąż widzą Wschodnią Jerozolimę jako swoją przyszłą stolicę, to izraelskie władze od lat postrzegają całe miasto jako „niepodzielną stolicę” Izraela.

Główny problem polega na tym, że choć izraelskie przepisy dają Żydom prawo do odzyskiwania dawnej własności na terenach kontrolowanych w latach 1948–1967 przez siły jordańskie, to jednocześnie w jawny sposób dyskryminuje Arabów, którzy są już pozbawieni jakiegokolwiek możliwości odzyskania własności na terenach okupowanych obecnie przez brutalne siły izraelskie. Drugi powód, który od lat stanowi zarzewie krwawego konfliktu izraelsko-palestyńskiego, to budowa nowych żydowskich osiedli we Wschodniej Jerozolimie. Im więcej takich osiedli powstanie, tym mniejsze są szanse na to, aby rzeczywiście stworzyć w przyszłości niepodległe państwo palestyńskie. Takie podejście jasno pokazuje zaś, że władze izraelskie nie myślą o przestrzeganiu prawa międzynarodowego czy

wynegocjowanych wcześniej zapisów porozumień pokojowych.

PRZEMOC Z BEZWŁADZY

„Niestety, Autonomia Palestyńska i palestyńskie grupy terrorystyczne przedstawiają spór o nieruchomości pomiędzy prywatnymi podmiotami jako sprawę narodową w celu podżegania do przemocy w Jerozolimie” – poskarżyło się w komunikacie izraelskie MSZ. Z kolei szef palestyńskiej dyplomacji Riyad al-Maliki przesłał w tej sprawie list do Międzynarodowego Trybunału Karnego, wzywający do „zajęcia jasnego i publicznego stanowiska przeciwko zbrodniom popełnionym przez Izrael na ludności palestyńskiej na terenach Szajch Dżarrah”. Według komunikatu wydanego przez ONZ w 2019 r. co najmniej jedna trzecia palestyńskich domów we wschodniej Jerozolimie nie ma odpowiednich zezwoleń wymaganych przez okupacyjne władze Izraela, co oznacza, że potencjalna eksmisja grozi ponad 100 tys. Palestyń-

widmie nowej intifady



Premier Netanjahu pochwalił armię za naloty na Gazę FOT. MAJDI FATHI/NURPHOTO/AFP/EAST NEWS

czyków. A ponieważ w obecnym systemie prawnym na terenach okupowanych Palestyńczycy i Izraelczycy nie są równi wobec prawa: nikt bowiem nie zmusi izraelskich osadników do eksmisji z domów wybudowanych na palestyńskiej ziemi, bez trudu Izrael może wydać decyzję o zrównaniu z ziemią palestyńskiego domostwa wybudowanego bez stosownego zezwolenia (które w zasadzie jest niemal niemożliwe do uzyskania) na terenach okupowanych przez Izrael. Według ONZ planowane eksmisje Palestyńczyków mogą zostać zakwalifikowane jako izraelskie „zbrodnie wojenne”. Izrael zna jednak słowa Fryderyka II Wielkiego, który trafnie zauważył, że „zwycięzców się nie sądzi”.

Nie bez racji izraelscy politycy zauważają, że ich kraj nie jest jedynym, który jawnie i bezczelnie łamie prawo międzynarodowe. Osiedla budowane przez inne mocarstwa na okupowanych przez nie terenach również są nielegalne. Żydzi wskazują tu choćby na działania

Rosjan na okupowanym przez rosyjskie „zielone ludziki” ukraińskim Krymie czy też osiedlanie się Turków na okupowanej przez turecką armię części Cypru.

Wielu komentatorów uważa, że sprawa eksmisji w Szajch Dżarrah mogła być celowo wykorzystana do sprowokowania zamieszek. Trudno też inaczej nazwać wkroczenie izraelskiej bezpieki w czasie piątkowych ramadanowych modłów do meczetu Al-Aksa na Wzgórzu Świątynnym. Izraelscy policjanci wkroczyli do najświętszego miejsca islamu po Mekce i Medynie i użyli wobec zgromadzonych tam wiernych gazu łzawiącego, gumowych kul oraz granatów hukowych, raniąc ponad 300 Palestyńczyków. W starciach, najczęściej od kamieni oraz petard, rannych zostało też ok. 20 izraelskich policjantów. Pomysł interwencji w takim czasie i w takim miejscu – Wzgórze Świątynne jest świętym miejscem również dla Żydów – musi budzić kontrowersje. Jak można było przewidzieć, że Strefy Gazy bojownicy

Hamasu wystrzelili w odwecie serię rakiet. W ramach zemsty nieporównywalnie potężniejsze izraelskie siły zbrojne przeprowadziły naloty na Gazę, raniąc ponad 700 Palestyńczyków i zabijając ponad 20 osób, w tym ośmioro dzieci. Z ziemią zrównano m.in. trzy ponad 10-piętrowe budynki.

To nakręciło spiralę przemocy – Hamas wystrzelił kolejne rakiety, tym razem nawet w kierunku przedmieść Jerozolimy. W sumie palestyńscy bojownicy wystrzelili ponad 1,5 tys. rakiet. I chociaż zdecydowana większość z nich została przechwycona przez ultranowoczesny izraelski system antyrakietowy, zwany Żelazną Kopułą, a część nawet nie przeleciała ponad granicę, to nawet w regionach Izraela oddalonych od Strefy Gazy pierwszy raz od wojny w roku 2014 słysząc było odgłosy eksplozji.

Nowe krwawe walki kolejny raz mogą uratować skórę od lat oskarżanemu o korupcję Netanjahu. Dzięki wzniesieniu krwawych starć z Palestyńczykami ten

doświadczony polityk ma szansę utrzymać się u władzy. Nie bez powodu on również podkreśla, że sprawa osadników w Szajch Dżarrah to wyłącznie „spór dotyczący nieruchomości”. Po morderczych operacjach izraelskiej armii gratulował jej dowódcę, podkreślając, że kto atakuje Izrael, ten musi płacić bardzo wysoką cenę. – Zarówno siła ataków, jak i ich częstotliwość zostaną zwiększone – ogłosił więc dumny z operacji w Gazie premier Netanjahu.

Widmo nowej palestyńskiej intifady mocno przypomina wydarzenia, które przed laty wyniosły Netanjahu do władzy. Również dziś ten izraelski polityk, który walczy nie tylko o dalszą karierę, lecz także o utrzymanie immunitetu przed odpowiedzialnością karną, może wprost powiedzieć rodakom: jeśli nie chcecie wojny, to musicie znowu postawić na mnie.

Niestety, wojenne nastroje w celach politycznych od lat wykorzystują również liderzy różnych ugrupowań w Autonomii Palestyńskiej, której bojówki bywają na tyle niezorganizowane, że wystrzelują rakiety w takiej odległości od Izraela, że trafiają one jeszcze w budynki na terenach palestyńskich, powodując kolejne ofiary wśród bezbronnej ludności cywilnej. Najwyższe koszty politycznych ambicji zarówno w Strefie Gazy, jak i w Izraelu ponoszą zwykli ludzie, którzy w okresach wojennej zawieruchy muszą, gdy tylko usłyszą syreny, zbiegać do przydomowych schronów – jeśli takie mają – bez gwarancji, że po nalotach lub ostrzale rakietowym będą mieli gdzie wracać.

Pod wpływem agresywnej, wojennej retoryki dochodzi również do żydowskich ataków na arabskie sklepy, a także linczów, których ofiarami padają osoby podejrzewane przez żydowskich agresorów o bycie Arabami. Z drugiej strony w miastach, w których Arabowie stanowią jeszcze istotną mniejszość, na zwykłych izraelskich przechodniów napadają bandy arabskiej młodzieży.

CO ZROBI AMERYKA?

W wielu regionach świata – od Nowego Jorku poprzez Londyn do Rabatu – odbyły się demonstracje przeciw izraelskim nalotom na Strefę Gazy, a także przeciwko izraelskiej okupacji.

Od dziesięcioleci każdy amerykański prezydent marzy o pokojowym rozwiązaniu impasu na Bliskim Wschodzie. Bez skutku. Pokoju nie udało się wynegocjować ani Bushowi, ani Clintonowi, ani Obamie. Z kolei za rządów Donalda Trumpa

Nowy potężny konflikt na Bliskim Wschodzie może również pośrednio negatywnie wpłynąć na bezpieczeństwo Polski

władze w Waszyngtonie bezkrytycznie wspierały politykę Netanjahu. Izrael nigdy wcześniej nie miał w Białym Domu tak wielkiego przyjaciela. Korzystając ze słabości palestyńskich przywódców, Izrael kontynuował więc budowę nielegalnych osiedli i formalnie przeniósł swoją stolicę do Jerozolimy, wykonując ruch, który od początku konfliktu dla Palestyńczyków był absolutnie nie do zaakceptowania. Trump szybko zaś uznał Jerozolimę za stolicę Izraela i przeniósł do niej amerykańską ambasadę. To dzięki Trumpowi przedstawiciele Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Bahrajnu podpisali również z Izraelem porozumienia o normalizacji stosunków dyplomatycznych, co pozbawiło Palestyńczyków ważnej karty w negocjacjach, którą było istotne wsparcie państw arabskich.

Licząc na poparcie amerykańskich Żydów i wygraną w kolejnych wyborach prezydenckich, Donald Trump odciął również Autonomię Palestyńską od amerykańskich środków pomocowych, a palestyńskim liderom zaproponował plan pokojowy pozbawiający ten naród sporej części terenów, które uważają za swoją ojczyznę. Głównym architektem polityki Ameryki wobec Izraela był zięć Trumpa, Jared Kushner, który nigdy nie ukrywał bezwzględnej pomocy dla izraelskiego premiera, którego poznał już jako nastolatek. To właśnie Kushner miał stać za przedstawioną w lutym 2020 r. propozycją, aby do Izraela włączyć zarówno wiele osiedli na Zachodnim Brzegu, jak i Dolinę Jordanu, dzięki której Palestyńczycy mają dzisiaj granicę z Jordanią.

Po zmianie władzy w Białym Domu Palestyńczycy zyskali w Waszyngtonie więcej sojuszników. Niezwykle popularna Alexandria Ocasio-Cortez z Partii Demokratycznej wyraziła na Twitterze poparcie dla eksmitowanych palestyńskich rodzin i oznajmiła, że nawet sojusznicy Ameryki muszą być pociągani do odpowiedzialności za łamanie praw człowieka. Sprzeciwiła się także jednoznacznie wspieraniu przez władze w Waszyngtonie jednej strony, „strony okupującej”.

Administracja prezydencka nie używa już jednak aż tak stanowczego języka i chętnie podejmuje izraelską retorykę. Joe Biden podkreślił więc, że „Izrael ma prawo do samoobrony”, co pięknie wpisuje się w twierdzenia izraelskich władz, które winą za całą przemoc tradycyjnie obarczają palestyńskich bojowników czy wręcz palestyńskich terrorystów. Taki sposób postawienia sprawy łatwo jest sprzedać zachodnim politykom i zachodniej opinii publicznej, trudniej jest w przypadku Polaków czy innych narodów, które stosunkowo do niedawna żyły pod obcą okupacją.

Żeby było jasne, strona palestyńska też używa przemocy. Należy bezwzględnie i jednoznacznie potępiać wystrzeliwanie rakiet przez Hamas w stronę izraelskich cywilów. – Podstawową, nieuniknioną rzeczywistością w samym sercu konfliktu jest asymetria. Jedna strona jest okupantem. Druga strona jest okupowana – zauważa jednak Mehdi Hasan, brytyjsko-amerykański dziennikarz MSNBC, podkreślając, że zarówno zagraniczni dyplomaci, jak i część mediów, odnosząc się do konfliktu, zapominają o tym, że jedna strona nielegalnie okupuje Wschodnią Jerozolimę i Zachodni Brzeg Jordanu. – A my jesteśmy częścią tego problemu – dodał.

Nawet w Białym Domu widoczna jest jednak istotna zmiana: Stany Zjednoczone nie aprobują już bez zastrzeżeń wszystkich działań Izraela i zapowiedziały wysłanie na Bliski Wschód swego specjalnego wysłannika. Urodzony w Bejrucie Hady Amr ma doprowadzić do deeskalacji konfliktu, który grozi wybuchem kolejnej intifady. Niestety, wydaje się pewne, że przemoc umocni ekstremistów po obu stronach konfliktu. W Autonomii Palestyńskiej, której władze są politycznie osłabione przez wciąż odraczane wybory, większą popularność zyska Hamas. Z kolei w Izraelu umocnią się Netanjahu oraz wspierane przez niego organizacje promujące nielegalne osadnictwo na terenach okupowanych. W Jerozolimie – pięknym mieście, w którym znajdują się najważniejsze święte miejsca islamu, judaizmu i chrześcijaństwa – długo nie będzie więc pokoju.

Nowy potężny konflikt na Bliskim Wschodzie może również pośrednio negatywnie wpłynąć na bezpieczeństwo Polski. Gdy USA będą związane w tym regionie świata, nie będą mogły poświęcać sił i środków na ochronę europejskiej wschodniej flanki.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Pojedynek pancernych
bestii na gruzach
Kolonii**

Steve Barnes – **Archipelag zbrodni**

Krzysztof Masłoń – **Świadectwa z nieludzkiej ziemi**

Tomasz Stańczyk – **AK-owcy w łagrach**

Piotr Zychowicz – **Marokańskie gwałty na Włoszkach**

Arkadiusz Karbowski – **Tajemnice Protektoratu**

Mikołaj Iwanow – **Tajna misja Karola Radka w Polsce**

Piotr Semka – **Krucjata Niemców bałtyckich**

Jacek Bartosiak – **Do Anglii znowu daleko**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Polacy to ludzie łagodni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Jak prawica przestała być prawicą



W największych krajach Europy Zachodniej centroprawica jest w rozsypce albo co najmniej w bardzo trudnej sytuacji. W Niemczech CDU Angeli Merkel wraz z bawarską CSU nie może już być pewna pierwszego miejsca w zaplanowanych na wrzesień wyborach do Bundestagu. Czy po rządach „wielkiej koalicji” z centrolewicowym SPD pod przewodnictwem kanclerza z CDU przyjdą czasy koalicji z Zielonymi, w której „chadecji” przyjdzie odegrać rolę mniejszego partnera? Sondaże pokazują, że i takiego scenariusza nie można już wykluczyć. Ostatnie wybory nie były dobre ani dla SPD, ani dla CDU, następne mogą okazać się tragiczne.



Olivier Bault

Głęboki kryzys dawnej chrześcijańsko-demokratycznej prawicy jest efektem długiego procesu, którego początkiem była rezygnacja centroprawicy z jej poglądów i wartości

Tymczasem we Francji pojawia się pytanie o dalsze istnienie partii Republikańskiej (LR), która rządziła pod różnymi szyldami pod przewodnictwem prezydenta Jacques’a Chiraca, a później Nicolasa Sarkozy’ego. Do 2002 r. były to dwie partie: centrowo-liberalny, eurofederalistyczny UDF z jednej strony oraz

bardziej konserwatywny, suwerennościowy RPR, odwołujący się do tradycji gen. de Gaulle’a. Chociaż LR jest nadal największą opozycją we francuskim parlamencie, to dziś niewiele w niej zostało z owej tradycji gaullistowskiej, a w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. lista LR otrzy-

nym poważnym zagrożeniem dla pozycji liberalno-konserwatywnej Ligi jest jeszcze bardziej prawicowa partia Bracia Włoscy (FdI) Georgii Meloni, o profilu narodowo-konserwatywnym.

Z kolei w Hiszpanii, gdzie rządzi lewica wespół ze skrajną lewicą, centroprawicowa Partia Ludowa (PP) odniosła wprawdzie bardzo duże zwycięstwo 4 maja w wyborach w regionie madryckim, ale wybory te tylko potwierdziły fakt, że PP nie jest już w stanie rządzić bez wsparcia bardziej od niej konserwatywnej partii VOX.

Oczywiście istnieją w Europie Zachodniej również takie kraje, gdzie tzw. centroprawica czy „tradycyjna prawica” mają się całkiem dobrze. Tak jest np. w Austrii, dzięki wyraźnemu zwrotowi w prawo narzuconemu Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP) w 2016 r. przez obecnego kanclerza Sebastiana Kurza, który chciał przeciwstawić się w ten sposób coraz silniejszej konkurencji narodowo-liberalno-konserwatywnego FPÖ. Tak jest też w Wielkiej Brytanii, gdzie Partii Konserwatywnej udało się odzyskać siły po rządach Davida Camerona („konserwatywny” premier, który zalegalizował „homomateństwa”) i Theresy May (która nie paliła się do brexitu) dzięki jednoznacznie probrexitowej postawie Borisa Johnsona. Tym samym Johnson częściowo odebrał UKIP i Brexit Party rację bytu. Mimo to poza kwestią obrony suwerenności przed Brukselą Johnson jak najbardziej wpisuje się w lewicujący trend europejskich partii centroprawicowych, co najbardziej widać zarówno w przypadku jego pozytywnego stosunku do wszelkich postulatów lobby LGBT, jak i do zjawiska masowej imigracji oraz budowania społeczeństwa multi-kulti. Nie można zatem wykluczyć ponownego pojawienia się w niedalekiej przyszłości silnego gracza na prawym skrzydle Partii Konserwatywnej.

LICENCJA NA ZABIJANIE

Dominujący dziś obraz tradycyjnych partii prawicowych w dużych krajach Europy Zachodniej to obraz mało wyrazistej, mało konserwatywnej i znikającej centroprawicy, której elektorat stopniowo ucieka albo do partii centrowo-lewicowych, w tym także do Zielonych, albo do tzw. populistycznej prawicy. Owa „populistyczna” prawica jest z reguły bardziej niż lewicująca centroprawica przywiązana do tradycyj-

nych wartości chrześcijańskich, suwerenności kraju i tożsamości narodowej, co odpowiada oczekiwaniom dużej części prawicowego elektoratu. Jak to się stało, że partie odwołujące się kiedyś do demokracji chrześcijańskiej czy po prostu do wartości konserwatywnych tak bardzo zmieniły się w ciągu kilkunastu czy kilkadziesiąt lat, że dziś często nie sposób odróżnić ich od lewicy? Patrząc wstecz, trudno nie odnieść wrażenia, że bardzo ważnym etapem na początku drogi prowadzącej centroprawicę do upadku była zgoda na legalizację aborcji.

Wielka Brytania była w tym zakresie prekursorem, a ma dziś jedną z najbardziej lewicowo-liberalnych partii „konserwatywnych” na Starym Kontynencie. Już w 1967 r., kiedy wydawało się jeszcze, że Partia Konserwatywna zasługuje na swoją nazwę, zalegalizowano tam de facto aborcję na żądanie do 28. tygodnia ciąży, pozwalając na tzw. terminację ciąży w przypadku, gdy zagraża ona zdrowiu psychicznemu matki. Wśród posłów głosujących za ustawą aborcyjną w 1967 r. była posłanka Margaret Thatcher, choć jako późniejszy premier Wielkiej Brytanii pani Thatcher bardziej kojarzy nam się jako polityk reprezentujący twardy, konserwatywny nurt prawicy. Projekt ustawy z 1967 r. był promowany przez posła Partii Liberalnej przy oficjalnie neutralnej postawie rządu Partii Pracy, a w drugim czytaniu uzyskał 223 głosy za przy sprzeciwie tylko 29 głosów. Jak widać, również w Partii Konserwatywnej mało kto był gotów przeciwstawić się wprowadzeniu rewolucyjnego prawa do mordowania dzieci w łonie matki w imię źle rozumianej wolności. W latach 1979–1980 Margaret Thatcher, najpierw jako posłanka, a potem jako premier rządu Jej Królewskiej Mości, wstrzymała się od głosu, kiedy posłowie jej partii proponowali skrócenie terminu 28 tygodni, przed których upływem kobieta może dokonać aborcji. Zwieńczeniem postawy tzw. Partii Konserwatywnej wobec aborcji było zdarzenie, które miało miejsce wiele lat później: obecny rząd Borisa Johnsona wykorzystał kryzys polityczny w Irlandii Północnej i brak posiedzenia tamtejszego parlamentu do narzucenia tej prowincji Zjednoczonego Królestwa legalizacji aborcji na żądanie oraz „homomateństw”.

We Francji to właśnie za prezydentury teoretycznie konserwatywnego katolika Valéry’ego Giscarda d’Estaing prezydent i premier Jacques Chirac ulegali coraz

mała zaledwie ponad 8 proc. głosów. Z kolei nadchodzące czerwcowe wybory do rad regionów już owocują odejściem ważnych postaci centroprawicy do obozu prezydenta Emmanuela Macrona bądź do Zjednoczenia Narodowego (RN) Marine Le Pen.

We Włoszech natomiast centroprawicowa Forza Italia (FI) Silvia Berlusconi’ego nie musi co prawda martwić się o swoje dalsze istnienie – tak jak w przypadku jej francuskiej odpowiedniczki – ale po wyborach w 2018 r. FI została relegowana do roli najmniejszego partnera prawicowego bloku, w którym prym wiedzie Liga Mattea Salvini’ego. Dziś, w ramach włoskiej prawicy (którą Włosi nazywają „centroprawicą”), jedy-

silniejszym naciskom lewicy, zwłaszcza lewicy reprezentującej świata mediów i kultury. W 1975 r. doprowadzili oni do legalizacji aborcji na żądanie do 10. tygodnia ciąży. Giscard d'Estaing chciał być prezydentem młodym i nowoczesnym. Poza legalizacją aborcji wprowadził do francuskiego prawa rozwody za obopólną zgodą stron, co miało ułatwiać procedury rozwiązywania małżeństw. To także za jego prezydentury wprowadzono we Francji możliwość przegrupowania rodzin imigranckich, tj. prawo do imigracji dla członków rodzin imigrantów już zamieszkających we Francji. O decyzji tej, brzemienną w skutkach dla przyszłości Francji, były prezydent Francji powiedział u kresu swego życia, w 2018 r., że brak kontroli nad skutkami przegrupowania rodzin imigranckich jest tym, czego najbardziej żałuje w całej swojej karierze politycznej. Jednakże kolejne rządy centroprawicy we Francji, aż do prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego w latach 2007–2012, nie dążyły w żaden sposób do ograniczenia masowej imigracji. Podobna sytuacja ma miejsce w Wielkiej Brytanii, gdzie po latach niewywiązywania się torysów z obietnicy wyborczej w tej materii rząd premiera Borisa Johnsona oficjalnie zrezygnował z postulatu ograniczania imigracji netto w Wielkiej Brytanii do kilkudziesięciu tysięcy (zamiast kilkuset tysięcy) dodatkowych imigrantów rocznie.

MILCZĄCA ZGODA

W Niemczech, po wielkim kryzysie migracyjnym w 2015 r., wszyscy wiedzą, jaki jest stosunek rządów „chadeków” do masowej imigracji. Jeśli różni ich w tej sprawie coś od lewicy, to tylko kwestia niuansów. Natomiast jeśli chodzi o historię legalizacji aborcji, to w zachodniej części kraju, tj. w RFN, aborcję zalegalizowano pod rządami lewicowego SPD w 1976 r., a w zasadzie wpisano do prawa zasadę, że aborcja nie będzie ścigana w przypadku, gdy do niej dochodzi w pierwszych 12 tygodniach ciąży, a kobieta jest w trudnej sytuacji socjalnej lub emocjonalnej. W 1992 r., po zjednoczeniu Niemiec, uchwalono jeszcze bardziej liberalne prawo zezwalające na aborcję na żądanie przez pierwsze trzy miesiące ciąży, a stało się to pod rządami CDU-CSU, gdy kanclerzem był Helmut Kohl.

We Włoszech to lewica, dysponująca większością głosów w parlamencie, doprowadziła do legalizacji aborcji

w 1977 r. przy sprzeciwie chrześcijańskiej demokracji (DC) oraz postfaszystowskiej, konserwatywnej prawicy (MSI). Jednak późniejsze rządy centroprawicy nie interesowały się już tą kwestią i to dopiero bardziej prawicowe partie – Liga oraz Bracia Włoscy – promują dziś ochronę życia od poczęcia, ale bez postulatu zdelegalizowania aborcji na żądanie. A w Hiszpanii centroprawica, czyli Partia Ludowa (PP), przez lata przysmykała oko na fakt, że choć aborcja na żądanie była formalnie nielegalna, to zapis prawny o możliwości aborcji do samego końca ciąży w przypadku zagrożenia zdrowia psychicznego kobiety doprowadził do sytuacji, w której kobiety z całej Europy jeździły do hiszpańskich prywatnych klinik aborcyjnych, gdzie możliwe były późne aborcje za stosowną opłatą. W 2010 r. socjalistyczny rząd José Luisa Zapatero wykorzystał fakt wybuchu kolejnych skandali na tym tle, aby oficjalnie zalegalizować aborcję na żądanie do 12. tygodnia, choć nie stanowiło to części jego wcześniejszego programu wyborczego.

Za to centroprawicowa Partia Ludowa jeszcze w 2011 r. szła do wyborów z obietnicą zniesienia nowej ustawy aborcyjnej, następnie długo z tą decyzją zwlekała, a pomimo że sondaże pokazywały, iż partia ta może stracić znaczną część swojego konserwatywnego elektoratu, jeśli nie wywiąże się z tej obietnicy, to centrowo-liberalny premier Mariano Rajoy, w obliczu zmasowanego ataku ze strony lewicowych mediów, postanowił w 2014 r. ostatecznie wycofać projekt ustawy mający na nowo zdelegalizować aborcję na żądanie oraz aborcję eugeniczną. Od tej pory PP nie postuluje już zakazu aborcji, a powstała na prawym skrzydle PP konserwatywna partia VOX jest jedyną liczącą się hiszpańską partią o profilu wyraźnie pro-life. We Francji i w Niemczech to także na prawo od centroprawicy należy szukać głosów krytycznych wobec zbyt liberalnego prawa aborcyjnego, a sama centroprawica albo popiera kolejne liberalizacje prawa aborcyjnego, albo woli milczeć i nie brać udziału w głosowaniach.

Po ogłoszeniu przez Rajoya całkowitej kapitulacji na polu bitwy o prawo do życia od poczęcia hiszpańska Partia Ludowa poszła za ciosem i przekształciła się już całkiem w partię liberalno-lewicową. W 2017 r. parlamentarzyści z PP głosowali razem z lewicą za bezpłatnym

równym dostępem do aborcji w całym kraju. Wcześniej, bo w 2016 r., rządząca w regionie madryckim PP przegłosowała „ustawę o tożsamości i ekspresji płciowej, o równości społecznej i o braku dyskryminacji”, narzucając ideologię gender w szkołach i ograniczając wolność słowa ludziom o poglądach konserwatywnych pod pretekstem walki z nienawiścią.

WIELOLETNI PROCES

We Francji proces przekształcenia się tradycyjnej konserwatywnej, gaulistowskiej prawicy w liberalną lewicę był bardziej rozłożony w czasie, ale po pierwotnym akcie tchórzostwa z 1975 r. do postulatu obrony prawa do życia od poczęcia francuska centroprawica nigdy już nie wróciła. A co do zmian kolejno wprowadzanych przez lewicę, to francuska centroprawica systematycznie je oprotostowuje, gdy jest w opozycji, aby je później zatwierdzić jako rzekomo nieodwracalne po powrocie do władzy lub przy okazji kolejnych kampanii wyborczych. Tak było ze związkami cywilnymi dla homoseksualistów ustanowionymi przez socjalistycznego premiera Lionela Jospina w 1999 r. i tak było również z „homomałżeństwami” wprowadzonymi do francuskiego prawa w 2013 r. za prezydentury socjalisty François Hollande'a.

Większość prawicowego elektoratu we Francji gotowa byłaby się założyć, że będzie tak samo z kolejnymi rewolucjami promowanymi przez rządzącą obecnie liberalną lewicę. Chodzi między innymi o in vitro dla lesbijek, eutanazję i inne tego typu nowinki, do których centroprawica nie zdołała jeszcze przywyknąć. Jeśli chodzi natomiast o Niemcy, to wystarczy przypomnieć, że legalizacja „homomałżeństw” tuż przed wyborami z 2017 r. była inicjatywą samej Angeli Merkel. „Chadekom” zresztą wcale to nie pomogło, gdyż uzyskali i tak najgorszy wyborczy wynik w historii CDU-CSU, a w tym roku uzyskają prawdopodobnie wynik jeszcze gorszy.

W krajach, w których dawna prawica chrześcijańsko-demokratyczna stopniowo zrezygnowała z własnych poglądów i wartości w imię politycznej poprawności lub też, aby przypodobać się mainstreamowemu mediom zdominowanym przez lewicę, straciła ona po prostu rację bytu, a obecny jej kryzys jest tylko zwieńczeniem trwającego od wielu lat procesu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ESESMANI Z EMERYTURAMI BEZ PODATKU

Jak wynika z informacji opublikowanej na stronach izby niższej niderlandzkiego parlamentu, 30 byłych esesmanów wciąż otrzymuje w tym kraju emerytury wojskowe wypłacane z Niemiec. Niektórzy z nich dostają rocznie nawet 16 tys. euro. Tymczasem zaledwie 20 proc. z nich zgłaszało ten dochód holenderskim organom skarbowym. Proceder był możliwy, bo Niemcy latami odmawiali holenderskim służbom skarbowym przekazania informacji o esesmanach i ich poborach.

FOT. ADAM STOK

KROWIE ŁAJNO NIE DZIAŁA NA COVID-19

Lekarze w Indiach – gdzie sytuacja z zakażeniami koronawirusem i zgonami jest bardzo trudna – wydali oficjalne ostrzeżenie przed stosowaniem przeciw krowiego łajna. Chodzi głównie o stan Gudżarat, w którym część mieszkańców wierzy, że pokrycie ciała raz w tygodniu odchodami zwierząt chroni przed zakażeniem koronawirusem. Krowie łajno od setek lat uważane jest w tym kraju za środek o właściwościach leczniczych.

PIŁKARSKI WYŁOM PŁCIOWY

Niderlandzka federacja piłkarska (KNVB) wydała komunikat, podkreślając „historyczny moment dla amatorskiej piłki nożnej, nie tylko holenderskiej, lecz także światowej”. Chodzi o to, że przestanie się zwracać uwagę na płeć w drużynach rozgrywek na amatorskim szczeblu. I tak w męskiej drużynie – VV Foarút – zagrała już pierwsza pani: Ellen Fokkema. „Chcemy, by dziewczęta i kobiety, mające takie same ambicje jak mężczyźni, mogły

znaleźć odpowiednie miejsce w piłkarskim krajobrazie” – stwierdził dyrektor KNVB.

EKOŁODZY CHRONIĄ ŚNIEG

Włoscy obrońcy środowiska w akcji. Ponieważ chcą ograniczyć energię potrzebną do sztucznego naśnieżania stoków narciarskich, po sezonie od kilku lat w Livigno rozpoczynają magazynowanie białego puchu w ramach rozpoczętego projektu Snowfarm. Składowisko śniegu na polanie przykrywane jest trocinami i materiałami odbijającymi promienie słoneczne.

CICHO, TO TYLKO LAMPART

Z parku safari w chińskim mieście Hangzhou uciekły trzy lamparty. Dyrekcja parku informację o tym trzymała w tajemnicy. Ludzi ostrzeżono dopiero po tygodniu, gdy na wolności pozostawało już tylko jedno zwierzę. To rozwścieczyło mieszkańców i media – bo miasto zamieszkuje ok. 10 mln osób i w dodatku akurat trwały pięciodniowe obchody dni pracy, na które przyjeżdża wielu turystów. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bidena strach przed Bogiem



JACEK PRZYBYLSKI

Prezydent USA w wystąpieniu ogłaszającym doroczny Narodowy Dzień Modlitwy wspominał o „poszukiwaniu siły, nadziei i prowadzenia”, „balsamie modlitwy”, mówił o zmaganiach z „niesprawiedliwością rasową” i o „egzystencjalnym zagrożeniu zmianami klimatycznymi”, pięknie wzywał też do „zjednoczenia się w modlitwie”.

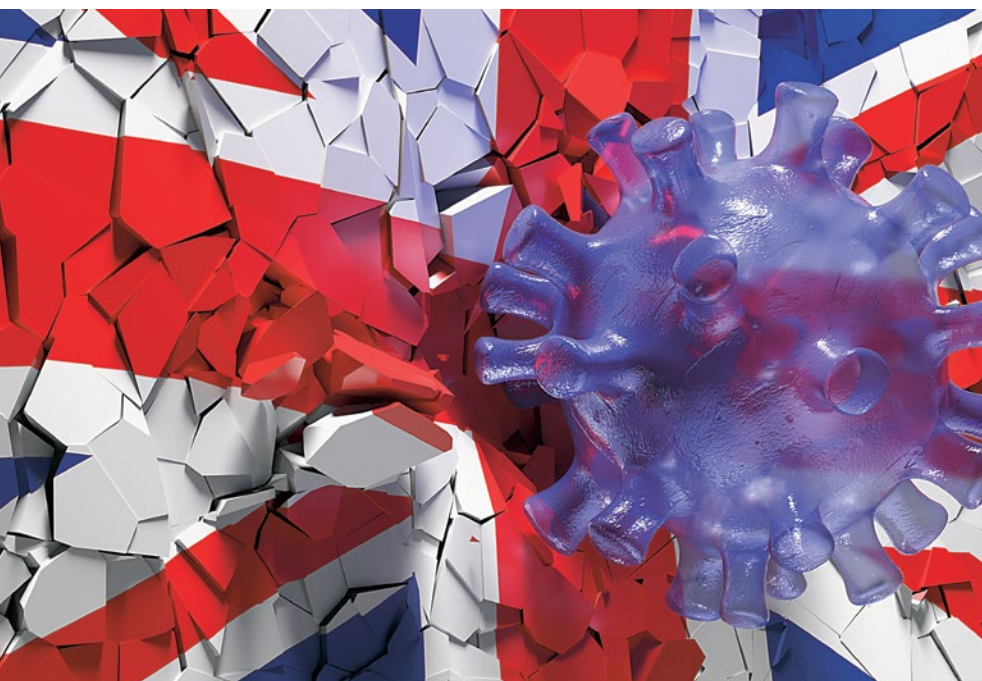
Joe Biden przy okazji Narodowego Dnia Modlitwy ani razu nie użył jednak słowa Bóg. Jest to o tyle symboliczne, że tym samym stał się pierwszym przywódcą Ameryki, który nie wspominał o Bogu od 1952 r., gdy Kongres ustano-

wił Narodowy Dzień Modlitwy, a Harry Truman – prezydent z Partii Demokratycznej – podpisał prawo dotyczące dnia, w którym „ludzie zwracają się do Boga w modlitwie i rozważaniach, w świątyniach, w grupach i indywidualnie”. Trudno byłoby w tym przypadku bronić się niechęcią do faworyzowania konkretnego wyznania, bo w Narodowym Dniu Modlitwy co roku biorą udział chrześcijanie, muzułmanie, żydzi, sikhowie oraz hinduiści.

Nie pierwszy raz Joe Biden pokazuje, jak bardzo polityczna poprawność odbiera lewicowym politykom zdrowy rozsądek. W przemówieniu wielkanocnym Joe Biden apelował:

„Niech Bóg błogosławi was wszystkich. Niech Bóg strzeże naszych żołnierzy – i opiekuje się zajączkiem wielkanocnym”. Lewicowy prezydent ani razu podczas wielkanocnego orędzia nie wspominał jednak o Jezusie Chrystusie.

Niewykluczone więc, że wkrótce Narodowy Dzień Modlitwy zostanie uznany za nielegalny. Niepoprawne będzie też wspomnianie, dlaczego świat obchodzi Wielkanoc i Boże Narodzenie. Pytanie tylko, co z dewizą „In God We Trust”. I jaka tragedia musi spotkać Amerykę, by wreszcie przypomniała sobie o Bogu? ©©



Jak uratować Wielką Brytanię



Teresa Stylińska

„Jeżeli nie zdołamy zreformować i zmienić naszego kraju, to Wielka Brytania podzieli los imperium brytyjskiego. W podręcznikach historii będzie opisywana jako anachroniczny twór, którego czas przeminął” – przewidywał niedawno na łamach tygodnika „New Statesman” były premier Gordon Brown. Jego zdaniem upadek może nastąpić w ciągu 10 lat

Czy Wielka Brytania (pozostaliśmy przy tej powszechnie używanej nazwie, choć ściśle mówiąc, chodzi o Zjednoczone Królestwo, na które poza Wielką Brytanią, czyli Anglią, Szkocją i Walią, składa się także Irlandia Północna) rzeczywiście może zniknąć z mapy Europy, tak jak niegdyś Czechosłowacja i Jugosławia? Byłby to pewnie rozpad aksamitny, à la Czechy i Słowacja, nie zaś krwawy, jak na Bałkanach. Ale cóż

z tego? Otwierałby nowy rozdział, pełen niewiadomych, które stanowią pochodną paru spraw doskonale znanych.

Oto one: Szkoci nie rezygnują z myśli o własnym państwie, które mieli do XVII w. W Irlandii Północnej rosną nadzieje na zjednoczenie z Irlandią. W Walii, gdzie separatyzm jest najsłabszy, mimo wszystko już blisko 40 proc. ludzi popiera ideę niepodległości. A Anglicy, najliczniejsi, tracą chyba cierpliwość,

bo coraz częściej słyszy się opinie, że na resztę kraju należy machnąć ręką.

Ostrzeżeń Gordona Browna nikt więc nie lekceważy. Rząd Borisa Johnsona powołał ostatnio Union Strategy Committee, czyli komitet, który ma pracować nad strategią ratowania unii brytyjskiej. A po przeprowadzonych 6 maja wyborach do regionalnych parlamentów Szkocji i Walii zaprosił premierów obu regionów na, jak to określono, „union summit” – spotkanie na szczycie poświęcone przyszłości unii. Zaproszeni mają być także premier i wicepremier rządu Irlandii Północnej, będący zarazem przywódcami społeczności protestantów i katolików.

KLUCZ LEŻY W SZKOCJI

Gdyby Szkocka Partia Narodowa (SNP) wygrała wybory ze zdecydowaną przewagą, premier Nicola Sturgeon, nie zwlekając, zażądałaby przeprowadzenia drugiego referendum w sprawie niepodległości. Rząd w Londynie oczywiście by się nie zgodził. Wówczas pojawiłoby się pytanie, jak daleko posunie się Szkocja. Czy może pójść drogą katalońską i ogłosić niepodległość jednostronnie?

Tak się jednak nie stało. SNP wygrała, zdobyła 64 mandaty i nadal będzie rządzić, ale do większości w 129-osobowym szkockim parlamencie zabrakło jej jednego mandatu. Dlatego Nicola Sturgeon wypowiada się łagodniej. Premierowi Johnsonowi, według rzeczniczki SNP, powiedziała wprawdzie, że „referendum to nie jest kwestia czy, lecz kiedy”, zaznaczyła jednak, że jest to temat na czas po pandemii. Zagrożenie przynajmniej odsunęło się w czasie.

Unia Szkocji z Anglią, która wcześniej, już w XV w., wchłonęła Walię, została zawiązana w 1707 r. Sto lat później dołączono podbitą Irlandię, dziś pozostała już tylko Irlandia Północna. Każda z części składowych państwa brytyjskiego ma swoje powody, by je kwestionować, Szkoci są jednak, przynajmniej mentalnie, najbardziej zaawansowani na drodze do niepodległości. I to w ich rękach leży klucz do przyszłości unii.

Zapewne tak by nie było, gdyby Szkocja nie zachowała odrębności, i to w wymiarze fundamentalnym. Ma własny system sądownictwa, własne prawo, w przeciwieństwie do angielskiego oparte na prawie rzymskim, odrębne szkolnictwo, swój Kościół Szkocji i własny bank centralny. Szkoci zawsze podkreślają, że ich wkład we wszystkie

sfery wspólnego brytyjskiego życia, poczynając od kultury i nauki, a kończąc na podbojach i administrowaniu imperium, był ogromny, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, jak małym są narodem (dziś 5 mln, przy 53 mln Anglików). Są przy tym dumni ze swej wspaniałej przeszłości, pielęgnują pamięć zwycięstw i klęsk. Kochają symbole – każda manifestacja to morze biało-niebieskich flag z krzyżem św. Andrzeja, patrona Szkocji – i nienawiść Anglii.

Dążenia północnoirlandzkich katolików i urazy Szkotów nie są niczym nowym. Animozie tłą się od zawsze. Aby nad tym zapanować, pod koniec lat 90. przeprowadzono dewolucję, jak określono przekazanie regionom części uprawnień władz centralnych. Każdy region otrzymał własny parlament i rząd, w których gestii znalazły się m.in. ochrona zdrowia i oświata, ale także świadczenia socjalne, komunikacja i transport.

NAJPIERW BREXIT, POTEM PANDEMIA

Dewolucji towarzyszyły nadzieje – w regionach oczywiste. W Londynie zaś zakładano, że uśmierzy ona tendencje odśrodkowe i wytrąci separatystom broń z ręki. Szkoci, Walijczycy i mieszkańcy Ulsteru mieli nabrać poczucia, że swymi sprawami mogą kierować całkowicie sami, bez ingerencji z zewnątrz. Rzeczywistość czasami zadawała temu kłam, bo sytuacja w Irlandii Północnej kilkakrotnie zmusiła Londyn do przejęcia władzy. W ogólnym obrazie jednak był to wyjątek, podyktowany specyfiką Ulsteru.

Cóż z tego jednak, skoro rachuby zawiodły? Dewolucja nie okazała się cudowną receptą. Wprost przeciwnie: rozbudziła nadzieje na więcej. Separatysty zyskiwali coraz więcej zwolenników i w kolejnych wyborach coraz więcej głosów. Szkocka Partia Narodowa objęła władzę w 2007 r., zaledwie osiem lat po pierwszych wyborach do parlamentu w Edynburgu, i od tego czasu zawsze zwycięża. Plaid Cymru (Partia Walii), głosząca hasło niepodległości, jest drugim, po Partii Pracy, ugrupowaniem w walijskim parlamencie. W Irlandii Północnej, prowincji niewygasłego konfliktu proirlandzkiej społeczności katolickiej z probrytyjską protestancką, postępowała radykalizacja: partie umiarkowane traciły, radykalne zyskiwały. Działo się tak, bo każda ze stron uważała, że ekstremiści – katolicka Sinn Féin i protestancka

Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP) – lepiej będą jej bronić.

Być może sprawy rozwijałyby się powoli jeszcze przez długi czas, gdyby nie dwa czynniki, które odegrały rolę katalizatorów: brexit i pandemia. Szkoci i ulsterscy katolicy głosowali w większości przeciwko brexitowi. Skoro jednak stał się faktem, secesja to dla Szkotów jedyny sposób, by wrócić do UE. Dlatego szkoccy nacjonaliści tym usilniej domagają się drugiego referendum, z nadzieją, że wynik będzie inny niż w 2014 r., gdy suwerenność poparło tylko 44,7 proc. głosujących.

Inaczej ma się sprawa z Irlandią Północną. Po brexicie jako jedyna część składowa Wielkiej Brytanii pozostała w obrębie jednolitego rynku europejskiego. Powstanie granicy celnej oddzielającej ją od reszty kraju – co skądinąd do głębi wzburzyło protestanckich unionistów – sprawiło, że granica wewnątrzirlandzka, między Ulsterem a republiką, zaczęła poniekąd się zacierać. W ten sposób kwestia zjednoczenia obu części Irlandii nieoczekiwanie nabrała rumieńców.

Zawarte w 1998 r. porozumienie wielokpiątkowe, które położyło kres terrorowi i ustaliło zasady zarządzania

**W sytuacji
dość namacalnego
zagrożenia dla unii
rząd Borisa Johnsona
nie chce niczego zaniedbać**

prowincją, dopuszcza zjednoczenie, ale pod warunkiem że poprze je większość mieszkańców. Do tej pory było to nierealne. Gdy powstawała Irlandia Północna – dokładnie sto lat temu, 3 maja 1921 r. – katolicy stanowili jedną trzecią jej mieszkańców. Dziś stanowią 41 proc., prawie tyle, ilu jest protestantów. Nic dziwnego, że zdaniem wielu z nich zjednoczenie jest nie tylko pewne, lecz także bliskie. Za 10 lat może jeszcze nie, ale w ciągu ćwierćwiecza dokona się na pewno. Takie wyniki przynoszą sondaże z ostatnich tygodni.

DROGI I KOLEJE, SŁOWO I MOST

Pandemia, choć może się to wydać dziwne, też ma pewien udział w rozluź-

nianiu brytyjskich więzów. To dlatego, że każdy z regionów miał swobodę działania. Ich władze, bez oglądania się na innych, same decydowały, co robić, jak i kiedy. I okazało się, że dają sobie radę, często o wiele lepiej niż Anglia. Zwalczanie koronawirusa stało się egzaminem z samodzielności, i to dobrze zdanym. Skoro tak, to może lepiej być osobno i polegać tylko na sobie?

W sytuacji dość przecież namacalnego zagrożenia dla unii rząd Borisa Johnsona nie chce niczego zaniedbać. Konkretnie plany mają zostać ogłoszone w najbliższych dniach, możliwe nawet, że pewne idee znajdą się w mowie tronowej królowej Elżbiety. Na razie widowym symbolem, podkreślającym istnienie unii i wspólnoty, jest eksponowanie brytyjskiej flagi, która pojawia się coraz częściej, a od lata ma obowiązkowo wisieć na wszystkich budynkach publicznych.

Rząd, jak w takich sytuacjach bywa, ma sięgnąć po wypróbowany sposób: pieniądze. Z poufnych informacji, podawanych przez media, wynika, że strategiczne plany przewidują dofinansowanie regionów, ale nie za pośrednictwem władz regionalnych, lecz bezpośrednio z Londynu. Chodzi o to, by Szkoci, Walijczycy i mieszkańcy Ulsteru nabrali świadomości, że pozostanie w unii niesie ze sobą wymierne korzyści, należy więc ją doceniać. Gdyby pieniądze przekazywano władzom regionalnym do rozdysponowania według własnej woli, związek tych środków z uczestnictwem w unii na pewno by się zatarł.

Środki wyasygnowane przez Londyn mają być dobrze widoczne, bo ich przeznaczenie to przede wszystkim infrastruktura komunikacyjna – drogi i koleje. Najbardziej oryginalny projekt, o którym zresztą pisze się już od pewnego czasu, przewiduje budowę mostu lub podwodnego tunelu, który połączyłby Szkocję z Irlandią Północną.

W tej walce liczy się też słowo. W Szkocji zaangażowani przez rząd dziennikarze mają przekonywać do brytyjskiej unii, przez małe „u”. W Brukseli i państwach UE mają to robić, dyskretnie, dyplomaci – przekonując, że Unii, przez duże „U”, wolna Szkocja do niczego się nie przyda.

Te nieo makiaweliczne zabiegi zwiastują ciekawe czasy. To pewne. Chyba że Boris Johnson zdoła zacieśnić unię na planowanym szczycie – choć to jest akurat niepewne.

Wielcy regulują, mali płacą



Łukasz Warzecha

Unijne regulacje coraz mocniej ingerują w nasze życie. Narzucają nam rozwiązania w odkurzacach, żarówkach i samochodach

Czy kupowali państwo ostatnio nowy odkurzacz? Czy mają państwo wrażenie, że ciągnie gorzej niż poprzedni, kupiony, dajmy na to, dekadę temu? Czy przyglądali się państwo mocy starego i nowego odkurzacza? Tutaj tkwi odpowiedź: Unia Europejska i w tej sprawie postanowiła nas uszczęśliwić, ograniczając moc odkurzaczy. Takich spraw jest jednak znacznie więcej.

Wiele regulacji tego typu ma źródło w klimatyczno-energetycznej obsesji UE, a właściwie w oficjalnej klimatycznej religii wspólnoty (patrz: tekst w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy”). Nie inaczej jest w przypadku odkurzaczy. Motywacją

było oszczędzanie energii. Odkurzacom robiono krzywdę dwukrotnie, największy szok przeżył zatem ten, kto miał sprzęt sprzed 2014 r., gdy moc ograniczono po raz pierwszy, a nowy odkurzacz kupował po 2017 r., gdy nastąpiło drugie ograniczenie. Między 2014 a 2017 rokiem można było jeszcze kupić sprzęt o mocy do 1600 watów. Od niespełna czterech lat – już tylko do 900 watów.

Jak łatwo się domyślić, to niejedyny wymóg. Unijni burokraci nie byłiby sobą, gdyby nie stworzyli całego katalogu warunków, które musi spełniać sprzęt. Mamy tam więc normę emisji kurzu, hałasu, żywotności. Gdy zbliżała się zmiana, producenci zapewniali – co też nie było zaskoczeniem – że nowe odkurzacze nie będą pracować gorzej, a nawet poradzą sobie lepiej. Problem, tak jak w przypadku innych wymuszanych przez UE zmian, polega na tym, że nie pozostawiono klientom wyboru. Wszak oszczędność prądu jest sama w sobie poważnym argumentem. Można założyć, że oszczędniejsze odkurzacze w warunkach czysto rynkowych znalazłyby wielu nabywców i w ten sposób zmiana dokonywałaby się naturalnie. Unia

jednak nie jest zwolennikiem takich mechanizmów. Zmianę parametrów odkurzaczy wprowadzono rozporządzeniem.

Jeśli jednak ktoś jest zdeterminowany i ma miejsce w domu, to wcale nie jest skazany na urządzenie żyłujące swój maksymalnie 900-watowy silnik. Już za ok. 200 zł można sobie kupić odkurzacz rozwijający całe 2000 watów. Tyle że będzie to tzw. odkurzacz przemysłowy, a więc dość pękaty. Poza tym jednak całkiem sprawny i wyposażony we wszystko, co odkurzacz mieć powinien.

Czy czegoś to państwu nie przypomina? Ależ tak – żarówki! To już nienowa historia. UE zakazywała stopniowo sprzedaży żarówek o coraz niższej mocy – najpierw 100 W, potem 75 W, następnie 60 W, aż w końcu od 2012 r. zakazano w ogóle sprzedaży żarówek z tradycyjnym wolframowym żarnikiem. Na stronach Parlamentu Europejskiego można do dzisiaj znaleźć w dziale „Euromity” (tak, jest taki dział) krótką wzmiankę za tytułowaną „Zakaz sprzedaży zwykłych, tradycyjnych żarówek nieenergooszczędnych to spisek lobbystów”. Autorzy notki wyjaśniają, że zakaz to samo dobro, bo

pozwała oszczędzać energię. Nie ma więc mowy o żadnych „spiskach”, jedynie o dobru planety i klientów.

WROBIENI W ŚWIETŁÓWKI

Nad tą sprawą warto zatrzymać się na dłużej i zastanowić się, jaki to „mit” eurokraci obalili. Dopiero od 2011 r. istnieje w PE spis lobbystów oraz organizacji chcących wpływać na uchwalane prawo. Przy Parlamencie zarejestrowanych jest obecnie ponad 7,5 tys. lobbystów. Stwierdzenie o „spisku lobbystów” to klasyczne stawianie tzw. chochoła: obalamy twierdzenie w oczywisty sposób absurdalne i uznajemy sprawę za załatwioną. Nikt poważny jednak nie mówi o żadnym „spisku” w sensie tajnej umowy między lobbystami a europosłami, ale o tym, że lobbyści – i ci zarejestrowani, i ci działający całkowicie nieoficjalnie – starają się wpływać na przyjmowane regulacje. I czasami są w tym niesamowicie skuteczni. Dobro i komfort obywateli UE nie ma tu znaczenia.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie postawi tezy, że wspomniany zakaz sprzedaży tradycyjnych żarówek nie oznaczał gigantycznych zmian dla oświetleniowych potentatów, takich jak Osram (ponad 3 mld euro przychodów) czy Signify, wcześniej funkcjonujące jako Philips Lighting (6,5 mld euro). Lobbyści nie „spiskują”, tylko wpływają na kształt prawa, a jeśli można to połączyć z dobrze się sprzedającą ideą polityczną – oszczędność energii, ochrona środowiska – to tym łatwiej przepchnąć korzystne dla danego sektora, a nawet pojedynczej firmy rozwiązanie. Korzyść jest obustronna: polityk może się pochwalić, że zrobił coś znowu „dla dobra planety”, a dana firma ma ułożony pod siebie przepis.

Problem z zakazem korzystania z tradycyjnych żarówek polegał na tym, że – pomijając samą zasadność wprowadzania ogólnych restrykcji tego typu – został on przeforsowany o wiele za wcześnie. W 2012 r. w sklepach realną alternatywą dla tradycyjnego oświetlenia były tylko drogie energooszczędne (w teorii) świetlówki kompaktowe. Była to niedojrzała technologia, która okazała się ostatecznie ślepą uliczką. Produkcja takich świetlówek była dla środowiska znacznie szkodliwsza niż tradycyjnych żarówek, ze względu na wykorzystywaną w nich rtęć. Rtęć była też potencjalnym zagrożeniem dla użytkowników. Światło z takich źródeł okazało się szkodliwe dla oczu, a trwałość świetlówek

– znacznie niższa od reklamowanej, bo nie nadawały się one do wielokrotnego włączania i wyłączania. W dodatku powoli osiągały nominalne natężenie światła (musały się „nagrząć”, tak jak kiedyś kineskopowy telewizor). Owszem, pojawiały się wtedy pierwsze żarówki LED, które tych wad nie mają, ale były wówczas koszmarnie drogie i miały niskie natężenie światła. Wypierać kompaktowe świetlówki zaczęły dopiero kilka lat temu.

Jeszcze w 2009 r. ówczesny europoseł Konrad Szymański wskazywał w PE na rezultaty badań naukowców z Wydziału Chemicznego Politechniki Rzeszowskiej, którzy na kompaktowych świetłówkach nie pozostawili suchej nitki. Szymański pytał m.in., dlaczego w procesie wycofywania z rynku żarówek tradycyjnych marginalizuje się kwestię szkodliwego wpływu związków rtęci zawartych w świetłówkach kompaktowych; czy analizowano wpływ świetlówek na wzmaganie się u ludzi jaskry, depresji, a także negatywny wpływ na ludzi chorujących na migrenę i padaczkę; jakie jest zagrożenie związane z uszkodzeniem jednej świetlówki w gospodarstwie domowym dla jej użytkowników oraz dlaczego podejmowano decyzję o wycofaniu termometrów rtęciowych, jednocześnie zmuszając ludzi do korzystania ze źródeł światła zawierających rtęć. Padło także pytanie, czy zakładana oszczędność energii nie zostanie pochłonięta przez zwiększone jej zużycie przy produkcji i utylizacji żarówek energooszczędnych. Mimo tych wątpliwości, sygnalizowanych przecież nie tylko przez polskiego europosła, rozporządzenie weszło w życie.

Jeśli natomiast chcemy, to tradycyjne żarówki nadal możemy kupić, i to praktycznie o dowolnej mocy – do zastosowań przemysłowych. Mało kto się na to decyduje, bo źródła światła LED są znacznie oszczędniejsze i trwalsze, można im nadawać różną barwę, mają też wersje ściemniane. Pytanie – retoryczne – brzmi: Czy technologia LED nie wyparłaby żarówek z żarnikiem sama z siebie, bez ogólnego zakazu? LED-y są po prostu praktyczniejsze. Po co w takim razie było rozporządzenie? Trudno to sobie wytłumaczyć inaczej niż tym, że część decydentów działała z pobudek ideologicznych, a przy okazji ktoś na tym miał zarobić. I zarobił.

SAMOCHODOWA DEGENERACJA

Najgorszą masakrę zafundowali jednak unijni decydenci tym, którzy chcą

kupić nowy samochód. Chyba w żadnej dziedzinie unijne ekoszaństwo nie objawia się tak drastycznie jak właśnie w motoryzacji. Śrubowane bez opamiętania i śladu refleksji normy emisji spalin (najnowsza, Euro 6d, obowiązująca od początku tego roku, choć dotyczy monitorowania funkcjonowania aut, a nie nowych restrykcji co do emisji) spowodowały już, że w Europie niedostępnych jest wiele wersji silnikowych, które można bez problemu kupić w USA, Azji czy Australii. Aut klasy innej niż luksusowa z silnikiem powyżej 2 litrów właściwie już nie ma. Mało tego – możliwe, że część marek, dla których Europa nie jest pierwszorzędnym rynkiem, pójdzie w ślady Mitsubishi i po prostu z UE się wycofa. To kwestia kalkulacji – żeby sprostać nonsensownym wyśrubowanym normom emisji spalin, trzeba albo opracowywać napęd specjalnie na europejski rynek (np. miękką hybrydę), co oczywiście kosztuje, ale nawet wtedy trudno osiągnąć wymagane parametry; albo płacić kary za nadmierną emisję. Niektórym firmom to się po prostu nie będzie opłacać.

Już dzisiaj entuzjaści motoryzacji narzekają, że w salonach można kupić samochody z silnikami od kosiarki (poza autami luksusowymi, ale to inna opowieść). Trwałość wyśrubowanych i wysiłonych jednostek napędowych pozostawia wiele do życzenia, a tym samym powstaje pytanie, czy faktycznie chodzi tu o ochronę środowiska.

To niestety nie koniec. Nie zważając na protesty producentów i wielu coraz bardziej rozczarowanych klientów, Komisja Europejska po cichu przygotowuje parametry dla normy Euro 7. Według informacji, które przedostały się do mediów, te mogą być tak skrajnie restrykcyjne, że w praktyce oznaczałoby to koniec samochodów z silnikami spalinowymi – i to już w 2025 r.

Co z tej opowieści wynika? Nie tak dawno pisałem w „Do Rzeczy”, w ramach naszej redakcyjnej debaty o obecności Polski w UE, że wciąż mimo wszystko więcej przemawia za pozostaniem we wspólnocie niż za jej opuszczeniem. Niestety, im dalej w las, tym więcej drzew. UE swoimi regulacjami ingeruje w nasze codzienne życie coraz potężniej, zabierając nam wybór i drenując nasze portfele. Bilans korzyści i strat staje się coraz bardziej zrównoważony.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy UE jest już państwem?

Napisać, że zwolennicy Stanów Zjednoczonych Europy nie marnują żadnej okazji, by Unia Europejska przeistoczyła się w państwo federalne, to nic nie napisać. Czyż zresztą UE już nim – nawet jeśli tylko w pewnym sensie, na swój sposób – nie jest? Nawet jeśli dalece nie w pełni wyczerpuje definicję państwa? I w dodatku czyż z każdym rokiem nie jest nim „coraz bardziej”? A z rokiem 2009 (wszedł w życie traktat z Lizbony), a także z rokiem 2021 (najpewniej wejdzie w życie umowa o Funduszu Odbudowy UE) tym bardziej coraz bardziej?

Ma bowiem UE już swój parlament – Parlament Europejski – w przypadku którego nikt się nawet nie kryje z jego nazwą. Ma swój rozpychający się na wszelkie możliwe sposoby rząd federalny – dla niepoznaki nazwany Komisją Europejską – który beczere-monialnie, coraz mniej skrycie, coraz bardziej otwarcie narzuca swą wolę rządcom – jeszcze na poły suwerennych? – należących do UE państw narodowych. Ma swój federalny sąd najwyższy, dla niepoznaki nazwany Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który z każdym rokiem coraz brutalniej uderza w prerogatywy państw narodowych, traktując je niczym stany w państwie federalnym. Ma swoją walutę – euro, na razie obowiązującą na części terytorium (w 19 państwach członkowskich spośród 28), i swój federalny bank centralny – Europejski Bank Centralny. Ma zawiązek własnej policji – Europol,

czyli Agencję UE ds. Współpracy Organów Ścigania. Ma swoją służbę ochrony granic zewnętrznych UE – Frontex, czyli Europejską Agencję Straży Granicznej i Przybrzeżnej, i nie przestaje śnić o własnej armii. I tak – resort po resorcie, obszar po obszarze. Ba, UE ma nawet swoją religię – ekologizm-LGBT-yzm, z własnym Kościołem i zastępem kapłanów.

No a teraz – dzięki politykom, którzy zaangażowali się w przeforsowanie umowy o Funduszu Odbudowy UE, co (z przesadą? bez przesady?) nazwane zostało „momentem hamiltonowskim” Stanów Zjednoczonych Europy – stronnictwo europejskiego superpaństwa dostało w prezencie dwa potężne instrumenty do jego budowy, stanowiące rudymenarne prerogatywy państwa – możliwość nakładania podatków obowiązujących we wszystkich państwach członkowskich UE, czyli na terytorium całej UE, oraz zaciągania długu gwarantowanego przez wszystkie państwa członkowskie UE. Tym wspólnym długiem będą one skrepowane przez niemal 40 lat – do 2058 r. Ale czy ktoś naprawdę sądzi, że to ostatni dług zaciągnięty przez UE?

I o ile jeszcze niedawno dawało się z UE wystąpić (dawało się, jeśli się było Wielką Brytanią z funtem, ale czy dawałoby się, gdyby się było np. Słowacją z euro?), o tyle teraz – po spętaniu wspólnym długiem i wspólnymi podatkami – z pewnością nie będzie to łatwiejsze. Ale przecież z UE nikt nie chce występować, czyż nie? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Brak dobrych bohaterów

Błiski Wschód jest jedną z największych i najgroźniejszych beczek prochu na świecie. Ta beczka jest znów bliska eksplozji. Jednak wielu polskich komentatorów ma tendencję do widzenia tej sytuacji przez pryzmat naszych problemów z Izraelem i żydowską diasporą. Powtarzany jest schemat: źli Żydzi zajęli Arabom ich ziemię, a teraz regularnie posyłają na nich wojsko i ich gnębą. Paradoksalnie prawica spotyka się tu czasem z lewicą, choć motywacją tej ostatniej jest raczej bezre-

nie – przeciwko Benjaminowi Netanjahu. Tak samo jednak walczy się o władzę w Autonomii Palestyńskiej, gdzie rywalizacja między Hamasem (Strefa Gazy) a Fatahem (Zachodni Brzeg Jordanu) jest właściwie walką na śmierć i życie. A jeśli do tego dodać podziały wewnątrz samego Fatahu i odwołane niedawno przez prezydenta Autonomii pierwsze od 15 lat wybory, to dostajemy obraz sytuacji.

Arabscy politycy nie mają oporów przeciwko agraniu konfliktem z Izraelem dla podbudowania swojej pozycji. Jeśli trzeba, to ta gra przybiera postać setek rakiet zasypujących izraelskie miasta ze Strefy Gazy. Ograniczenia dotyczące Arabów podczas ramadanu na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie są naprawdę tylko pretekstem.

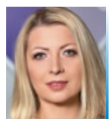
W tej rozgrywce nie ma dobrego i złego bohatera. Obie strony są brutalne i cyniczne, obie grają pod własną publiczność i prowadzą działania bratobójcze, z tym że w Izraelu – politycznie, a na terytoriach arabskich – całkiem dosłownie. Zresztą od wystrzeliwanych przez Hamas rakiet ginęli już także izraelscy Arabowie. Obie strony mają swoje radykalne odłamy, w miastach Żydzi atakowali Arabów i ich sklepy, a Arabowie – Żydów.

Naszą troską nie powinno być gorliwe wspieranie którejś ze stron w tym konflikcie ani tym bardziej emocjonalne w niego zaangażowanie, lecz dbanie, by – rozlewając się – nie zagroził naszym szeroko pojętym interesom. ©©

W tej rozgrywce nie ma dobrego i złego bohatera. Obie strony są brutalne i cyniczne. Obie grają pod własną publiczność

fleksyjna proarabskość, wynikająca z absolutyzacji praw człowieka i lekceważenia uwarunkowań historycznych oraz politycznych.

Jeśli jednak patrzy się na sprawy w ten sposób, to pomija się właściwie cały skomplikowany kontekst polityczny. W Izraelu trwa walka o władzę. Już czterokrotnie odbywały się tam przedterminowe wybory parlamentarne, a przed wybuchem najnowszych starć było o krok od utworzenia rządu wszystkich możliwych sił – z izraelskimi Arabami włączy-



Urszula Hofman



Mateusz Stachewicz

Projekty mixed-use to przełamanie niegdysiejszego trendu budowania monokultur do mieszkania, pracy czy wypoczynku. Coraz częściej spotyka się dziś inwestycje, które łączą wszystkie te funkcje w jednym miejscu czy nawet pełnią rolę lokalnych centrów, gdzie mieszkańcy mogą zaspokoić wszystkie swoje codzienne potrzeby

Według angielskojęzycznej Wikipedii mixed-use development może oznaczać (w wolnym tłumaczeniu) „typ przedsięwzięcia, który łączy funkcje mieszkaniowe, handlowe, kulturalne, użytku publicznego, rozrywkowe w jedną przestrzeń, w której ww. są połączone w sposób funkcjonalny i fizyczny”. W dalszej części wpisu odnajdujemy przykłady inwestycji i projektów – z miast takich jak Toronto, Portland i Amsterdam. Znamienny jest fakt, że na próżno szukać polskojęzycznej wersji tego artykułu, ale nie sposób nie zauważyć, że w ostatnich latach projekty łączące funkcje mieszkalne, biurowe i wypoczynkowe coraz częściej i śmieiej wdzierają się – nie bez powodzenia – do otaczającej nas przestrzeni. Wiele ekspertów przewiduje także, że pandemiczne realia zwiększą popularność projektów wielofunkcyjnych w następnych latach. Nic w tym dziwnego – nowe okoliczności, w których się od ponad roku znajdujemy, zniechęciły nas do przemieszczania się na większe dystanse, nawet w ramach tego samego miasta, w poszukiwaniu rozrywki czy wypoczynku; spora część pracowników – zwłaszcza biurowych – nie planuje w najbliższym czasie wracać do biur, a dzieci i młodzież nie zatrzymują się na spotkanie ze znajomymi po drodze ze szkoły. Siłą rzeczy sam nasuwa się wniosek, że mile widzia-

ne – czy nawet pożądane – będą projekty tworzące lokalne centra, w których wszystkie nasze codzienne potrzeby będą w zasięgu nieforsownego spaceru, a nie monokulturowe sypialniane dzielnice czy biznesowe zagłębia z kumulacją budynków biurowych.

Chociaż sama idea mixed-used nie wyklucza ich istnienia w mniejszych miastach, to znaczna część projektów spod tego znaku, których powstawanie możemy śledzić w ostatnich latach, powstaje w większych miastach – na terenach nie centralnej części miasta, ale z dobrą komunikacją. Obiekty mixed-used zastępują także biurowe monokultury, które już przed pandemią w dużej części pozostawały niewynajęte. Wiele firm rezygnuje ze stacjonarnych biur, preferując pracę zdalną czy też coworking. Nie powinniśmy już z utęsknieniem oczekiwać, że świat całkowicie wróci w stu procentach do realiów przedpandemicznych, a przygotowywać się i odnajdywać w nowych okolicznościach i otoczeniu. Według raportu „Biura nowej normalności” przygotowanego przez ThinkCo 43 proc. twierdzi, że jesteśmy bardziej produktywni poza biurami, a 41 proc. z nas nie widzi różnicy – co więcej 82,5 proc. respondentów wskazało, że warunki pracy w domu pozwalają im pracować wydajnie.

Poza zmianą na rynku nieruchomości biurowych warto zauważyć znaczny

wzrost innego sektora, a mianowicie usług typu self storage oraz e-commerce. Niewątpliwie branżą, która obecnie jest na fali wzrostu, są usługi spedycyjne, kurierskie oraz wszelkie paczkomaty, lodówkomaty itp. Wiele sklepów przebranżowiło się na działalność on-line. A do tego potrzebne są jedynie biurko w przestrzeni coworkingowej oraz z pewnością powierzchnia magazynowa: tak samo jak nowoczesny system e-commerce, w której to branży Polska jest obecnie niekwestionowanym liderem.

Dane badające podejście menedżerów z całej Europy, przedstawione przez PwC i Urban Land Institute w raporcie „Emerging Trends in Real Estate. Climate of change” z 2020 r. pokazują, że obecnie, jeśli dochodzi do przekształcenia funkcji istniejących nieruchomości, to w 54 proc. przypadków nowy projekt jest multifunkcyjny. Podobnie na polskim rynku – na podstawie danych JLL z końca 2019 r. za 10 poprzednich lat wiemy, że podaż powierzchni komercyjnej w obiektach typu mixed-use wzrosła u nas blisko sześciokrotnie.

Idealnym przykładem wejścia w nowe trendy rynkowego zapotrzebowania jest multifunkcyjny budynek typu mixed-use Studio Bystra. Obiekt powstanie na Zaciszu na rogu ulic Radzymińskiej i Bystrej. Inwestycja Grupy Inwest w sposób przykładowy łączy trzy funkcje, które obecnie są na fali wzrostu gospodarczego: mikroapartamenty, lokale usługowe: biura i coworking oraz self storage, który jest doskonałą alternatywą dla e-commerce i dostawą ostatniej mili.

Nowe budynki biurowe mogą już nie być potrzebne na tak masową skalę, a nasze miejsca zamieszkania staną się centrami naszej życiowej działalności zamiast dużych obszarów między domem a biurem. Po pierwsze więc, możemy się spodziewać, że duże monokultury zostaną kiedyś przekształcone, ale także i możliwe, że z czasem standardem i najczęstszym przypadkiem będzie tworzenie multifunkcyjnych, elastycznych funkcjonalnie przestrzeni, które będzie trzeba kiedyś co najwyżej odnawiać lub zmieniać ich funkcje.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD



TEST „DO RZECZY”: KAMERA SAMOCHODOWA MIO MIVUE 812

Wysoka jakość nagrań w dobrym oświetleniu, szeroki kąt widzenia oraz ostrzeżenia przed fotoradarami i odcinkowymi pomiarami prędkości – to największe zalety wideorejestratora ze średniej półki Mio MiVue 812.

Obraz wyświetlany jest na kolorowym wyświetlaczu LCD o przekątnej 2,7 cala. Ekran jest na tyle duży, że można wygodnie podejrzeć na nim zarejestrowany film, a jednocześnie na tyle mały, że kamera nie zajmuje zbyt wiele miejsca i nie zwraca na siebie niepotrzebnej uwagi.

Kamera z obiektywem o przysłonie $f/1.8$, rzeczywistym kącie widzenia 140 stopni nagrywa w rozdzielczości 1440 p z szybkością 30 kl./s lub w opcji Full HD z szybkością 60 kl./s. W celach dowodowych lepsza wydaje się opcja Full HD, bo łatwiej jest odczytać tablice rejestracyjne.

Dzięki użyciu produkowanej przez Sony matrycy CMOS jakość nagrań w dobrym świetle jest bardzo dobra. Obraz jest ostry i czytelny, bez większych problemów można również odczytać tablice rejestracyjne samochodów.

Testowany model kamery jest wyposażony w GPS oraz w trzyosiowy czujnik przeciążeń G-Sensor, dzięki któremu w razie kolizji nagranie jest chronione przed nadpisaniem, a w pamięci zapisywane są również wszelkie dane o tym, skąd nadeszło uderzenie. Nagrania archiwizowane są na karcie microSD (do 128 GB – do

kupienia osobno). Podczas dłuższego postoju włącza się tryb parkingowy, który aktywuje się automatycznie w razie wykrycia ruchu z przodu pojazdu – pozwala to np. nagrać kierowcę, który przytrze nam zderzak i po chamsku ucieknie z miejsca zdarzenia.



Do przedniej kamery można też dokupić tylną kamerę. Wideorejestrator ma również wbudowaną bazę fotoradarów, która jest regularnie aktualizowana. Model Mio MiVue 812 przypomina nie tylko o konieczności ściągnięcia nogi z gazu przed urządzeniami stacjonarnymi, lecz także pomaga przejechać bezpiecznie trasy, na których obowiązuje odcinkowy pomiar prędkości.

Plusem jest też wbudowana niewielka bateria (240 mAh). Nie wszystkim podobać się

za to musi nowy sposób mocowania – zamiast tradycyjnej przyssawki w tym modelu jest mocowanie przyklejane na stałe za pomocą taśmy klejącej 3M. Z jednej strony to fajne rozwiązanie, bo nic nagle nie spadnie w czasie jazdy, a z drugiej utrudnia ono znacząco przenoszenie kamery z jednego auta do drugiego.

Inne wady? Technologia Night Vision pomaga wprowadzić w poprawie jakości obrazu po zmroku oraz w złych warunkach atmosferycz-

nych, ale mimo to choć

świetnie widać inne samochody, znaki czy budynki, to na nagraniach trudno jest odczytać podświetlone światłem z reflektorów tablice rejestracyjne. Poza tym choć mamy już rok 2021, to Mio uparcie każe zasilać

swoje kamery za pomocą przestarzałego kabla miniUSB. Niektórym użytkownikom w tym modelu brakować też może obsługi wi-fi.

Mimo tych minusów stosunek ceny do jakości wypadł nieźle. Testowany wideorejestrator kosztuje 529 zł. ☹☹

Jacek Przybylski



NIECH MIECZ BĘDZIE Z TOBĄ

Prawdziwy „wysuwany” miecz świetlny to marzenie wielu fanów „Gwiezdnych wojen”. Disney zaprezentował właśnie wideo przedstawiające ten niezwykle gadżet. Nowy zabawkowy miecz świetlny nie ma przyklepionego do rękojści tandetnego plastikowego ostrza, lecz wysuwane, świecące ostrze (Disney nie ujawnił jeszcze, jaką technologię zastosował). Premiera miecza planowana jest na przyszły rok. Oficjalnej ceny jeszcze nie ma, ale trzeba się nastawiać na wydatek rzędu co najmniej 750 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NADCHODZI 8K

Przyzwyczajaliśmy się już do rozdzielczości 4K, tymczasem prognozy wskazują, że już za kilka lat bardzo popularne staną się zarówno telewizory, jak i treści 8K. Niedawno firma Sharp wprowadziła na rynek 120-calowy telewizor w tej rozdzielczości, stworzony z myślą o profesjonalnym zastosowaniu, np. w centrach handlowych, salonach samochodowych, galeriach etc. Częstotliwość odświeżania przy 8K wynosi 60 Hz, a w rozdzielczości 4K nawet 120 Hz. Wrażenie robi również cena tego telewizora, na który trzeba wydać równowartość około 600 tys. zł. ☹☹



Zapraszamy do oglądania

**Uroczystej Gali Urodzinowej
TELEWIZJI REPUBLIKA**

20 maja 2020 r. o godz. 19:00

na antenie Telewizji Republika

Podczas wieczoru zostaną wręczone statuetki
Telewizji Republika w kategoriach:

**POLITYKA
BIZNES
KULTURA
OSOBOWOŚĆ ROKU**

Muzyczną gwiazdą wieczoru będzie zespół Zakopower,
który wykona utwory folkowe z elementami rocka i jazzu,
na czele ze skrzypkiem Sebastianem Karpiem-Bużeką.

Partnerzy strategiczni:



Partnerzy główni:



Porty Lotnicze



Partnerzy:



budimex



ElektroOdzysk



Bank Polski



zabka



Joanna Bojańczyk

Malowniczo wyglądają tylko w serialach. W rzeczywistości pracowały ciężko i za marne grosze. Ale były domy, gdzie gosposie darzono szacunkiem, gdzie funkcjonowały na prawach członka rodziny

Miała na imię Madeleine, tak jak słynne proustowskie ciasteczko. Była kucharką w zamożnej rodzinie, w siedmiopokojowym apartamencie w XVI, eleganckiej dzielnicy Paryża. Na ścianach wisiały renoiry, ale ona zajmowała kłitkę bez okna przy kuchni. Tak małą, że wystarczyło tylko miejsca, żeby zdjąć nogi z łóżka. Szafa, maleńki stolik, na ścianie krzyżyk. Przepracowała u tych państwa 50 lat, zmarła w swoim pokoiku w wieku 84 lat.

To historia nie z XIX-wiecznej powieści, to działo się w latach 70. XX w. Poznałam Madeleine, jej chlebodawców, byłam w jej pokoiku. Dla mnie, wówczas nastolatki, taka sytuacja była szokująca. W Polsce miało się co najwyżej gosposię, pomoc domową, opiekunkę do dzieci, panią do sprzątania. Służącą – nigdy. Wymówić takie słowo w demokracji ludowej oznaczałoby przyznanie się do wstecznictwa.

We Francji instytucja lokaja (w białym kitlu i rękawiczkach), kucharki, niani (w fartuchu w biało-niebieskie paski), no i oczywiście zwykłej służącej, „femme de ménage”, miała się jednak całkiem dobrze. Ta ostatnia była zazwyczaj Hiszpanką lub Portugalką, jeśli była na stałe, to zajmowała chambre de bonne, kłitkę na najwyższym piętrze (bez windy). Jeśli była na przychodne, to dojeżdżała gdzieś z Aubervilliers do „pięknych dzielnic”. Gdy w latach 80. i 90. liczba służby się zmniejszyła, chambres de bonne zaczęto przekształcać na maleńkie mieszkaneczka do wynajęcia.

PORZĄDEK DZIOBANIA

Personel domowy najlepiej prezentuje się w serialach takich jak „Downton Abbey”, gdzie wprawdzie konflikty i intrygi rozdzielają czasem sielską atmosferę zespołu służących w „downstairs”, ale



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kuchenne schody

generalnie wszyscy są zadowoleni. Fartuchy kucharek są zawsze nieskazitelnie czyste, stół elegancko nakryty, a lokaje i pokojówki sztucami posługują się równie sprawnie jak ich chlebodawcy.

Rzeczywistość była jednak mniej sielankowa niż seriale. „Los służących w wiktoriańskiej Anglii był godny współczucia. Ich życie było samotne, a praca nigdy się nie kończyła” – napisała autorka książki „Mrs Beeton’s Book of Household Management” wydanej w Anglii pod koniec XIX w. Wtedy służba była na tyle tania, że tylko najniższa klasa obywała się bez niej. W zamożnych i bogatych domach do dyspozycji miało się kilka lub kilkanaście osób, każda do wyspecjalizowanych czynności. Pokojówki, kucharki, kamerdynerzy, praczki, ogrodnicy, chłopcy stajenni, nauczyciele, sekretarze. Stanowili półtoramilionową rzeszę ludzi zarabiających grosze, a ich „państwo” byli największym pracodawcą w kraju.

Czasem tylko, w kryzysowej sytuacji, trzeba było liczbę personelu ograniczyć. Państwo Brockenhurst, bohaterowie powieści „Belgravia” Juliana Fellowesa (skądinąd scenarzysty „Downton Abbey”), zbiednieli i musieli zadowalać się „byle czym”. „Ograniczyć służbę do

osób najbardziej niezbędnych. Kucharka, stangret, kamerdyner i trzy pokojówki, to musiało wystarczyć”. W miejskich pałacach służba mieszkła na miejscu, w suterrenach czy na strychu, w wiejskich rezydencjach z oczywistych powodów było na to najwięcej miejsca.

W grupie służących obowiązywała ścisła hierarchia. Najwyżej stała gosposydni (housekeeper), na równi z nią kamerdyner oraz pokojowa pani domu i walet – osobisty lokaj pana domu. Taka kolejność dziobania obowiązywała przy stole, gdzie jadła służba. Pierwsi siadali do stołu ci najwyżsi, reszta dopiero po nich. Gdy przełożony kończył posiłek, odkładał nóż i widelec, reszta stołowników musiała zrobić to samo. Niższym w hierarchii nie wolno było zwracać się do przełożonych, zanim oni nie odezwą się sami. Personel domowy obowiązywał strój służbowy: pokojówki w czarnej sukience, białym fartuszu i białym czepku, lokaje w liberii. Mundury miały służących pozbawić wszelkich cech indywidualnych.

U państwa Nabokowów, rodziców wybitnego rosyjskiego pisarza Władimira Nabokowa, w pałacu przy ul. Morskiej w Petersburgu, na początku XX w.



zatrudniano 50 osób służby. Píše o tym Nabokow we wspomnieniach „Pamięci, przemów”.

KLITKA PRZY KUCHNI

Lubimy oglądać filmowe sceny eleganckich przyjęć w eleganckich domach dawnej Polski, ale tu również sytuacja na zapleczu salonów nie prezentowała się różowo. Opowiada o tym Joanna Kuciel-Frydryszak w książce „Służące do wszystkiego”. „Epoka dwudziestolecia międzywojennego w Polsce wydaje się często okresem przedwojennych dam i panów z wyższych sfer, blichtru, elegancji, dobrego wychowania. Pomijamy przy tym wiele niewygodnych prawd, jak nierówność klasowa, materialna przepaść między wyższymi sferami a wiejską biedotą, antysemityzm, polityczne i narodowe właśnie oraz przemożną potrzebę dominacji jednego człowieka nad innymi”. Książka przybliża prawdę o czasach sprzed drugiej wojny światowej i w jej trakcie. Prawdę widzianą z perspektywy domowej służby.

Wystarczy przypomnieć postacie służących ze sztuk Zapolskiej, z powieści Dołęgi-Mostowicza, Nałkowskiej czy Michała Choromańskiego, żeby uświadomić sobie, że służąca w przedwojennej Polsce była osobą w zasadzie pozbawioną wszelkich praw. Jej praca nigdy się nie kończyła, za mieszkanie służył kąt w kuchni. Prała, gotowała, sprzątała, robiła zakupy, podawała do stołu, często zajmowała się dziećmi. W najlepszym razie zajmowała osobne pomieszcze-

nie: klitkę przy kuchni, zwaną szumnie służbówką. Do służbówki wchodziło się osobnymi, wąskimi drzwiami, nierzadko ze schodów tzw. kuchennych. O przywilejach takich jak urlop czy emerytura służąca nie mogła marzyć. Wyjście za mąż czy urodzenie dziecka pociągało za sobą wymówienie. Mianą czy Polcią można było pomiać, dorastający kawalerowie ćwiczyli na niej swoje umiejętności seksualne. Ale przede wszystkim taka dziewczyna była siłą roboczą wyjątkowo tania.

„Zarobek służącej do wszystkiego stanowi nieduży wydatek, czasami zaledwie trzy procent domowego budżetu, czyli mniej więcej tyle, ile miesięcznie trzeba wydać na prąd i opał. Dlatego na służącą stać niemal wszystkich, którzy mają stałe dochody, a nawet bogatszych robotników, choć ci najczęściej wynajmują »przychodnią«, czyli służącą dochodzącą” – píše Kuciel-Frydryszak. Wychodne raz w tygodniu, w przypadku uzasadnionym, to znaczy wtedy, gdy pani uzna, że służąca ma powód – ważną sprawę – i zgodzi się na wyjście. Dłuższe wychodne zwyczajowo daje pani co drugą niedzielę, a jeśli łaskawa, to nawet w każdą. Znamy to z popularnej przed wojną piosenki: „Dziś panna Andzia ma wychodne. Dzisiaj sama wielka dama. [...] Dziś na Chłodnej wielki bal”.

„Kiedy poeta i felietonista Antoni Słonimski w 1935 roku popłynął »Batorym« do Ameryki, był zszokowany, że jego kuzyn Nicolas Slonimsky z żoną jedli kolację w salonie przy jednym stole ze służącą. Antoni ze zdumieniem opisał tę sytuację w korespondencji dla »Wiadomości Literackich«. Taki obrazek będzie w Polsce do 1945 roku niespotykany. Służąca jest zawsze w kuchni. Sama” (cytuje za Kuciel-Frydryszak).

Dopiero u schyłku II Rzeczypospolitej służba domowa doczekała się przyjęcia do grupy pracowników objętych ubezpieczeniem w kasie chorych. Oznaczało to prawo do emerytury w wieku 70 lat oraz do zasiłków chorobowych.

TA NIEZWYKŁA GENIA

Po drugiej wojnie ze wsi do miast napłynęły rzesze ludzi, ale młode kobiety nie garnęły do pracy „na służbie”. Wołały iść do fabryki i zamieszkać w hotelu robotniczym, niż wysługiwać się „jaśniepaństwu”. Zresztą gdzie można byłoby ulokować taką osobę? Nie było na to miejsca ani w małych nowych mieszka-

niach, ani w ocalonych przedwojennych, które zajmowało wspólnie kilka rodzin. Jednak w niektórych domach przedwojenne służące wróciły do swoich przedwojennych chlebobawców. Częściowo dlatego, że nie miały gdzie się podziać, częściowo z przywiązania.

W inteligentnych postępowych domach służbę traktowano z szacunkiem, darzono sympatią, którą one odwzajemniały. Gosposie, nianie funkcjonowały tam na prawach członków rodziny. Tak było z Franią Marii Dąbrowskiej.

W PRL wraz ze zmienioną rolą personelu domowego zmieniła się też terminologia. „Służącą” zastąpiła gospoś, pomoc domowa, pani do sprzątnia, opiekunka do dziecka czy starszej osoby. Bardzo rzadko ktoś taki mieszkał u pracodawców. I bardzo rzadko praca domowa wypełniała całe życie takiej osoby. Była albo jego wczesnym etapem, albo całkiem późnym, już na emeryturze, gdy trzeba było dorobić do skromnych poborów.

Jedyna w swoim rodzaju historia należy do Geni, służącej Zofii Nałkowskiej. W swojej książce o pisarce „Nałkowska. Albo życie pisane” osobny rozdział „Ta tak niezwykła Genia” poświęca jej autorka monografii, Zofia Kirchner. „Genowefa Goryszewska, chłopska córka spod Ciechanowa, mizernej postury, nieurodona i niekształcona od dzieciennych lat służąca u ludzi, kiedy nastała do pań Nałkowskich, wstąpiła na drogę literackiej legendy. Przez dwanaście lat pełniła doniosłą rolę w biografii pisarki, wykraczając na wiele sposobów poza stereotyp »wiernej sługi« tak dobrze znany z życia i literatury” (Kirchner).

Całkowicie oddana, wręcz spoufalona, gotowa do pomocy, dzieląca ze swoją panią okupacyjną dolę, żywiła dla niej głęboki podziw, uwielbienie, prawie kult. A jednocześnie terrorizowała ją, narzucając swoje wymagania, nie dopuszczając do niej ludzi, których nie lubiła, organizując jej życie według swojego porządku. „Dzikie uwielbienie, despotyzm, pewność swoich racji rozrasta się ponad tę ubogą rzeczywistość, zabawia groteską [...] Olbrzymia osobowość Geni, jej gniewy straszliwe, przed którymi nie chroni mnie ani trochę uwielbienie, jakie budzę, jej żale śmiertelne i niczym nieprzejednane upory. Przeze mnie cierpi i jest szczęśliwa, jednym i drugim się dręcząc” – pisała Nałkowska w roku 1943.



Z prof. Ewą Lech-Marańdą, hematologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Hematoonkologia to lokomotywa postępu

FOT. ADRIAN STOK

KATARZYNA PINKOSZ: Podczas niedawnej debaty Medycznej Racji Stanu eksperci podkreślali, że w leczeniu wielu nowotworów hematologicznych dokonał się w ostatnim czasie ogromny postęp. Również w Polsce niemal każda lista refundacyjna przynosi dobre wiadomości dla chorych hematoonkologicznych. Jakie nowe możliwości pojawiają się dla chorych na nowotwory krwi?

PROF. EWA LECH-MARAŃDA: Hematoonkologia to młoda dziedzina medycyny, w której obserwuje się niezwykle dynamiczny rozwój, począwszy od poznawania patomechanizmów leżących u podstaw poszczególnych nowotworów, a skończywszy na wdrażaniu nowoczesnych terapii, w tym głównie leków celowanych na wybrane szlaki komórkowe czy antygeny obecne na komórkach nowotworowych. Można śmiało powiedzieć, że hematologia to lokomotywa postępu, gdyż pierwsze leki celowane zostały wprowadzone w latach 90. XX w. właśnie dla chorych hematoonkologicznych. Od tego czasu „lokomotywa postępu” porusza się bardzo szybko w świecie nowych leków. Jednocześnie trzeba podkreślić, że ponad 70 proc.

metod terapeutycznych stosowanych w hematologii opiera się na lekach, pozostałe 30 proc. to przeszczepienia krwiotwórczych komórek macierzystych, dlatego też dla pacjentów hematoonkologicznych dostęp do nowoczesnych leków jest kluczowy.

W ostatnich latach poprawił się dostęp do nowoczesnych terapii przeciwnowotworowych w Polsce. O ile w latach 2017–2019 nowe substancje czynne były refundowane w Polsce średnio po ok. 3,5 roku od rejestracji przez Europejską Agencję Leków (EMA), o tyle w 2019 r. proces ten znacznie przyspieszył i skrócił się o ponad rok. W ciągu ostatnich dwóch lat polscy pacjenci uzyskali dostęp do wielu skutecznych i nowoczesnych leków, m.in. w leczeniu nawrotowego lub opornego szpiczaka plazmocytozowego, nawrotowej lub opornej ostrej białaczki limfoblastycznej, przewlekłych nowotworów mieloproliferacyjnych, opornej lub nawrotowej przewlekłej białaczki limfocytowej, ostrej białaczki promielocytowej i chłoniaka grudkowego. W 2020 r., w którym

wszyscy skupialiśmy się w pierwszej kolejności na przeciwdziałaniu pandemii COVID-19 i walce z nią, udało się również przeprowadzić wiele procesów refundacyjnych w hematologii, m.in. dla pacjentów z nawrotem lub progresją ziarniniaka grzybiastego lub zespołu Sézary’ego, z chłoniakiem Hodgkina, pierwotnymi chłoniakami skórnymi T-komórkowymi, przewlekłą białaczką szpikową, ostrą białaczką limfoblastyczną i przewlekłą białaczką limfocytową. Od maja bieżącego roku na liście refundacyjnej mamy też kilka nowych leków, m.in. dla chorych na ostrą białaczkę szpikową, agresywną mastocytozę układową, mastocytozę układową ze współistniejącym nowotworem układu krwiotwórczego oraz białaczkę mastocytarną, a także dla chorych na szpiczaka plazmocytozowego.

Nowe, najbardziej skuteczne terapie są obecnie przesuwane na pierwszą linię. Jak bardzo jest to istotne dla poprawy rokowania pacjentów?

Na naszych oczach zmieniają się standardy leczenia w hematologii, nowe leki, o zupełnie innych mechanizmach działa-

nia w porównaniu z klasycznymi lekami cytostatycznymi, znajdują zastosowanie nie tylko u pacjentów w nawrocie czy oporności choroby, lecz także w leczeniu pierwszej linii.

Im skuteczniejsze leczenie zastosujemy na początku choroby, tym większa szansa na wydłużenie czasu wolnego od nawrotu choroby i wydłużenie całkowitego przeżycia. Przykładem jest chociażby zastosowanie wenetoklaksu w połączeniu z obinutuzumabem u chorych na przewlekłą białaczkę limfocytową w pierwszej linii leczenia. Z kolei u starszych chorych na szpiczaka plazmocytozy: zastosowanie lenalidomidu z deksametazonem, a u młodszych chorych kwalifikujących się do procedury przeszczepienia autologicznych krwiotwórczych komórek macierzystych – daratumumabu w połączeniu z bortezomibem, talidomidem i deksametazonem w pierwszej linii terapii.

Jedną z nowych terapii w pierwszej linii w leczeniu PBL jest połączenie wenetoklaksu z obinutuzumabem. Czy możliwość zastosowania tej terapii, ograniczonej w czasie, a jednocześnie wolnej od chemioterapii, byłaby ważna dla polskich pacjentów?

Tak, możliwość zastosowania wenetoklaksu w połączeniu z obinutuzumabem w pierwszej linii leczenia u chorych na przewlekłą białaczkę limfocytową, u których z powodu chorób współistniejących są przeciwwskazania do leczenia schematem FCR (fludarabina, cyklofosfamid, rytuksymab), jest bardzo ważna z trzech powodów. Po pierwsze, jest to leczenie bezpieczne, o znacznie mniej nasilonej toksyczności w porównaniu z chemioterapią. Po drugie, jest to leczenie bardzo skuteczne, gdyż obserwacja pacjentów z badania rejestracyjnego dla schematu wenetoklaks z obinutuzumabem wykazała, że po dwóch latach od zakończenia leczenia mediana przeżycia wolnego od progresji choroby u pacjentów leczonych wenetoklaksem z obinutuzumabem nie została osiągnięta, co oznacza, że u więcej niż połowy chorych w ciągu dwóch lat nie dochodzi do nawrotu choroby. Trzecim powodem jest czas leczenia, który przy schemacie wenetoklaks + obinutuzumab wynosi tylko 12 miesięcy.

W dobie pandemii COVID-19 wszyscy zaczęliśmy zwracać większą uwagę na to, żeby ograniczyć do niezbędnego minimum hospitalizacje pacjentów. Dlatego prowadzenie terapii lekami



PROF. PETER HILLMEN, University of Leeds, National Cancer Research Institute Haematological Group

W ostatnich latach najważniejsze postępy w hematologii wynikają ze znacznego lepszego poznania biologii chorób. Dzięki temu opracowano nowe terapie hamujące kluczowy mechanizm prowadzący do zezłusliwienia komórek krwi. W przewlekłej białaczce limfocytowej do najważniejszych postępów należy opracowanie wenetoklaksu, powodującego śmierć komórek białaczkowych, oraz stworzenie leków hamujących przekazywanie sygnałów z receptorów komórek B (jak ibrutynib), które nie pozwalają komórkom białaczkowym na wzrost.

Korzyści z leczenia wenetoklaksem wynikają z jego skuteczności. Gdy podaje się go w skojarzeniu z obinutuzumabem, leczenie można stosować przez z góry określony czas, co oznacza, że pacjenci nie są skazani na bezterminowe leczenie. Dodatkowo wenetoklaks to lek doustny o bardzo korzystnej charakterystyce bezpieczeństwa. Jest o wiele lepiej tolerowany i znacznie skuteczniejszy niż chemioterapia. Terapie celowane są skuteczniejsze i zapewniają dłuższe przeżycie pacjenta. Ze względu na to, że terapia wenetoklaksem z obinutuzumabem trwa 12 miesięcy, jej efektywność kosztowa przewyższa zarówno chemioterapię, jak i leczenie ibrutynibem.

Najlepsze efekty w leczeniu choroby nowotworowej uzyskuje się, gdy terapie celowane – takie jak wenetoklaks – stosuje się w leczeniu pierwszej linii. W Wielkiej Brytanii wenetoklaks z obinutuzumabem stosujemy od sześciu lat, najpierw w badaniach klinicznych, a ostatnio w postępowaniu rutynowym. To skojarzone leczenie zostało zaaprobowane przez NICE, co oznacza, że wszyscy pacjenci w Anglii mają do niego dostęp. Mamy bardzo pozytywne doświadczenia ze stosowania tej terapii: leki są bardzo dobrze tolerowane i niezwykle skuteczne.

Jeśli chodzi o wyzwania kliniczne, to w Polsce i Wielkiej Brytanii są one takie same. Wydaje się, że w Wielkiej Brytanii szybciej pozwala się na wdrażanie poszczególnych terapii niż w Polsce. W obydwu krajach borykaliśmy się z trudnościami przy prowadzeniu pacjentów w czasach pandemii COVID-19.

doustnymi bardzo zyskało na znaczeniu. Wenetoklaks jest lekiem doustnym, który po wstępnym okresie eskalacji dawki pacjenci mogą stosować w domu. W omawianym schemacie jest jeszcze obinutuzumab – przeciwciało monoklonalne anty-CD20 – które stosuje się we wlewie dożylnym, w pierwszym dniu cyklu przez łącznie sześć cykli. Podanie tego leku musi odbywać się w szpitalu, ale u większości chorych mogą to być jednodniowe hospitalizacje w ramach oddziałów leczenia dziennego.

Na jakie nowe terapie w hematologii w Polsce obecnie najbardziej czekamy?

Największym wyzwaniem w 2021 r. będzie refundacja technologii CAR-T, która jest niekwestionowanym przełomem w leczeniu chorych hematologicznych i terapią wyczekiwaną przez wielu pacjentów z oporną ostrą białaczką limfoblastyczną czy z agresywnymi, opornymi lub nawrotowymi chłoniakami B-komórkowymi. Drugą ważną terapią jest wenetoklaks z obinutuzumabem w pierwszej linii leczenia dla chorych na przewlekłą białaczkę limfocytową – leczenie ograniczone w czasie, o bardzo dobrej skuteczności. Trzeba też wspomnieć o dwóch nowych, skutecznych lekach, zarejestrowanych w ubiegłym roku przez EMA. Pierwszy z nich to polatuzumab wedotyny, został on zarejestrowany

dla dorosłych pacjentów z nawrotowym lub opornym chłoniakiem rozlanym z dużych komórek B, którzy nie kwalifikują się do przeszczepienia krwiotwórczych komórek macierzystych. Drugi lek to gliertynib dla chorych z nawrotem ostrej białaczki szpikowej z mutacją FLT3, która występuje u ok. 30 proc. chorych, ale rokuje bardzo niepomyślnie.

Postęp w hematologii w ciągu ostatnich kilkunastu lat jest bardzo znaczny, a dzięki nowoczesnym technologiom lekowym możliwe jest przekształcenie chorób, które kiedyś doprowadzały do śmierci w ciągu kilku lat, w choroby przewlekłe. Inwestycje w nowoczesne technologie lekowe w hematologii to nie tylko efektywność kliniczna, lecz także korzystne efekty społeczne i ekonomiczne. Zastosowanie nowych terapii i uzyskanie długotrwałych remisji choroby umożliwia części pacjentom powrót do aktywnego życia zawodowego i społecznego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Ewa Lech-Marañón

– specjalista chorób wewnętrznych, hematologii i transplantologii klinicznej, jest konsultantem krajowym w dziedzinie hematologii, dyrektorem Instytutu Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie

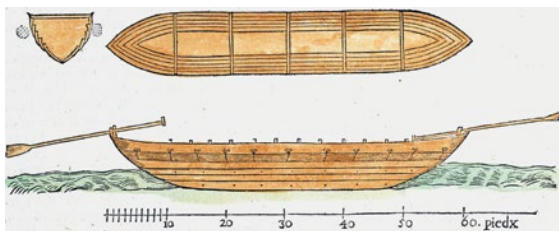


JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Czajka zaporoska

Mianem czajki określano długie łodzie bojowe Kozaków, służące do wypraw morskich i rzecznych. Dziś jej nazwa kojarzy się z ptakiem, jednak tak naprawdę pochodzenie było zupełnie inne. Po pierwsze, w źródłach polskich często określana była mianem czołna, po drugie, historycy i kronikarze podają różne znaczenia tego słowa.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dymitrij Jewarnicki twierdził, że wywodziło się od tatarskiego słowa „kaik” – wym. czaiak, czyli „łódka”. Stanisław Sarnicki pisał z kolei: „Czajkami zowią Niżowi Kozacy, że się w nich czają, z sitowia albo z pięci jakoby opleciona opalką, co w niej Rus dzieci kołysz, a pofutrują ją rzemieniem świeżym, albo ceratami”. Jednak nazwa „czajka” występowała w całym basenie Morza Czarnego i była określeniem różnych typów łodzi. Jak podaje Tadeusz Górski we „Flotyllach kozackich w służbie Jagiellonów i Wazów”, zwali tak swoje łodzie Węgrzy w połowie XVIII w., a nawet Turcy, określenie zatem raczej nie pochodziło od ptaka, który owszem, gnieździ się nad Dnieprem, ale z nazwą bojowej łodzi kozackiej nie wspólnego nie miał.

Jak i z czego wykonywano czajki? Chociaż nie znaleziono do dzisiaj ani jednego zachowanego egzemplarza z XVII w., to można odtworzyć sposób budowy i właściwości z opisów zachowanych w źródłach. Miały one ok. 20 m długości, 3–4 szerokości i tyle

samo głębokości. W kolejnych stuleciach konstrukcja i wymiary łodzi zmieniały się, stawała się ona coraz zwrotniejsza i coraz łatwiejsza w żegludze. Czajkę budowano zwykle wiosną. Grupa składająca się z 30 do 70 Kozaków odnajdywała ogromną lipę, ścinała ją, a następnie wydrążała jej pień za pomocą ognia i rozginała – jak pisze Paweł Piasecki – wykorzystując działanie pary. W ten sposób przygotowywano prymitywną łódź, którą następnie od wewnątrz obszywano skórą, a u burt wieszano snopy sitowia rozbijające fale morskie. Tak jednak budowano mniejsze czajki. Większe, jak podaje Wilhelm Beauplan, Kozacy obijali deskami o szerokości ok. 30 cm, tworząc poszycie „na zakładkę”. Wnętrze rozdzielano grodziami, wstawiano ławki dla wiosłarzy, dno i burtę pokrywano klepkami, następnie łódź smołowano. W górnej części burt, od wewnątrz, przytwierdzano pęki trzciny umocowane powrozami z lipowego tyka. Wszyscy autorzy powtarzali, że chroniły one przed falami i pomagały utrzymać stateczność. Do pewnego stopnia osłaniały też przed pociskami.

Imponująca była szybkość powstawania czajki – 60 Kozaków budowało jedną w 15 dni. Oznaczało to, że w przeciągu dwóch–trzech tygodni Zaporozcy byli w stanie zbudować nawet 100 łodzi. Była to siła, która przerażała Turków. Niespodziewanie bowiem, dosłownie znikąd, u ujścia Dniepru mogła pojawić się ogromna flotylla, zaatakować przeciwnika, złupić miasto, wrócić i... rozpuścić się bez śladu na dniewym Niżu.

Czajki poruszane były wiosłami, dodatkowo każdą zaopatrywano w prosty żagiel. Do sterowania służyły dwa wiosła – jedno na dziobie, drugie na rufie. Napędzana siłą mięśni łódź potrafiła osiągnąć szybkość nawet do dzie-

więciu węzłów, co było wartością większą o dwa węzły od największych galer. Przy czym szybkość pojedynczej czajki, niepłynącej w szyku, mogła być jeszcze większa. Oznaczało to, że Kozacy mogli łatwo osaczyć wolniejsze od nich galery, a nawet przeprowadzić skuteczny abordaż, podpływając od rufy. Mimo prostej konstrukcji czajki były dobrze wyposażone – w kompas, liny, kotwice, latarnie, narzędzia ciesielskie i oczywiście lekkie działka umieszczone na burtach. Każdy Kozak miał broń palną – zwykle w liczbie dwóch sztuk na członka załogi – i szablę.

Kozackie flotylle budziły grozę na wybrzeżach Morza Czarnego. Potrafiły nagle zjawić się pod miastem i przeprowadzić atak, ścigane – nagle się rozprościć. Galery Kozacy często atakowali w nocy – o zmierzchu ustawiali się, aby mieć słońce za plecami, potem, kiedy zapadł zmrok, niespodziewanie podpływali do okrętów – połowa załogi zostawała przy wiosłach, połowa wpadała na pokład. Jeśli doszło do walki wręcz, to Turcy mieli małe szanse na zwycięstwo.

Wyprawy morskie zwane „chadzkami” stawały się przyczyną bezustannych konfliktów pomiędzy Rzeczpospolitą a Turcją. W 1606 r. Kozacy zdobyli Kilię i Akerman, następnie spalili flotę turecką stojącą pod Warną. Rok później Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny poprowadził wyprawę na Oczaków, w 1608 r. zdobył Perekop, później opanował na nowo Kilię i Białogród oraz Izmail. W 1613 r. Zaporozcy rozbili flotę turecką, zdobyli Trapezunt i Synopę, przy okazji paląc przy tym wszystkie galery w porcie. Ponawiane, coraz zuchwalsze wyprawy stały się jedną z przyczyn wojny polsko-tureckiej w latach 1620–1621 i śmierci pod Cecorą hetmana Stanisława Żółkiewskiego. ©©

OWOCE MORZA ODCZAROWUJE JAKUB SUCHTA

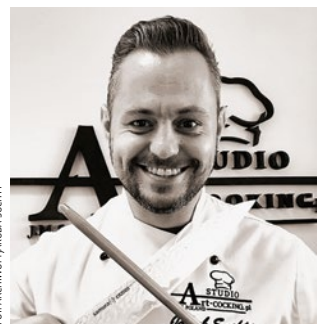
W mojej kuchni królują ryby i owoce morza. Są smaczne i bardzo zdrowe, a krótka obróbka termiczna sprawia, że nie tracą swoich wartości odżywczych.

Często boimy się przygotowywać owoce morza, ponieważ są to produkty bardzo delikatne i wymagające dużego wyczucia podczas przyrządzania. Podczas warsztatów kulinarnych, które prowadzę w swoim Studio Art-Cooking, staram się „odczarować” i pokazać, że przy odpowiednim produkcie i jego obróbce można stworzyć fantastyczne danie.

Do moich ulubionych owoców morza należą małże św. Jakuba, zwane też przegrzebkami. Ten także niezwykle delikatny mięczak może być spożywany zarówno na surowo, np. w sushi, jak i smażony. Ja proponuję wersję na szparagach.

Składniki (dla 2 osób):

- 6 świeżych małży św. Jakuba
- masło klarowane
- zwykłe masło
- sól morską
- 200 g zielonych szparagów
- 4 ząbki świeżego czosnku
- natka pietruszki
- 100 ml białego wytrawnego wina (riesling lub sauvignon blanc)



FOT. ARCHIWUM JAKUBA SUCHTY

Przygotowanie:

Szparagi myjemy w zimnej wodzie i odcinamy końcówki. Jeśli są to młode szparagi, to nie musimy ich obierać. Na patelnię wlewamy ok. czterech łyżek oliwy i wrzucamy pokrojony w plasterki czosnek. Podgrzewamy na wolnym ogniu. Kiedy czosnek zaczyna się szklić, wrzucamy szparagi i mieszamy ok. 1 min. Wlewamy białe wino i przykrywamy na ok. 2 min. W międzyczasie myjemy w zimnej wodzie małże św. Jakuba i osuszamy ręcznikiem papierowym. Roztapiamy masło klarowane i smarujemy delikatnie przegrzebki z obu stron. Na mocno rozgrzanej patelni kładziemy przegrzebki w odstępach od siebie ok. 2 cm. Ważne, żeby po położeniu przegrzków na patelni nie ruszać nimi. Przegrzebki smażymy do momentu, aż zaczną nabierać od spodu brązowego koloru (ok. 45 s), przekładamy i obsmażamy z drugiej strony. Wrzucamy na patelnię ok. 50 g masła i po jego roztopieniu bastujemy przegrzebki, czyli kąpiemy je w rozpuszczonym maśle, cały czas polewając je z każdej strony. Na koniec posypujemy świeżo mieloną morską solą i przekładamy na papierowy ręcznik.

Zdejmujemy pokrywkę z patelni ze szparagami i po 2 min, kiedy wyparuje alkohol z wina, a całość nam się zredukuje, dodajemy ok. 50 g zimnego masła i po jego rozpuszczeniu dodajemy drobno posiekaną natkę pietruszki. Na koniec całość doprawiamy morską solą oraz pieprzem ziołowym lub cytrynowym i przekładamy na talerz. Na szparagach kładziemy usmażone przegrzebki i polewamy ciepłym masłem z patelni. © © oprac. raw

Jakub Suchta jest finalistą VI edycji programu „Hell's Kitchen”, właścicielem Studia Kulinarnego Art-Cooking.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Piramida znów odkryta

Ille razy przejeżdżam ul. Przyczółkową, obok Instytutu Żywności i Żywienia, tyle razy zastanawiam się, co właściwie robi się w tym potężnym gmazysku. Jaki wpływ na nawyki żywieniowe Polaków mają badania tej placówki? „Do głównych zadań Instytutu należy w szczególności szeroko zakrojona działalność naukowo-badawcza i edukacyjna w zakresie propagowania zasad racjonalnego żywienia oraz promocji zdrowego stylu życia. Działalność jednostki ma na celu zwiększenie wiedzy i stanu świadomości społecznej z zakresu produktów żywnościowych i zdrowego żywienia oraz zwalczanie chorób dietozależnych” – informuje Instytut tą szczególną mową-trawą, czyli urzędniczym żargonem.

Kiedy czytam o nowych zaleceniach żywieniowych, kiedy docierają do mnie nowe książki o kuchni i żywieniu, to jakoś nie dostrzegam w nich udziału naukowców z IŻŻ. Odkrycia żywieniowe są przeważnie dziełem zachodnich badaczy, głównie amerykańskich (notabene z kraju, gdzie jest najwięcej grubasów i najgorsze jedzenie). Ale polskich odkryć żywieniowych jakoś nie pamiętam. Może przeoczyłam.

Tymczasem teraz coś przy ul. Przyczółkowej się wydarzyło. Oto „Nowa piramida żywienia i stylu życia, dzieło dyrektora Instytutu Eduka-

cji Żywnościowej i Stylu Życia prof. Mirosława Jarosza” – doniósł właśnie portal

Forsal.pl. Piramidy znamy, było ich już kilka. Zalecenia w nich się

zmieniały.

Ale propaganda o zdrowym jedzeniu dociera chyba wszędzie; każde dziecko i każdy starszulek dzisiaj wie, że trzeba się ruszać, jeść kiszoną kapustę, nie palić papierosów i nie pić coca-coli.

A teraz mamy najnowszy parter piramidy według prof. Jarosza. Na parterze, czyli w miejscu, gdzie znajdują się najważniejsze zalecenia: ruch, aktywność, miłość, zmiana, edukacja, sen.

W wpływ miłości na długowieczność jest, o ile wiem, potwierdzony. Ale czym różni się ruch od aktywności? Co oznacza zmiana? Dlaczego edukacja jest ważna?

Nie podważam wagi wykształcenia, zwracam tylko uwagę, że mieszkańcy „najzdrowszych punktów na mapie świata” – wysp Ikaria, Okinawa, Ogliastria i Nicoya – niekoniecznie mogą wykazać się doktoratami. Wydaje mi się, że udowodnienie związku między długością życia a poziomem wykształcenia wymagałoby poważnych, długoletnich badań w różnych punktach świata, z uwzględnieniem wielu tysięcy ankietowanych. Być może takie badania zostały przeprowadzone, ale znając stan budżetów naszych instytucji, nie sądzę. © ©





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Grill a sprawa polska

Nie wiem, co to jest Bluetooth, ale nie wyobrażam sobie życia bez niego. Natomiast mój samochód czasem się ze mną droczy, kiedy podłączam – za pomocą tegoż Bluetooth – telefon do radia. I chce puszczać swoją muzykę. Albo czasem jej nie puszcza. Niby jest połączniew, ale jest też cisza.

Ostatnio po kilku próbach odpalenia swojej muzyki – kiedy samochód złośliwie ją blokował – dałem za wygraną, bo przecież nie będę kopał się z koniem. Zwłaszcza mechanicznym. No i dla odmiany włączyłem radio, a mam jedno takie upatrzone, w którym prowadzący nie chichrają się z własnych nieśmiesznych dowcipów. W tym moim z kolei prezenterzy są zakochani w swoich głosach, ale to jednak małe miki w porównaniu z rechem wesołych świrusów.

No i w tym radiu gadali o grillowaniu. Ale nie takim zwykłym, tylko ekologicznym grillowaniu. Zachęcali do grillowania warzyw, a nie mięsa, i nieużywania jednorazowych talerzy i sztućców. Czyli do ratowania matki Ziemi, a przy okazji własnego zdrowia. Temat jak temat, a zresztą nie miałem na co przełączyć, bo mam w samochodzie ustawioną tylko jedną rozgłośnię. Poza tym zaraz dojechałem na miejsce.

Załatwiłem sprawę, wróciłem do wozu, odpaliłem samochód i radio, a tam... Okazało się, że ekologiczne grillowanie było jakimś tematem przewodnim całego pasma, a może i dnia

czy tysiąclecia. Szpikowano mnie zatem informacjami o tym, ile miliardów hektolitrow wody trzeba do wyprodukowania miligrama mięsa. I za każdym razem, gdy odhaczałem kolejne załatwione punkty na mapie Warszawy, w samochodzie witał mnie temat ekologicznego grillowania.

Ipo jakimś szóstym odcinku nabrałem takiej ochoty na mięcho, tłuste mięcho wspierane przez kaszankę i golonkę, tak zupełnie ogołocone z warzyw, że aż sobie zwizualizowałem ten obraz, gdy skwierczące mięsiwa są wykładane na plastikowe talerzyki. Przełknąłem ślinę i już wiem, że w najbliższy weekend będę grillował. I to nieekologicznie. Zupełnie nie miałem takich planów, a w ogóle to raczej nie jestem grillujący, ale ten obrzydzący mięso program wywołał we mnie tak straszną przekorę, że następnym przystankiem był sklep rzeźniczy. A potem – oczywiście – monopolowy.

No i to jest tak, że z przekazem, nawet zacnym i pozytywnym, nie można przesadzać. Po prostu zwykły człowiek nie wytrzyma pewnego stężenia, nagromadzenia i łopatologii. I w efekcie ja mam ochotę na mięso, a inni dostają alergii na wszystko, co jest narodowe, białe-czerwone i patriotyczne. Jeśli zastanawiacie się, dlaczego rządy prawicy prowadzą do wzrostu sympatii lewicowych u młodzieży, to właśnie, a może raczej także dlatego. Umiar to dobra rzecz. ©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Towarzyszom z „Gazety Wyborczej”...

Małgośka, mówią mi, rzuć dziadersów z prawicy, posłuchaj bez uprzedzeń głosu lewicy!

Zanurzam się więc czasem w te kanały prania mózgu, chwalać Boga i los, że można je jednak wyłączyć. Ile razy jestem w Hiszpanii, wprost upajam się kanałami TV, gdzie w skrócie „Towarzysze, towarzyszy, towarzyszy idziemy z postęmem i transfobiczne karły reakcji nam w tym nie przeszkodzą” (nie wiem, jak po polsku oddać gender niebinarny używany w Hiszpanii). Nie to, żebym miała takie zamiłowania, ale czasem po prostu trzeba mieć pożytek z wroga: moc się pośmiać.

Kłopot w tym, że przed wyborami natężenie propagandy wzmożło się na tyle, że przekazy nawet w publicznej TVE sprawiały wrażenie, że marsz czarnych koszul na Madryt jest kwestią godzin. Alert antyfaszystowski: „iNo pasarán!” trząsł mediami w związku z rosnącym poparciem madrytczyków dla centroprawicy PP i konserwatystów z VOX. I oto stało się – prawica zdobyła Madryt, i to bez ofiar w ludziach, nie licząc kandydata socjalistów, który miał atak serca po wyborach, i komunisty Iglesiasa, który po porażce strzelił focha i odszedł z polityki.

Płacz i zgrzytanie zębów w mediach uchodzących za tubę koalicji rządowej socjalistów z komunistami niosły się

razem z czwartą falą epidemii. Ale oto jaka siurpriza czytać identyczne frazy w „Wyborczej” odnośnie do wydarzeń w Hiszpanii! I jak udanie współpracują z czerwoniutkim „El País” czy „La Republica”? Furda tam heroiczne początki pisma pod szyldem Solidarności, skoro można dziś iść w jednym chórze z mediami skrajnej lewicy, która wciąż śpiewa „Międzynarodówkę” i urządza pochody pod flagą ZSRS. Z łamów „GW” dowiadujemy się, jakoby sekretarz VOX miał dziadka ambasadora Hiszpanii w III Rzeszy! Nie dość, że kłamstwo, to pytanie brzmi: Od kiedy można wypominać niechlubną działalność krewnych, i to w temacie tak niewralgicznym dla naczelnego? A z jakim zacięciem red. Stasiński tropi frankistów i faszystów w VOX (bardziej liberalnym od PiS)! Zupełnie przy tym nie zauważając tegiej terrorystycznej pracy lewicowych bojówek (wspieranych przez wysokich urzędników rządowych!), które znaczą swój ślad rannymi wśród posłów VOX i policjantów. I gdzie ci straszni „faszyści”, skoro wiecie lewicy przebiegają bez zakłóceń, a nawet bez sympatyków (!)? Bo komu by się chciało słuchać tej postępowej nowomowy?

Ach, te pokojowe transformacje dzienników w lewicowe pisemka! No cóż, spisujcie towarzysze od siebie ze stachanowską wydajnością. Redaktorzy lewackich mediów, łączcie się! ©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Markiza-stalinówka”

Kompletnie dziś nieczytany, zapomniany Tadeusz Breza był jednym z czołowych pisarzy PRL, a jego martwe dziś książki uchodziły za arcydzieła. Zwłaszcza „Urząd” i „Spiżowa brama”, inteligentnie i znakomicie napisana krytyka polityki Watykanu, zgodnie współbrzmiała z antykościelnym kursem Gomułki. Były plonem pobytu Brezy w Rzymie jako dyplomaty PRL-owskiej ambasady. Został po nich pupilem władzy, wydawanym w masowych nakładach, wznowianym, tłumaczonym, filmowanym, umieszczonym w szkolnych lekturach, ozdobionym wszelkimi ówczesnymi „blachami” (Orderem Sztandaru Pracy, Medalem 10-lecia Polski Ludowej) i nagrodami (dwukrotnie państwowa, wtedy najważniejsza, Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, ministra kultury), kolejną pla-

we poglądy, nazywano go więc „czerwonym hrabią”, a jego żonę, Zofię – zjadłą komunistkę – „hrabiną stalinówką”. Aleksander Wat poświęcił jej prześmiewczy wierszyk „Na pewną markizę-stalinówkę”, w kreacjach z najbardziej ekskluzywnych zachodnich domów mody, ale używającej mydła Krasnaja Moskwa.

Jeszcze bardziej elegancki, światowy i wykształcony był jej mąż. Leopold Tyrmand wymienił go w swoim „Dzienniku” wśród takich „sztandarowców” jak Kazimierz Brandys, Janusz Minkiewicz, Antoni Słonimski, którzy nie mieli na sobie guzika u kalesonów ani tasiemki przy majtkach produkcji krajowej. Wszystko z Ameryki.

Witold Gombrowicz znał Brezę jeszcze sprzed wojny, wysłał mu więc z Argentyny list do paryskiej ambasady, gratulując „Spiżowej

z UB. Zarówno on, jak i jego żona, wojująca komunistka. Nie wtrącam się, ma się rozumieć do Twoich ocen, ale gdybyś miał zamiar pisać o Brezie w »Dzienniku«, drukowanym w »Kulturze«, to byłoby to dla mnie więcej niż niewygodne” – zawiadamiał Gombrowicza 21 października 1962 r. I mimo swego krytycznego stosunku do Kościoła zamieścił w „Kulturze” recenzję miażdżącą „Spiżową bramę”, która powinna według niego nosić tytuł „Listy z Rzywołu biskupiego delegacji do zbadania pisuarów w Rzymie”. A jego podejrzenia co do Brezy potwierdził przebywający już wtedy na Zachodzie Aleksander Wat. „Na pewno ma za zadanie m.in. »rozpracować« »Kulturę« – pisał do Giedroycia 21 lipca 1961 r. – Jest piekielnie inteligentny, towarzysko zniewalający i na swój (hrabski) sposób bezwarunkowo uczciwy, tzn. wierny i b. lojalny wobec raz obranej kariery. Po krótkim czasie wszystko wywącha, reszty się domyśli i poleca raporty i raporciaki [...]. Watykan był zapewne ostrzeżony, a iluż on tam miał ufnych informatorów. Poza tym, jest przy nim – i za nim – piekielna Zosia, hrabini-stalinówka. Żarty na bok – to agent dyplomatyczny [...]. Do dyplomacji skoczył z łóżka, podobno, starej Bristigerowej”.

Nie miała też złudzeń co do Brezy Maria Dąbrowska. „Jest to genialnie napisana monografia wywiadowcza 3 ostatnich lat pontyfikatu Piusa XII Pacellego. Breza zrobiłby wielką karierę jako genialny agent Intelligence service. Robi ją zapewne i u nas” – pisała w swoich nieocenzurowanych dziennikach 20 czerwca 1960 r. po lekturze „Spiżowej bramy”.

Kwerenda archiwistów IPN wykazała, że teczką Tadeusza Brezy została „komisyjnie zniszczona”. Czy nigdy nie dowiemy się więc, kim był naprawdę? ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



cówką dyplomatyczną, tym razem w Paryżu, funkcją korespondenta na Kubie, czego rezultatem były „Listy z Hawany”, pełne entuzjazmu dla Fidela Castro i jego rewolucji. Pochodził z hrabiowskiej rodziny, był niedoszłym mnichem, wydalonym z zakonu dominikanów (podobno za homoseksualne skłonności), miał bardzo lewico-

bramy”, „połączenia hrabiostwa z Polską Ludową”. Przerazony Jerzy Giedroyc, szef „Kultury”, z którą współpracował wtedy Gombrowicz, zareagował natychmiast. „Breza biega jak oszalały, wymachując Twoim listem z komplementami [...]. Ma fatalną opinię nie tylko przed, ale i po Październiku i jest podejrzewany o współpracę

JAJCO!



FOT. W. CIEPROWSKI / D. JAROSZAW. SISIŃSKI

Wojciech Ciejrowski
korespondencja z USA

Od jakiegoś czasu wielu Polaków nie lubi Ameryki. Dziwi mnie to. Kiedy siedzieliśmy pod buciorom Związku Sowieckiego, sprawa była jasna – USA się lubiło niezależnie od tego, czy prezydentem był głupi, słaby i miękki jak kapeć J. Carter czy porządny, twardy R. Reagan. Prezydent USA (każdy), czy nam się osobiście podoba, czy nie, jest (na razie) „przywódcą wolnego świata” i wolę przywódcę amerykańskiego niż to, co czeka w zamian, gdyby Ameryka padła. A Ty? Naprawdę wolisz, by przywódcą świata został ktoś inny? A zastanawiałeś się, kto to REALNIE może być?

Jeśli Ameryka padnie, to przywódcą świata zostanie chiński Xi, nawet nie Putin. Innych kandydatów nie ma. Czyli skończy się nasz wolny świat. Komunistyczne Chiny nie zostawią nas w spokoju, nie utrzymają obecnego porządku świata, nie zachowają nawet pozorów światowej czy europejskiej demokracji. Gdyby Ameryka padła, to Chiny zaprowadziłyby tu swój porządek – taki sam, jaki teraz jest w Chinach. I kto ich powstrzyma? Unia Europejska – twór grupowy bez lidera? Angela?

Brytyjski Boris? Chińczycy będą chcieli z nimi negocjować? Bo co? Bo NATO zacznie do nich strzelać? A kto wyda rozkaz?

Jedyną osobą, która może wydać taki rozkaz, jest prezydent USA i dlatego ZALEŻY nam, by był mocną przeciwwagą dla Rosji i Chin oraz całej reszty.

Joe Biden mocny nie jest i to mnie martwi. Tak – wolalbym Trumpa, bo za Trumpa na świecie panował porządek amerykański (Pax Americana) i ja taki wolę sto razy od porządku ruskiego czy chińskiego.

Biden ma demencję. Myli się stale, codziennie pokazują, jak płacze zdania, nie wie, co mówi, i nawet nie wie, co czyta z telepromptera. W sieci krąży mem, w którym napisano: „Hej Joe, odwróć teleprompter przodem do nas, to sami sobie przeczytamy twoje przemówienie i będzie łatwiej zrozumieć!”.

Chińczycy i Ruscy też to widzą i już zaczęli testować Amerykę. Putin wznowił wojnę na Ukrainie zaraz po odejściu Trumpa. I co? Jajco. Za Trumpa bał się amerykańskiej riposty i siedział cicho. Czekaj.

Chiny walą równo dookoła: Birma, Hongkong, Tajwan. Za poprzednich prezydentów bali się tykać Tajwanu, bo rozumie-li okoliczności – 25 mln ludzi

i niepodległy kraj, sojusznik USA. Owszem – kiedyś, dawno, dawno temu było to terytorium chińskie, ale sto lat temu i dwie wojny światowe temu. A teraz? Biden słabeusz nic nie robi, to co nam przeszkadza zaanektować Tajwan?

Ciskają się też trochę dalej: Morze Południowochińskie, ataki na sąsiadów, w tym zbrojny atak na Indie, naruszanie przestrzeni powietrznej wszystkich sąsiadów, w tym Japonii, bojkot handlowy Australii, militaryzacja chińskich portów handlowych kupionych lub dzierżawionych na całym świecie (w tym w... Grecji!).

A zrzucenie zepsutej rakiety kosmicznej? Czy tłumaczyli się z tego, że „spadnie, ale wcale nie wiemy gdzie”. Kraj cywilizowany by się tłumaczył i przeproszał innych za zagrożenie. Szczątki chińskiej rakiety mogły spaść na terenie UE lub USA i pozabijać ludzi. Gdy w USA prezydentem jest Biden, to Chiny nie muszą się tłumaczyć nikomu. Ostatecznie przecież ta rakietka spadła do morza.

Biden niedługo będzie musiał zrezygnować lub trzeba go będzie odsunąć z powodu niezdolności do sprawowania urzędu. Na razie mamy za sobą trochę ponad sto dni urzędowania i pewne sprawy dają się tuszować. Jednak nie da się tego robić w nieskończoność. Musi więc zrezygnować lub go

odsunąć (25. poprawka konstytucji). Tylko co wtedy? Ameryka osłabnie jeszcze bardziej. Prezydentem zostanie Kamala Harris, której nie popiera nawet jej własna partia – na Konwencji Partii Demokratycznej dostała zaledwie 2 proc. głosów.

Po odejściu Bidena Kamala będzie sobie mogła sama wyznaczyć dowolnego wiceprezydenta. Gdyby była patriotką i działała dla dobra Ameryki, mogłaby wybrać kogoś porządnego i zaraz potem ustąpić na jego rzecz. Mogłaby nawet wybrać Trumpa, a on poradziłby sobie z Chinami, z wojną... Amerykańska konstytucja została dobrze skonstruowana – są tam rozwiązania na czas każdego kryzysu, ale jest też założenie, że ludzie będą prawi.

Amerykańską konstytucję budowano, zakładając wartości chrześcijańskie i patriotyzm. Wszystko działa, gdy ludzie są w miarę porządni i mają zasady. Kamala Harris zasad nie ma. Obecnie jest marksistką, ale nawet w tym nie jest ideowa – to koniunkturalistka i dowodzi tego wszystko w jej życiu. Dla kariery i osobistej korzyści robi to, co doraźnie potrzebne, i ze wszystkiego, co trzeba, zrezygnuje. W kampanii wyborczej (gdy startowała przeciwko Bidenowi) wskazywana na to, że Biden ma przeszłość rasistowską (przyjaźnił się z jednym z przywódców Ku Klux Klanu) oraz że jest zbrodnią, który molestował kobiety. I co z tym? Jajco! Kamala zapomniała o wszystkim, gdy dostała propozycję wiceprezydentury. KONIUNKTURALISTKA.

Nie ma się więc z czego cieszyć, nawet jeżeli ktoś nie lubił Trumpa. Teraz masz, chłopie, Bidena, a zaraz potem dostaniesz Harris, a jak to się stanie, to będziesz, człowieku, miał tu Chiny Ludowe jako światowego hegemon. Naprawdę lepsze od najgorszego Trumpa? ©©

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~494~~ zł

**W PREZENCJE
KSIĄŻKI**

PAWEŁ LISICKI „KTO FAŁSZUJE JEZUSA”
SAVERIO GAETA „DUSZE OFIARNE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

297,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 197 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl b25cfc32a4



WŁĄCZ

RMF

Classic

I ZMIEN SWÓJ
ŚWIAT



**NAJPIĘKNIEJSZA
MUZYKA FILMOWA**
- GDZIEKOLWIEK JESTEŚ



rmfclassic.pl